

KS. ADAM BONIECKI MIC

r o z m o w y

niedokończone

SPOŁECZNY INSTYTUT WYDAWNICZY Z N A K 1974

Książka ta powstawała przez kilka lat. Składają się bowiem na nią artykuły, reportaże i felietony drukowane w okresie 1964—1972 w „Tygodniku Powszechnym” (szkic o Bracie Albercie w „Znaku”). Oczywiście, przygotowując wydanie książkowe tych materiałów musiałem je przebrać, odrzucić to, co zdążyło się zdezaktualizować. Pozostałe zaś teksty wymagały niejednokrotnie nowego opracowania.

Poszczególne rozdziały, które powstawały pod nakazem zjawiających się sytuacji, ułożone zostały tak, że stanowią pewną całość.

Część pierwsza, „O wierzeniu”, mówi o wierze, modlitwie i nawróceniu. Część druga, „Kościół dla wszystkich”, nie ma w sobie nic z traktatu eklezjologicznego. Są to właściwie notatki, dotyczące pytania, jakie jest dziś, w Polsce, miejsce ludzi świeckich w Kościele. Część trzecia, „Dla ludzi postanowieni”, mówi o księżach i zakonach. Dwa pierwsze szkice to próba szukania idealnego modelu. Szkice te mówią o świętości. „Historie, które mogły się nie wydarzyć” i „Samotne wyspy?” (część IV i V) to niemal wyłącznie opisy różnych ludzkich, bardzo konkretnych spraw. Te opisy szczegółowe prowokują chyba jednak do bardziej ogólnych refleksji.

Dwa razy jest mowa o Narodzeniu Pana Jezusa, na początku książki i na końcu. Zakończeniem jest rozważanie Drogi Krzyżowej. Wydaje mi się bowiem, że znalezienie właściwej drogi w płataninie sytuacji, przed którymi stale jesteśmy stawiani, i uniesienie ciężaru pytań, jakie przynosi życie, bez odwołania się do rzeczywistości Odkupienia

może przekraczać ludzkie siły. Książka ta jednak nie ma na celu nawracania nikogo, nie podaje programu, nie jest podręcznikiem, encyklopedią religijną, nie zawiera recept na wychodzenie z życiowych impasów. Zanotowałem w niej sprawy, fakty i problemy, nad którymi — moim zdaniem — warto pomyśleć.

A. B.

Paryż, grudzień 1973

I
O WIERZENIU

Narodzenie Chrystusa to fakt, przed którym bronię się i uciekam. Jest w nim coś z prowokacji, której chcę nie zauważać. Mam już nawet całkiem niezły sposób obrony. Bronię się przez wspomnianie. Wspominanie, obchodzenie pamiątki może tak pochłonąć uwagę, że przesłoni fakt. „Chrystus urodził się w stajni...” konstatuje zdumiony Papini. Wolę nie pamiętać. Specjalne oświetlenie sklepów i placów, specjalne kwoty w preliminarzach reklamowych, zwiększone dostawy mrożonek, alkoholów i słodyczy. Na Bożym Narodzeniu można zwiększyć obroty. Jeżeli więc tyle zostało z tamtego faktu... Została religia, ale zdaje się, że religia zaczyna nie wytrzymywać konkurencji. Obliczono, że tylko dla utrzymania aktualnej dziś proporcji ilościowej katolików i niekatolików liczba nawróceń na katolicyzm powinna wynosić nie, jak obecnie, pół miliona rocznie, lecz sześć i pół miliona. Jeśli w 1960 roku ochrzczeni stanowili 31 procent całej ludzkości, to w roku 2000 stanowić będą 20 procent.

W blasku wigilijnej nocy usiłuję jeszcze raz pozbierać strzępy wiadomości, które przetrwały do naszych dni, usiłuję znaleźć wytłumaczenie.

Narodził się na peryferiach historii, na peryferiach ówczesnego świata, na peryferiach małego, okupowanego kraju, na peryferiach małego miasteczka, w stajni. Wierzę, że tak chciał. Skazany na przegraną, nie pasujący do świata, na który przyszedł, Bóg-Człowiek.

Gdzieś w mrokach prehistorii, a u początków historii tego narodzenia była tragedia zdrady. Umiłowany przez Stwórcę człowiek zdradził Miłującego. Zostało zerwane przymierze, została odrzucona Miłość, została zapomniana Miłość. W człowieku pozostała tęsknota za Tym, na którego obraz i podobieństwo był stworzony.

Potem było przymierze z Abrahamem i ludem wybranym, była trudna próba miłości wciąż odrzucanej. Pan przychodził i oczekiwał odpowiedzi, jaką miała być wierność, oczekiwał, dopominał się, niemal ją wymuszał. Ale Miłość okazywała się bezsilna wobec tych, którzy nie chcieli jej przyjąć. Czy miłość ustaje? Czy kocha się „dla-

tego że", czy „pomimo że”? Itak zaczęła się historia Człowieka skazanego na przegraną. Prawie nie zauważona przez ludzi, zauważona przez aniołów zaczęła się nowa era ludzkiej historii. Zaczęły się dziwne koleje gwałtownego rozwoju chrześcijaństwa głoszonego światu przez źle przygotowanych heroldów.

Kiedy dziś patrzę na splendory kościelne, na blask wielkich budowli, na rozśpiewane tłumy, na wielkie manifestacje religijne, na dym kadzidła i złoto monstrancji, stawiam sobie pytanie: czy gdyby do mojego kościoła przyszedł i stanął w tłoku przy drzwiach On, Mistrz z Betlejem i Nazaretu, który potrzebował tylko trzech lat, żeby powiedzieć wszystko co miał do powiedzenia, czy poznałby że to o Niego chodzi, że to Jego kościół? I pytam, czy tak wyobrażali sobie Piotr, Paweł, Mateusz, Łukasz, Maciej i Tomasz Niewierny, Linus, Klet, Klemens... Czy o tym marzyli, czy ucieszyłyby ich splendor liturgii godnej cesarskiego dworu i sprawny aparat administracyjny w służbie treści, których zwiastowanie odbyło się w Nazarecie, których objawienie dokonało się w Betlejem, których wypełnienie nastąpiło na peryferiach Jerozolimy, gdzie wyrzucano śmieci, na wzgórzu Trupiej Głowy?

Więc co z tym wszystkim zrobić? Przetopić monstrancje i kielichy, spalić mitry i kapy, połamać zabytkowe drogocenne pastorały?

Jak Trzej Królowie z *Papierowego dzwonu*, „po tylu wędrownych wiekach” pytam, pogubiony w różnych wspinałościach i nędzach: „gdzie leży miasto Betlejem”?

Ale Kościół nie zmieści się już dziś w betlejemskiej grocie, nie powróci do kształtu pierwotnego gmin chrześcijańskich. Historii nie da się cofnąć, z dziś do wczoraj nie da się zwrócić. Więc jak mam pogodzić Betlejemską Noc z tym, co jest? Co naprawić, zmienić, co opuścić?

Usiłuję zebrać strzępy wiadomości, które przetrwały do naszych czasów.

— Nie zaczynał od burzenia. Wiedział, że ziarno i tak urośnie.

— Nie zabiegał o tłumy. Zgorszonych, kiedy odchodzili, nie zatrzymywał kompromisowymi formułami.

— Nie wymagał, by wszyscy zostawiali sieci, łodzie, domy, pola, rodziny i szli za Nim („...nakarmiwszy rzesze rozesłał ich do domów”).

— Chociaż chciał, żeby byli i tacy.

Było Betlejem, było wzgórze Golgoty, było i zmartwychwstanie, było: „idźcie na cały świat, czyńcie uczniów”, oraz „założę Kościoł mój”. A potem przez wieki historii sznur ludzi, niosących to, co mieli najlepszego, do stóp Człowieka, który przegrywając zwyciężył świat. Nieśli i składali piękne kościoły (każdy styl dawał to, co uważał za najpiękniejsze), liturgię gestów i słów, mądrość organizatorów życia społecznego i środki masowego przekazu, dorobek socjologii religii i psychologii społecznej. Czasem, nawet nie tak rzadko zważywszy wielkość daru, przychodzono, by oddać życie.

Zostali przyjęci mędrcy z darami, nie odesłano nikogo, ani tego, który przyniósł mirrę, ani tego, co złożył złoto. A każdy dar był cenny nie na miarę karatów, lecz zamkniętej w nim miłości. Czasem zapominano, komu się niesie dar i dlaczego. Myślano tylko o sobie i o tym, co się przynosi.

Wołać o gest to za mało. Można by dać na przemiał miotry, zrezygnować ze splendoru liturgii. Biskupi na wizytacje kościołów mogliby jeździć w szarych garniturach PKS-em, zamiast w kurii — idźmy w kierunku absurdu — mogliby na ławeczce w parku z notesem i długopisem rozdzielać pracę księżom. Tylko że i wtedy wartość daru mierzyć się będzie miarą miłości.

Przy papieskim tronie nie ma już pióropuszy ze strusich piór, Paweł VI nie nosi tiary. Powoli, powoli obsypuje się tynk, którym chciano upiększyć grotę w górach ziemi judzkiej.

Jedno wiem, że i w rozświetlonym złotem kościele, i przy ołtarzu polowym, zbudowanym z nart i plecaków w góralskim szałasie, zawsze jednakowo szczerze muszę się modlić:

„Żebym — jeśli za oknem którejś nocy mocniej zagra galilejska fletnia — umiał natychmiast odejść...”

Rozmowa jest skończona. Ksiądz podchodzi do półki i wybiera kilka książek.

— Czy ksiądz myśli, że kiedy to wszystko przeczytam, moje problemy i trudności...

— Nie, nie myślę.

Można spotkać, nie tak znowu rzadko, tych, którzy wrócili. Czy sprowadziło ich z powrotem rozwiązanie problemu ewolucji, stosunku nauk przyrodniczych, do teologii chrześcijańskiej, dowód z ruchu, celowości, przyczynowości itp?

W „Znakowej” ankiecie: „Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę?”, napisał ktoś tak: „Wróciłam na dobre mając czterdzieści lat. (...) Wierzę, bo uzupełniam stale swoją wiedzę religijną, bo nie cofam się przed pytaniami, bo spotkałam Boga. Nie potrafię wam tego wytłumaczyć. Bo, widzicie, znalazłam Przyjaciela i Ojca, kogoś o najogromniejszym formacie. Gdzieś otwarły się jakieś drzwi i wszystko stało się jasne. Nigdy nie umiałam być letnia — i nie wiem, dlaczego znalazłam nagle właśnie w wierze odpowiedź na wszystkie moje problemy i wątpliwości. Dlaczego już z Nim nie walczę? A przecież »nic się nie zmieniło« — i dewotki są na swoim miejscu, i nauka, i postępowanie. A jednak...”

O. Piotr Rostworowski: „Osobiście byłem wierzący od lat dziecięcych, nie znając problemów apologetycznych. Zaczęłem je studiować dopiero w dwudziestym piątym roku życia. Wydaje mi się — o ile dobrze pamiętam te dawne czasy — że samej wiary we mnie to studium nie wzmocniło, gdyż ona tkwiła już korzeniami gdzie indziej, ale doznałem bardzo dużo radości dowiadując się, na jak bardzo solidnych, racjonalnych fundamentach się opieramy. Jest wielką radością dla katolika świadomość, że wiara jego jest rozumna, że jest w pełni uzasadniona nie tylko wobec Boga i własnego sumienia, ale i wobec całej ludzkości. Doznawszy tej radości w kontakcie z apologetyką, chciałbym tym wszystkim, którzy tak mało ją cenią, powiedzieć, aby się głęboko i rzetelnie zastanowili, czy naprawdę tak słabe i mało przekonujące są argumenty, na których się opieramy.”

Przyszła, usiadła i zapytała, czy jest tu z kim podyskutować. Jest na którymś tam roku jakiegoś tam wydziału i chce dyskutować. O czym? No, problemy wiary, Chrystus, np. dlaczego musiał cierpieć? Czytać? Owszem, może coś przeczytać...

To chyba bardzo dobrze — myślałem. Człowiek ma problemy, chce dyskutować, przychodzi. Nie trzeba go zniechęcać. A jednocześnie oczyma wyobraźni widziałem te różne dyskusje, które nawet kończą się ostatnim słowem księdza, argumentem „za”, na który oponent nie umie odpowiedzieć, którego nie umie odparować, ale rozkłada ręce, kiwa głową i daje do zrozumienia, że nie jest przekonany, nadal jest mu trudno, nadal treści, o których mowa, są mu dalekie.

I przypomina mi się taki jeden maluch z czwartej klasy, który skarżył się, że ma trudności w wierze.

— Jakie, powiedz, może razem jakoś się z nimi uporamy.

— To wszystko, proszę księdza, jest takie nieprawdopodobne...

Nieśmiało zwracam się do spragnionej dyskusji rozmówczyni: za kilka dni parę osób jedzie na taki mały dzień skupienia. Nic takiego. Trochę milczenia, modlitwy, refleksji. Może oprócz dyskusji i to...

Okazało się, że nie. Cóż, będziemy dyskutować...

Z listu: „I tu problem — dlaczego, skoro nieraz dochodziłem do wniosku, że chyba nie wierzę, nadal chodziłem do kościoła, dlaczego po prostu nie przerwałem, dlaczego nie przestałem wierzyć... Co sprawiało, że nadal nie przestawałem (choć było to trudne) modlić się?”

Znów cytuję, tym razem z Gabriela Marcela: „Bardzo często, może najczęściej, odmowa przybiera formę nieuwagi, jest to niezdolność nastawienia ucha na głos wewnętrzny, na wołanie skierowane do tego, co najgłębsze w nas samych. Wypada tu zauważyć, że życie współczesne dąży do podtrzymania tej nieuwagi, że ją prawie narzuca w stopniu, w jakim człowieka odczłowiecza, odcina od własnego centrum, ponieważ ogranicza go do zbioru czynności, które się z sobą nie łączą...”

Przez odmowę autor rozumie tu niewiarę, która z punktu widzenia wiary zawsze jest odmową.

Nie należy mówić, że nauką chrześcijańską można żyć dopiero wtedy, gdy wszystkie wątpliwości zostały rozwiązane i trudności usunięte. Nie można dyskutować z pozycji: „proszę bardzo, przekonajcie mnie, to uwierzę”. Chrześcijaństwo nie jest jednym ze światopoglądów, „jednym z” czy „jednym o b o k” innych.

Rahner pisze: „Każdy jest jakoś chrześcijaninem, człowiekiem tęsknoty, człowiekiem wciąż jeszcze niewyczerpanej miłości, człowiekiem, który w najgłębszym wnętrzu siebie cieszy się jednak bardziej prawdą niż kłamstwem”.

Nie jest zdradą siebie i nieuczciwością ukłęknać, choć jeszcze wszystkiego się nie wie. W chrześcijaństwie bowiem odnajdujemy dalszy ciąg tego, co jest już w każdym z nas, pełne dopowiedzenie tego, co jest niedopowiedziane, ale rozpoczęte wszędzie, gdzie jest choć odrobina prawdy i miłości. A odrobina prawdy i miłości jest w każdym, kto szuka. I to jest chrześcijaństwo.

Dyskusja? — tak.

Ale najbardziej spotkanie.

Bywa, że zadzwoni ktoś, wejdzie, usiądzie na brzegu krzeselka, nie wie jak zacząć. Potem rozmowa jakoś się rozwija. Rozmowa o ważnych, często trudnych sprawach. Bywa, że rozmowa przeciąga się na kilka dni. Księdzu nie zawsze łatwo jest odpowiedzieć, rozmówcy nie zawsze łatwo podjąć decyzję, która musi być podjęta. Czasem rozmowa niepostrzeżenie przechodzi w spowiedź: „właśnie nie potrzebujesz tego wszystkiego drugi raz mówić...”, wystarczy objąć całość aktem żalu, klamrą decyzji: „wrócę do Ojca”. W życiu powraca ład. Zwykle wtedy wraz z radością zjawia się potrzeba podzielenia z kimś radości. Więc propozycja: „ja przyprowadzę mego kolegę...”, „moich kilku przyjaciół...”, „bo my na takie tematy często...” albo przeciwnie, „bo oni od tych spraw tak daleko, a myślę, że bardzo by im się przydało...” Wtedy ustala się daty, zapisuje godziny w kalendarzykach, wymienia się numery telefonów. Potem przychodzi jeden, czasem kilku. Przychodzą namówieni, przygotowani. I najczęściej jest zupełnie inaczej, niż z tym pierwszym. Owszem, rozmawia się o różnych problemach, owszem, wychodzą dźwigając pod pachą pliki książek, zapewniają, że „ta rozmowa wiele nam dała...”. Potem zwracają z uprzejmą karteczką: „dziękuję za pożyczenie, żałuję, że nie zastałem, że nie udało mi się księdza spotkać...” (a może tak bardzo nie żałujesz, wiedziałeś przecież doskonale, kiedy można by się było spotkać).

Albo rodzice: „koniecznie mój syn musi się z księdzem zobaczyć. Bardzo mi na tym zależy...” Bo z synem są kłopoty: „jakiś fatalne towarzystwo”, „niespotykane u nas w domu historie”, „zupełnie nie możemy z nim się dogadać...”

Potem, kiedy jest już ustalone, „gdzie księdza można zastać” (ale zwykle znacznie później), zjawia się syn. I znów rozmowa, która nie bardzo się klei i z której w najlepszym razie wynika, że „przyszedłem dla świętego spokoju”, „nie wiem, o co im w domu właściwie chodzi”, „dziękuję, oczywiście, kiedyś jeszcze bardzo chętnie wpadnę, ale teraz mam tyle pracy...”

Leżą przede mną trzy listy. Wszystkie trzy pisała jedna osoba, wszystkie dotyczą jednej i tej samej sprawy. Autorka pisze, jak w miesiącu takim a takim, w miejscowości xy przeżyła wielki wstrząs. Nie może o tej sprawie zapomnieć, prosi o zawiadomienie, gdyby jeszcze coś takiego miało być organizowane.

O co chodzi? Po prostu do kościoła, w pobliżu którego spędzała swój urlop, przyjechała grupa młodych, zwykła grupa przyjaciół, by razem przez kilkanaście godzin skupić się, pomodlić, uciszyć. Nie było absolutnie nic wstrząsającego w tym wszystkim. Tyle że wspólnota ludzi modlących się. Autorka listu z żadnym z nich nie rozmawiała, nikogo nie znała. Tyle że widziała, że jakoś ogarnął i ją duch wspólnoty.

Mam cały plik listów, od różnych młodych ludzi, z różnych miast Polski, pisanych zupełnie niezależnie od siebie, w których opisują, jak odkryli Mszę św. Nie komentarz, nie wykłady, nie książki ani mszaliiki odegrały decydującą rolę. Odkryli Mszę przez wspólnotę świadomie uczestniczących. Nikt im nic nie wytłumaczył nowego. Zobaczyli.

Zupełnie banalne spotkanie. Jakies imieniny czy coś w tym rodzaju. Tyle że przypadkiem tak się złożyło, że niemal wszystkich uczył religii ten sam prefekt i, znów przypadek, na to spotkanie trafił on sam. Prefekt mieszka już od dawna gdzie indziej, młodzi przez długie sześć lat od skończenia szkoły pożenili się i powychodzili za mąż.

Rozmowa, jak zwykle, o wypadkach drogowych, o chorobach, o wspólnych znajomych, jakieś anegdotki z pracy. Żywa, wesoła, bagatelna. I zupełnie niespodziewanie, z okazji banalnego pytania o jakieś sprawy etyczne wybuchła dyskusja. Daremnie pokolenie starsze nawoływało, by wrócić do poprzednich byle jakich tematów. Dyskusja natychmiast zaczęła obracać się wokół spraw najważniejszych, mówiono o hierarchii wartości, o konsekwencji w życiu, przytaczano przykłady dotyczące obecnych. Nikt nie mówił na wyrost, nikt nie teoretyzował po akademicku, za dobrze się wszyscy znali. Jakże niepodobni byli ci młodzi ludzie do dobrych uczniów sprzed sześciu lat, kiedy to wszystko „przerabiali”, ale jako daleką teorię, coś bardzo na wyrost i bardzo na przyszłość.

Kiedy późną nocą rozchodzili się, niektórzy pchając przed sobą wózki z rozspanymi pociechami, powtarzali

wszyscy, że muszą tak jeszcze kiedyś, jakoś częściej, że to tak dobrze razem na takie tematy...

Po tym, co socjologia wie dziś o grupach przynależności, o małych grupach itp., tłumaczenie tych spraw jest powtarzaniem znanych rzeczy. A jednak wciąż szuka się genialnego księdza czy wychowawcy, czy kogoś takiego, i nadal następują rozczarowania, gdy po „seansie terapeutycznym”, w pocie czoła zorganizowanym przez przyjaciół lub rodzinę, nic nie następuje albo następuje niewiele. Genialnych księży jest zresztą, o ile mi wiadomo, wciąż pewien niedobór. Ale w niektórych przynajmniej sprawach nie jest potrzebna genialność. Zamiast jednego genialnego wystarczy wspólnota zwykłych ludzi, którą można nazwać środowiskiem, grupą przyjaźni czy jak się tam woli. („Gdzie jest dwóch albo trzech zebranych w imię moje...” — czy to nie punkt wyjścia do teologii małych grup?)

Któryś z przyjaciół-studentów napisał mi niedawno, że w tym roku zamierza się zapisać do warszawskiego KIK-u i że wiele sobie po tym obiecuje. Mam nadzieję, że słusznie, choć niekoniecznie potrzebny jest zaraz KIK.

Byłem niedawno świadkiem dyskusji w gronie absolwentów kilku wyższych uczelni o tym, jak tworzyć środowisko.

Myszę, że to środowisko, o które chodzi, nie wymaga „tworzenia”. Właściwie każdy żyje w środowisku. „Środowisko to są ci, którzy zostali” — jak powiedział jeden z uczestników dyskusji. Ważne jest, by to zauważyć i by nie przeoczyć możliwości, jakie stąd płyną. Może wielu księży tłumaczyć coś trudnym synkom i nic z tego nie wyniknie (czasem oczywiście i wyniknie). A można powiedzieć komuś: „chodź do nas”, „bądź z nami”, „zobacz”; bez specjalnych tłumaczeń. I wyniknie. Nawet dużo. Sprawdzono.

W gablotce jest ogłoszenie informujące, że duszpasterz przyjmuje wtedy i wtedy. Nic więcej. Nie podano, w jakich sprawach ani żadnej zachęty w rodzaju: „czekamy, zajdź do nas...” Sama informacja. Duszpasterz początkowo bał się tych ogłoszonych dyżurów: będą godzinami siedział i nikt nie przyjdzie. Jednak ktoś mądry, znający się na tych sprawach, uspokoił go: „Przyjdą. Jeśli będzie trzeba, przyjdą. Byle wiedzieli, gdzie i kiedy ksiądz jest. Byle mogli być zawsze pewni, że księdza zastaną”.

I przychodzą. Przychodzą ze sprawami bardzo nieraz osobistymi, ważnymi. O żadnej prawie z tych rozmów nie sposób opowiadać czy pisać. Jednak jest wśród innych jeden problem, który wraca, zawsze wplątany w jedyny kontekst konkretnego, niepowtarzalnego *curriculum vitae*.

— ...Dawniej było inaczej, dawniej byłem inny. Dawniej było mi łatwiej wierzyć. Często chodziłem do sakramentów. Teraz z trudem idę na Mszę. Modłę się mechanicznie albo wcale (może zresztą lepiej wcale, niż mechanicznie?). Bóg jest daleki. Kazania rozmijają się z moimi pytaniami. Nawet takie, które dawniej uważałem za dobre.

Nie, to nie jest nawet kwestia nowych argumentów przeciw. To coś innego.

— Patrząc na liturgię: gesty, słowa, ubiory... Myślę: teatr.

— Stoję w kościele, jeden z wielu stłoczonych w bocznej nawie. Myślę: jakże daleko jestem od tych wszystkich ludzi...

— Podglądam ich: stoją i nudzą się. Przyszli pewnie wiedzeni siłą przyzwyczajenia. Czy wiedzą, co to znaczy, że tu są?

— A może istnieje jakiś sposób, żeby przywrócić to, co było? Przyznam, że próbowałem. Bez skutku. Przyszłem, bo mi żal tego, co było.

Leży przede mną paczka starych listów. Dzieje nawet nie takie dawne. Parę lat. Autor listów był na pierwszych latach studiów, ja wtedy niemal bezpośrednio po święceniach kapłańskich. W listach pisał o swoich przeżyciach religijnych z prostotą i tak ładnie, że wypisywałem z li-

stów fragmenty i czytałem je z ambony. Mówiłem potem: „...patrzcie, jakie to proste i piękne...” Potem przez parę lat niemal nie pisał. Trochę słyszałem o nim, że ma różne kłopoty.

Kończył studia, ożenił się. Teraz napisał znów. Długi, kilkustronicowy list. O sobie, że dostał od życia przez ten cały czas sporo kopniaków, że wiele rzeczy mu nie wyszło i że nie chciałby w tej chwili zdawać rachunku ze swego życia... Porównuję ten list z dawnymi. Trochę to wygląda tak, jakby ten napisał ktoś inny. Nawet nieco inny charakter pisma. W ostatnim liście nie ma już pięknych sformułowań, które by można przeczytać z ambony. Już wszystko przestało być proste. Prawie wszystko, bo na końcu listu jest dopisek, a w nim, że jutro na Mszy będzie o mnie pamiętał. Sprawdziłem: nie pisał w sobotę.

Warto chyba przypomnieć, że aczkolwiek mówi się o „nawróceniu”, nie ma ono wiele wspólnego z „wracaniem”. „Każdy wie — pisze Karl Rahner w szkicu *Msza święta młodych* — że w życiu ludzkim są nie tylko fazy biologiczne, stadia rozwoju fizycznego, lecz także fazy rozwoju duchowego. To, że człowiek jest istotą cielesno-duchową, oznacza, że jego rozwój odbywa się na obu płaszczyznach (...) Jeśli fazy takie istnieją na płaszczyźnie duchowo-osobowej, to muszą istnieć na płaszczyźnie religii...”

Jeżeli na pytania postawione przez przychodzących do duszpasterza młodych ludzi istnieje jakaś odpowiedź, to chyba istotny jej sens jest w ostrzeżeniu, żeby nie usiłovali w r a c a ć.

Rahner pisze, że każdy okres jest inny. Jest wiek, w którym do Boga dochodzi się przez przeżywanie własnej kruchości, inny, gdy odkrywamy Go przez szczególną wrażliwość na wartości etyczne, jest wiek „sakramentalny” i etap, który można uznać za preludium wieczności. Oczywiście nie znaczy to, że na jednych etapach życia człowiek nie przeżywa i nie potrzebuje tego, co jest cechą innych etapów, ale zawsze jest coś, co dominuje w danym momencie.

Nie trzeba szukać drogi do pobożności lat dzieciennych, kiedy „byliśmy lepsi”, „kiedy było nam łatwo się modlić”, trzeba za punkt wyjścia przyjąć to, co jest właściwe dla etapu obecnego. Nie trzeba wskrzeszać wczorajszych modlitw, lecz znaleźć modlitwę na dziś, nie trzeba odgrzeby-

wać dawnych wzruszeń, jakie budziło poczucie, że jest się w gromadzie, lecz na nowo odkrywać głębszy sens wspólnoty; odkrywając własną samotność i to, że nikt nas do końca nie jest w stanie zrozumieć, trzeba nauczyć się nieprzeniknionej tajemniczości przeżyć człowieka, obok którego stoję.

Wracanie grozi infantylizmem, musi koniecznie rozczarować. Żeby uratować to, co zdaje się niknąć, nie trzeba wracać, trzeba iść nowym problemom naprzeciw.

Przecież nie chodziło im o konkretny tekst. Mieli Księgę Psalmów, mieli modlitwy proroków, jakieś modlitwy odmawiali w świątyni i przed posiłkami. Musiało chodzić o coś innego, kiedy prosili: „Panie, naucz nas się modlić”. Kiedy widzieli Go, kiedy widzieli, jak On się modlił, znane teksty przestawały wystarczać.

A kiedy odpowiadając im powiedział: „Kiedy modlicie się, mówcie tak: Ojcie nasz, któryś jest w niebie...”, czy chciał dać jedynie formułę, tekst do codziennego odmawiania?

Kiedy indziej powiedział jeszcze, żeby na modlitwie nie mówić wiele, jak to czynią poganie, bo Ojciec Niebieski wie, czego potrzebują...

Mówił też, aby w modlitwie unikać faryzejskiej ostentacji. By dobitniej to podkreślić, polecił na czas modlitwy zamykać się w komorze, czego oczywiście nie należy brać dosłownie, gdyż sam modlił się często w ich obecności, a nawet w obecności zgromadzonych tłumów i na oczach gapiów, jak choćby przed rozmnożeniem chlebów na pustyni czy przed wskrzeszeniem Łazarza.

Prosil Go: „naucz nas się modlić”, odczuwali bowiem, że ich modlitwa jest zupełnie inna, niż Jego.

My też mamy Księgę Psalmów, mamy modlitwy proroków i teksty, które odmawiamy przed posiłkiem, mamy teksty „Ojcie nasz” i „Zdrowaś”, mamy wiele modlitewników bardzo starych i zupełnie nowych, o których mówi się, że są naprawdę nowoczesne...

I dręczące, dociekliwe pytania z książeczkowych rachunków sumienia: „czy odmawiałem pacierz ranny i wieczorny? czy odmawiałem go pobożnie?” A potem daremne postanowienia, że będę odmawiał i że będę odmawiał go pobożnie. Postanowienia tak bardzo daremne, że w jakimś momencie przestaje się je traktować poważnie i albo rezygnuje się z odmawiania go codziennie, albo przestaje się mieć nadzieję, że kiedykolwiek zacznie się odmawiać go pobożnie.

Skąd właściwie wziął się zwrot „odmawianie pacierza”?

Kto go wprowadził: Listy Apostolskie mówią o potrzebie ciągłej modlitwy. Naucz nas się modlić...

„Ojcie nasz”... Tu jest punkt wyjścia. Staję przed Ojcem. Jako jeden z wielkiej rodziny tych, którzy mówią, mówili i będą mówić w przyszłych stuleciach, a także tych, którzy nie mówią, ale zawsze mają prawo powiedzieć tak samo jak ja — „Ojcie nasz”, staję jako jeden z wielkiego człowieczego rodzeństwa. Stajesz przed Ojcem, który jest w niebie, przed Bogiem — twoim, naszym Ojcem.

Gdyby z odpowiedzi Chrystusa zostały tylko te słowa: „kiedy się modlicie, mówcie: Ojcie nasz, któryś jest w niebie”, pytanie nie byłoby zostawione bez odpowiedzi.

Napuszone, sztuczne zwroty, retoryka nie stosowana nigdzie indziej, mizdrzenie się, deklamacje... to wszystko okazuje się niepotrzebne, niestosowne.

Nakaz odmawiania pacierza.... Co warte jest stawienie się na rozkaz? Odmawianie nakazanych formuł... Co warte jest mówienie do Ojca nakazanymi formułami?

Tyle już o tym powiedziano. Modlitwa codzienna — chwila natężenia uwagi, by usłyszeć, co On mówi, by nie zatracić się w hałasie własnego dnia, by nie dać się przysypać kurzowi codziennych spraw.

Modlitwa codzienna — akt wiary zawarty w samym geście przyklęknienia. Mam mówić do Niego — akt nadziei. Zwracam się do Tego, który mnie kocha — akt miłości. Przez modlitwę przebywam z Nim.

Nie mówcie wiele... Można modlić się milczeniem, można w obecności Ojca rozłożyć przed sobą wszystkie sprawy dnia powszedniego i popatrzeć na nie tak, jak On na nie patrzy.

Dostałem kiedyś list w sprawie modlitwy:

„To prawda co ksiądz napisał, że modlitwę cudzą można uczynić własną, ale trzeba ją przeżyć. Ja mam takie modlitwy i wielu ludzi ma. Słowa pacierza od lat te same, jak wyszlizgane kamyczki... ale są kamyczki, które nie ścierają się tak łatwo od dotykania i pocierania, przeciwnie, nabierają jeszcze blasku — to brylanty.

Najkrótsza i najpiękniejsza modlitwa «Ojcie nasz». Gdyby księża zechcieli omówić z nami myśli tej modlitwy, które zawierają wszystko, co człowiek chce i może powiedzieć Bogu. Może przy codziennym szybko odmawia-

nym pacierzu jednak coś zmieniłoby się, może choćby jedna, związana z warunkami życiowymi myśl przemknęłaby przez głowę... Przyzwyczajenie do myślenia to sprawa trudna, długofalowa, ale trzeba zacząć..."

To był mądry list. Bo kiedy myśl nie ma się na czym oprzeć, kiedy ręce są puste, kiedy człowiek już nawet nie prosi: Panie naucz mnie, jak mam się modlić, lecz stwierdza ze smutkiem lub tylko z rezygnacją: Panie, nie potrafię się modlić, ma prawo, a nawet powinien sięgnąć po słowa, które zostały mu użyczony, sięgnąć, wziąć je na własność i modlić się swoimi własnymi słowami: „Ojczy nasz, któryś jest w niebie...” Ale nigdy nie trzeba pacierza „odmawiać”, trzeba się modlić.

Istnieją różne sposoby przybliżenia czytelnikowi całego religijnego i życiowego ładunku Ewangelii. Ks. Zieja — bo o książce księdza Ziei *Przyjdź Panie. Ewangelia i życie* chcę tu mówić — wybrał sposób najbardziej ryzykowny, jednocześnie też najbardziej pokorny. Nie poucza nas, że „czytając Ewangelię, powinno się...” ani nie opowiada Ewangelii swoimi słowami. Spotykamy człowieka, który wiele w życiu myślał nad Ewangelią, który wiele w życiu widział ludzkich trudnych i bolesnych spraw, nie tylko widział, ale jakoś w nich uczestniczył, i który zaprasza do wspólnego odczytania znanych dobrze stron.

Właśnie, czy znanych? Czytając tę dziwną książkę, która jest właściwie kontemplacją treści ewangelicznych, stwierdzamy, że całe złoża bardzo nam potrzebnych treści leżały w niby znanych wersetach dotąd przez nas nie zauważone.

Autor jest dobrym biblistą i książka zdaniem znawców jest tego świadectwem. Nigdzie jednak nie popisuje się swą fachowością. Znajomość biblistyki po prostu pomaga księdzu Ziei w lepszym wczytaniu się w Ewangelię. Czyta więc ją uważnie, wiersz po wierszu i zaprasza czytelnika, żeby spróbował spojrzeć na karty Ewangelii razem z nim. Może znajdzie tam coś, czego do tej pory jeszcze nie odkrył.

Na początku książki w kilkunastu wierszach wprowadzających autor zastrzega się, że „rozmyślania nie mają zamiaru analizować głównych myśli Ewangelii. Nie są też jej komentarzem”. Odczytując w porządku chronologicznym kolejno cztery Ewangelie, autor podejmuje z każdego rozdziału pewne sprawy, które budują chrześcijański pogląd na świat i mają związek z dzisiejszym życiem, zwłaszcza w dziedzinie moralnej.

I oto okazuje się, że tego wszystkiego w co wierzymy i czego trzymamy się w postępowaniu, naprawdę trzeba i można szukać w Ewangelii.

Banalne to na pozór odkrycie przynosi ogromną ulgę dzisiejszemu człowiekowi, który zasypywany artykułami i książkami teologicznymi (i w ogóle religijnymi) może

mieć w końcu poczucie winy, nie czytając tego wszystkiego (nie pogłębiasz wiary, mój synu) albo z braku czasu, albo, co — przypuszczam — nie jest wcale rzadsze, dlatego że nie umie poradzić sobie z zawilóściami stylu i języka oraz tak bardzo nieraz odległą od jego zwykłego sposobu myślenia argumentacją. Ewangelię zaś, choć egzemplarze jej dotarły pod strzechy, nadal nie bardzo wiadomo jak czytać, bo samo wręczenie egzemplarza nie oznacza jeszcze niestety przybliżenia treści.

Blisko czterysta rozważań, na ogół zresztą tak krótkich, że lektura ich zajmuje dwie — trzy minuty, to zatrzymanie uwagi na poszczególnych, wybranych wersetach Ewangelii. Wersety te są na ogół tytułami rozważań. Ks. Zieja podaje jeszcze numery rozdziałów i wierszy, proponując czytelnikowi własną szerszą lekturę Biblii. Lektura ta i własna nad nią refleksja jest, zdaniem autora, warunkiem odniesienia korzyści z książki. Sama zaś książka nie nadaje się, zdaniem autora, do przeczytania „jednym tchem”. Lekturę należy rozłożyć na czas dłuższy. Co do tej metody czytania nie mam zdania, gdyż książkę przeczytałem właśnie „jednym tchem” i nie wyszukiwałem wskazywanych fragmentów, zadowolając się pojedynczymi wersetami-tytułami. Wokół nich zresztą skupia się zwykle treść rozważań.

W świetle Ewangelii patrzymy z autorem na kalejdoskop spraw ludzkich i Bożych. Spotykamy Norwida z jego *Litanią*. Teilharda de Chardin, Fabera, ojca Karola de Foucauld, a nade wszystko spotykamy Jezusa. Nieco może irytująca przy pierwszych stronach lektury inwokacja „Jezu”, od której rozpoczynają się wszystkie niemal rozważania, stopniowo staje się po prostu potrzebna. Książ Zieja rozmawia z Jezusem o różnych sprawach, które leżą mu na sercu. Przyznaje, że chwilami nic nie rozumie i prosi o dar pogodzenia się z tym, że czasem tak musi być, że człowiek nie rozumie Boga: „...jeżeli najbliżsi Tobie, najświętsi na ziemi nie zrozumieli...” (z rozważania o znalezieniu Pana Jezusa w świątyni). Książ Zieja nie dokonuje nigdy — jak to zdarza się gorliwym obrońcom Pana Boga — dziwnych ewolucji myślowych, byle wszystko wytłumaczyć: „Na pytanie, dlaczego cierpią stworzenia Boże? — nie mamy odpowiedzi wyjaśniającej wszystko bez reszty. Odpowiedź pełna, choć nie wyjaśniająca, jest tylko ta: nie wiemy i nie wiadomo, czy kiedyś tu na

niemi będziemy wiedzieli. Ale wie nasz Ojciec Niebieski. Jemu ufamy". W rozważaniach ks. Zieja rzeczy bolesne nazywane są po imieniu. Tak więc pisze o zdradzie ideału ewangelicznego ubóstwa, chowającej się za zręczne rozróżnienia prawnicze „własność prywatna”, „własność klasztor-na”, o tragicznym wydzwisku wszystkiego, co doprowadziło do takich zwrotów, jak „zakupić Mszę św.”, „opłacić ślub” itp. Natychmiast jednak dziękuje Bogu za to wszystko, co na ostatnim Soborze powiedziano o ubóstwie Kościoła. Do końca dopowiedziane są bolesne wątpliwości dotyczące sytuacji ludzi, którzy z poplątanych sytuacji małżeńskich nie mają w Kościele wyjścia: „Wobec Boga (a więc i w posługiwaniu duszpasterskim) nie ma i nie może być sytuacji bez wyjścia dla człowieka żywego osadzonego po-śród żywych. Nawet Judasz miał Boże i ludzkie wyjście z sytuacji jedynej przecież na świecie...”

Nowymi treściami ożywiają się w książce księdza Zieja teksty znane na pamięć: „Zdrowaś Maryjo” („pozdrowienie nasze”) i „Ojczy nasz”, w rozważaniu, będącym rozwinięciem znanej parafrazy Modlitwy Pańskiej, którą ks. Zieja umieścił na końcu swego katechizmu *Życie religijne*. Na nowo odczytujemy znane błogosławieństwa i groźby („bia-da”), a w krótkim rozważaniu: „Zgrzeszyłem wobec nieba i przed Tobą”, zostaje nam przypomniane, że „pokuta rodzi w nas nadzieję jutra niezatrutego wczorajszym złem”.

Nawet twarde słowa Pana Jezusa: „niech ci będzie jako celnik” nagle ukazują się w zupełnie nowym świetle: „Ty byłeś przyjacielem celników i grzeszników. Więc i my... Jezu, uczyni nas uczniami swoimi”. I tak strona po stronie odnajdujemy w książce siebie z wszystkimi kompromitującymi odruchami i nawykami myślenia i jesteśmy zmuszeni, by w tej swojej prawdzie stanąć oko w oko z Jezusem, który jest miłością.

„I stał lud patrząc. Szydzili z Ciebie. «Zejdź z krzyża, a uwierzymy w Ciebie». Nie wiedzieli, że Ty mogłeś zejść, a nie schodziłeś dlatego, że ich kochałeś i za nich ofiarowałeś swe życie. Gdybyś wtedy zeszedł z krzyża, może by uwierzyli w Twą boską moc. Ale Ty pragnąłeś, żeby uwierzyli nie w moc, ale w miłość. Nadejdzie czas, że uwierzymy i w jedno, i w drugie. Ale najpierw musimy uwierzyć w miłość. To będzie prawdziwą wiarą... Jeszcze niejedyn raz będzie tłum stał patrząc... Ale oni jeszcze nie

wierzą w miłość. Ciągłe chcą widzieć moc, choćby ich samych smagała jak niewolników. Ale nadejdzie czas..."

Powiedziałem na wstępie, że ksiądz Zieja wybrał metodę ryzykowną i pokorną w przybliżeniu czytelnikowi Ewangelii. Wydaje mi się bowiem, że trzeba wiele pokory i odwagi, żeby pokazać bliźnim tak bardzo wewnętrzne swoje sprawy. To nie jest jeszcze jedna książka o modlitwie. Jest to własna modlitwa autora. Stąd też ryzyko jednostronności i subiektywizmu. Ale przed tym uchroniła wierność wobec tekstu. Kontemplacyjny styl rozważań niepostrzeżenie prowadzi czytelnika do własnej modlitwy.

Niezglębiane są możliwości kazuistyki: ocean bez dna. A jeśli rzecz dotyczy przy tym przepisów religijnych...

„Pamiętaj, abyś dzień święty święcił...”

„...dyskutowaliśmy o tym, jak należy rozumieć postulat Kościoła, aby w niedziele i święta powstrzymać się od pracy. Otóż, byliśmy zgodni co do tego, że lekarze, pielęgniarki, wychowawcy w domu dziecka, pracownicy poczty, komunikacji itp. muszą pełnić swoje niedzielne dyżury. W pracy domowej takie zajęcia, jak gotowanie, palenie w piecu, opieka nad dziećmi, konieczne naprawy, muszą być zrobione. Gdy zakład pracy podejmuje decyzję pracowania jednej z niedziel, pracownicy muszą do pracy stanąć.

Różnica wystąpiła, gdy chodziło o pracę zarobkową. Spotkałem się z poglądem, że wszystkie prace umysłowe są w niedziele dozwolone, a zakaz dotyczy wyłącznie ciężkiej pracy fizycznej. Czy rzeczywiście w zależności od zawodu jest dozwolone lub zakazane wykonywanie prac w niedzielę?...”

Ktoś inny na ten temat: „...czy to możliwe, aby była taka dyskryminacja pracowników fizycznych przez Kościół, który wyznaje przecież zasadę równości i sprawiedliwości?”

„Zapytuję, kto i kiedy podjął decyzję, by zamiast soboty święcić dzień Zmartwychwstania? Przecież pierwsi chrześcijanie jako Żydzi nie świętowali niedzieli?...”

Z Dziejów Apostolskich: „Schodzili się wtedy (chrześcijanie) na łamanie chleba w pierwszy dzień po szabacie”.

Didaskalia (dokument chrześcijański z III wieku): „Polecāj i napominaj, aby lud wierny się gromadził i aby nikt nie umniejszał jedności Kościoła, aby nikogo nie brakowało...”

Początkowo chrześcijańska niedziela była jedynie dniem kultu, przy czym szabat zachowywano także. Pierwszy dzień po szabacie miał swoją specyfikę. Prace przerywano tylko na czas zebrań religijnych. Trzeciego marca 321 r. cesarz Konstantyn zakazał wykonywania wszelkich prac w dzień świąteczny.

W Starym Testamencie występuje zakaz wykonywania „prac służebnych”. Dla chrześcijan od najdawniejszych czasów pojęcie „prac służebnych” miało jedynie sens symboliczny. Np. według św. Ireneusza jest to synonim chciwości, według św. Augustyna i św. Hieronima po prostu grzech. Dopiero w VI w. zaczyna się nawiązywanie do starotestamentalnego odpoczynku świątecznego. W międzyczasie zjawily się pewne infiltracje nie całkiem biblijne.

Rabini wymieniali w Talmudzie trzydzieści dziewięć czynności, którymi gwałcono szabat. Np. zawiązywanie lub rozwiązywanie węzła na sznurze, zgaszenia lampy, zrobienie dwóch (!) ściągów igłą, napisanie dwóch liter. Były też „furtki”, np. jeśli wielbłądnik mógł jedną ręką rozwiązać węzeł zrobiony na sznurze od uzdy, nie łamał szabatniego spoczynku, podobnie — jeśli węzeł nie był zawiązany na sznurze, lecz np. na taśmie. Jeśli kogoś bolały zęby, mógł wypłukać usta octem, pod warunkiem, żeby ocet połknął (równało się to przyjęciu pokarmu — w szabat dozwolone), a nie wypłuł (wtedy zabieg leczniczy — w szabat nie dozwolony). Szeroko dyskutowano, czy można zjeść jajko zniesione przez kurę w dzień szabatu.

Św. Benedykt (V w.) poleca, by zakonnicy, którzy nie chcą lub nie mogą w niedzielę rozmyślać i czytać, byli posłani do zwykłych zajęć, byleby nie próżnowali.

Ile minut można szyć w niedzielę, żeby to nie było grzechem? Czy praca pilota jest umysłowa, czy fizyczna? A pisanie na maszynie? Czy upranie trzech koszul męzkowskich jest ciężką pracą fizyczną? A praca w ogródku działkowym? Grzech? ... Nieporozumieniem byłoby uprawiać tego rodzaju kazuistykę. Z życia: „...kochana, naprawdę nie mam czasu... nie mogę, mam jeszcze zrobić to, to, to (tu uczciwe wyliczenie), nie mam czasu, nie mam czasu, nie mam czasu...” Wiadomo, typowy znak, że z miłością zaczyna być źle. Nie awantury, ale tylko tyle: „Nie mam dla ciebie czasu...” Święcić? dzień święty?... przepraszam, ale nie mam na to czasu.

Papież Jan XXIII uczył: Bóg ma prawo i władzę nakazać człowiekowi, by każdy siódmy dzień przeznaczal na oddawanie Mu czci, by oderwawszy się od codzienności wzniósł umysł swój do spraw niebiańskich, by przeznaczył ten dzień na rozmowę z własnym sumieniem, by zastanowił się nad tym, jakie miejsce zajmują w jego życiu

związki z Bogiem. Tak pisał papież Jan w encyklice *Mater et Magistra* i martwił się o tych ludzi, którym odebrano niedzielę: „...z ubolewaniem patrzemy...” Niedziela, z konieczności skład zaległych prac tygodniowych, to także odebrana niedziela.

Smutne są domy, gdzie machina codzienności nie jest zatrzymywana nawet na jeden dzień...

Pamiętaj, abys dzień święty święcił... Kto tu jest stroną biorącą? Chyba nie tylko Bóg — Pan Szabatu.

Wystarczy czasem jedno pytanie: czy rzeczywiście jesteście przekonani, że to wszystko, co przed chwilą wyznałeś, ma jakiś związek z Bogiem? Czy rzeczywiście uważasz, że On od ciebie oczekuje, że to wszystko teraz się zmieni? — Wystarczy, by człowiek, który przed chwilą starannie, według kolejności przykazań Bożych i kościelnych, wyliczał swe przewiny, swoje opuszczone (bardzo często z racji choroby lub podróży) msze niedzielne, poranne modlitwy odmawiane w drodze do pracy, mięsne obiady zjedzone w piątki, brzydkie słowa i nieczyste myśli, odruchy wściekłości na małego złośliwego współlokatora z wspólnego mieszkania itd. — nagle zmienił front i zaczął tłumaczyć, że są to rzeczy od niego niezależne, że większości z nich nie da się zmienić. Czasem odpowiedzią jest milczenie wywołane zaskoczeniem wobec niespotykanej i kłopotliwej dociekliwości spowiednika („nikt mnie nigdy o coś takiego nie pytał”); czasem — zwłaszcza gdy w grę wchodzi sprawa, w której człowiek jest głęboko zaangażowany uczuciowo — słyszy się odpowiedź, że tak naprawdę, to zupełnie nie rozumie, czemu to jest grzechem, że „na te sprawy ma swój własny pogląd”, a jeśli się spowiada, to dlatego, że chce przystąpić do Komunii. O zmianie zasadniczej nie może być oczywiście mowy. Na dalsze pytania: co to jest w takim razie grzech, pada katechizmowa odpowiedź, że jest to świadome i dobrowolne przekroczenie prawa Bożego lub kościelnego.

Marc Oraison stawia kapitalny problem, kiedy stwierdza, że w myśleniu na temat zła i dobra chrześcijanin bardzo często prawo uznaje za ostateczny punkt odniesienia, Bóg zaś staje się dlań „narzędziem prawa”, jak żandarmer czy sędzia. W takim układzie życie chrześcijańskie polega na takim lawirowaniu między zakazami i nakazami, by w niebieskiej księdze nie została dopisana jeszcze jedna „krecha”. Spowiedź przypomina wykrobywanie ze szkolnego dziennika złych not przez przyjaciela złego ucznia, który jakimś cudem dostał do ręki ów fatalny dziennik.

Otrzymałem kilka listów z prośbą o podanie „dobrego rachunku sumienia”. Tu proponuję punkt wyjścia do włas-

nych rozrachunków. Jest nim przypowieść o talentach. Trzeba rozliczać się z otrzymanych szans. Wszystko jest szansą, każdą rzecz można robić dobrze, lepiej lub byle jak. Bóg — Sędzia nie stanie przed nami tylko z rejestrem naszych „wpadunków”, lecz zapyta o dobro spełnione lub zmarnowane. Proszę sprawdzić w opisie Sądu Ostatecznego. A prawo? Prawo wskazuje kierunek rozwoju, wskazuje, która z możliwych ewentualności oznacza rozwój, która regres.

Drugim punktem wyjścia jest przypowieść o faryzeuszu i celniku. Faryzeusz pławi się w samozadowoleniu i daje Bogu do zrozumienia że wcale Go nie potrzebuje, celnika natomiast stale trawi niepokój poszukiwania — i to jest właśnie pokutą.

I tu znów sprawa spowiedzi (raczej pokuty sakramentalnej). Trzeba przypomnieć katechizmową wiedzę, że przychodzi się tu do Chrystusa przebaczącego. To nie ksiądz sądzi, lecz On. Ksiądz może co najwyżej ocenić — i to w pewnej tylko mierze — z jakim przychodzę nastawieniem. A sąd? Samarytanka, łotr na krzyżu, Zacheusz, kobieta grzeszna, Piotr ... Przypowieść o powrocie syna marnotrawnego...

Nie ma zrozumienia grzechu, bez zrozumienia, że w grę wchodzi Ktoś. Ktoś kochający, Ktoś, kto oczekuje w imię miłości, że nie zawiodę oczekiwań. Ktoś, Kogo zawiodłem, do Kogo wracam.

Kolejka milczących ludzi. Szept. Stukanie. Ktoś odchodzi i kolejka nieznacznie przesuwa się. Znów szept... stuk, stuk... Nic się właściwie nie dzieje.

Nie wiem, ile jest w Polsce konfesjonałów. Nie wiem, ilu statystycznych Polaków przypada na jeden konfesjonał. Ilu tygodniowo ludzi się spowiada, ilu co miesiąc, ilu co rok. Chyba liczby są niemałe.

Wyszła naukowa praca o wychowawczej roli spowiedzi. Napisał ją psycholog. Psycholog przeprowadził wśród tysiąca młodych ankietę, w której pytał, czy młodzież woli w konfesjonale księdza starego czy młodego, takiego, który pyta i rozmawia, czy takiego, który mówi „nauczkę”, czy spowiedź w czymś pomogła itp. Potem napisał tę pracę. Odpowiednio dobrane pytania pozwoliły na ustalenie zachodzących korelacji i wyciągnięcie ogólnych wniosków.

Ta rozmowa daleka była od naukowej precyzji. Właściwie zupełnie przypadkiem zeszła na sprawę spowiedzi i okazało się, że to wszystkich bardzo interesuje.

Spowiedź... częsta, czy raz w roku? Co pomaga w dobrej spowiedzi, co przeszkadza? Jak robić rachunek sumienia? Jak to od waszej księżowskiej strony wygląda?...

Do wielu rzeczy człowiek przywyka. W domu sprzątanym tylko od wielkiego dzwonu nie rażą brudne szyby i śmiecie. W pokoju co dzień sprzątanym każdy drobiazg rzuca się w oczy, każdy śmieć. Często czy rzadko? „Byłem rok temu u spowiedzi i... właściwie nic nie mam do powiedzenia”. Już nic nie razi. Do wielu rzeczy człowiek przywyka.

Częsta spowiedź? tak, ale... św. Franciszek Salezy pisał do swej duchownej córki: „Nie patrz ani w lewo, ani w prawo. Nie chcę powiedzieć bynajmniej, byś w ogóle nie patrzyła, lecz chcę powiedzieć: nie patrz dla zabawy, ażeby się zająć i obalamucić swój umysł rozważaniami, z których nie umiałabyś się wywikłać. Obawiasz się niepokoju, później obawiasz się strachu przed niepokojem, gniewa cię gniew, później gniewasz się, że jesteś zagniewana na gniew i wszystko to przypomina koła na wodzie... Jakież lekar-

stwo, droga Córko? Łaska Boża — a poza tym nie bądź taka delikatna. Śmieję się z większości tych dąsów, nie zawracaj sobie głowy ich odrzucaniem, śmieję się z tego, rozerwij się działaniem, próbuj dobrze spać”...

To dla tych „za trzy dni będzie tydzień, jak byłam u spowiedzi...”

„Budująca nauczka, jaką zdarza mi się słyszeć w konfesjonale, odrzuca mnie od sakramentu pokuty”... „Ja zwykle po prostu nie słucham, co ksiądz tam szepcze. Kiedyś strasznie było głupio, bo nagle się o coś spytał — a ja nie miałam pojęcia, o co chodzi...” Ktoś mądry pociesza: „Najważniejsze są słowa ostatnie: *ego te absolvo*. A jednak czeka się na zrozumienie, a przynajmniej zainteresowanie. Chyba moje — nawet nie nadzwyczajne — sprawy i problemy są przynajmniej tu, w tym kontekście spowiedziowym tak samo ważne jak sprawy różnych „ważnych” ludzi. Tu ważny jest każdy człowiek jako człowiek.

Mówią księża: często brak sił, by za każdym razem od nowa rozbijać schemat typu: „szczypię — kopię — pluję — drapię — więcej grzechów nie pamiętam” — i tak co pierwszy piątek.

Mówią księża: dlaczego wy przychodzicie wszyscy naraz? Przez całe długie ranki i wieczorne nabożeństwa w konfesjonalach odmawiamy nasze brewiarze. A potem w niedzielę przy okazji Mszy św. (cóż to swoją drogą za uczestnictwo w tej Mszy?) wszyscy naraz. Trudno się dogadać wśród huku organów, między kazaniem a chrztem. Świadomość długiej kolejki odbiera spokój. Tak, wiem, że odpowiadam za tego, z którym rozmawiam, ale mimo wszystko...

Nie chodzi o to, żeby spowiedź była długa, aż do spuchnięcia kolan. Tyle, żeby razem pomyśleć nad tym, czy „po-stanawiam poprawę” jest czymś więcej niż formułką — zaplanować razem co dalej i jak...

Rachunki sumienia: „czy przeklinałem (-am)?, ile razy? czy modliłem (-am) się w skupieniu? czy kłamałem (-am), ile razy?” itd. Jest bardzo wiele „rachunków sumienia”. I jest przy tym wiele bardzo złych rachunków sumienia. A gdyby przynajmniej dodawać jeszcze „dlaczego?” „Kłamałem” — to nic nie znaczy. Można kłamać z nienawiści, ze strachu, z dobrego serca, dla kawału. Co to znaczy „przeklinałem”? — czy z każdego „cholera” należy się

spowiadać i właściwie dlaczego? Dobry „rachunek sumienia” jest jak błysk latarki oświetlającej różne ciemne zakamarki, do których ani się śniło zaglądać.

Ale może potem na chwilę zamknąć książeczkę i spytać siebie np. o to, co może myśleć o mnie Bóg, albo choćby o to, co do mego rachunku sumienia dodałaby żona. Ciekawe, czy na sądzie będziemy rozliczać się jedynie ze zwykłych świństw i grzechów? Bóg prawdopodobnie zapyta nas również: „a teraz powiedz, coś ty, bracie, przez ten cały czas zrobił dobrego?”... Pytasz, co mogłeś zrobić? A czy każdy spotkany człowiek, każda sytuacja życiowa nie jest zadana do rozwiązania krzyżówką i nawet omijanie jej chyłkiem z boku, chytry unik („nie musiałem”...) nie jest unikiem, liczy się. I to się dopiero nazywa „zdać sprawę z włodarstwa swego...”

MATERIAŁ DO REFLEKSJI PRZED SPOWIEDZIĄ REKOLEKCYJNA

„Jest w spowiedzi aspekt twórczy¹. Aspekt koncepcji życia. Nuży cię i zniechęca powtarzanie tych samych grzechów. Ale te grzechy, które wyznajesz, czyż oddają rzeczywiste oblicze twego życia? Jego istotne powołanie i twoje niesprostanie, twoje niedorośnięcie?

Idź głębiej niż powtarzanie ciągle tych samych grzechów: pytaj, czego żąda od ciebie Bóg w języku sytuacji, talentów, pragnień i potrzeb ludzi, wśród których żyjesz. KIM chce Bóg, abyś był?

Naucz się patrzeć swemu życiu w twarz. Naucz się widzieć, gdzie leży główna linia jego walki, gdzie leży waga jego świadectwa. Naucz się widzieć, kim jesteś i dokąd dążysz w swym konkretnym życiu, i porównywać ten obraz z rolą, którą wyznaczył ci Bóg w swoim planie miłości. Ucz się odkrywać tę rolę, tę koncepcję życia. Spowiedź jest twórcza...” (z notatnika ekip francuskich).

GRZECHY PRZECIWKO BOGU

Ułożyć sobie życie tak, jakby Bóg nie istniał, religię traktować jako dodatek świąteczny i niedzielny. Poprzestać na kontemplacji natury i życia ludzkiego, bez wznoszenia się od tych rzeczywistości do Boga.

Traktować Boga bezosobowo, nie jako kogoś kochającego, żywego. Sprowadzić zagadnienie grzechu do przekroczenia przepisów kodeksu moralnego lub szkodenia albo nieszkodenia innym. Odnosić się do Boga jako do protektora i to głównie w dziedzinie planów doczesnych, a do religii jako ubezpieczenia od ognia piekielnego.

Motywy religijne stawiać na ostatnim miejscu wśród motywów, które kierują codziennym postępowaniem i ważnymi decyzjami życiowymi.

¹ „Refleksje” mają tu spełnić rolę ilustracji i propozycji. Zostały one opracowane w oparciu o *Rachunek sumienia człowieka dorosłego* oo. Lebret i Suavet („Znak” nr 45) i *Confiteor* ks. Wilsona („Znak” nr 96).

Nie podejmować żadnych środków, które przyczyniają się do pogłębienia religijności i czynią ją dojrzałą: książki, wykłady, konferencje religijne. Nie czytać Ewangelii. Modlić się mechanicznie i niedbale. W modlitwie trzymać się schematów, godzić się, by modlitwa była daleka w treści i formie od tego, czym obecnie żyję i jaki jestem: opuszczać ją z byle powodu, nie zastanawiać się, dlaczego właściwie jest jej coraz mniej. Modlitwę ograniczać do proszenia i to w sytuacjach ostatecznych. Nie dążyć do zrozumienia znaków, przez które przemawia liturgia. Izolować się zewnętrznie i wewnętrznie ze wspólnoty modlących (Msza św. niedzielna).

Sakramenty traktować jako zabiegi magiczne; przystępować do spowiedzi i komunii św. „raz w roku około Wielkanocy...” bo taki jest przepis, nigdy z własnej inicjatywy w ciągu roku. Nigdy nie brać udziału we Mszy św. w dni powszednie (bo nie ma obowiązku). Traktować środki (studia, sprawy materialne, zdrowie itp.) tak, jakby to one były celem ostatecznym. Załamywać się w niepowodzeniach, zapominać, że choć ja nie rozumiem tego, co mnie spotkało, jest Ktoś, kto rozumie, kto mnie kocha, jest wszechmocny i kieruje wszystkimi ludzkimi sprawami.

Pojmować Kościół jako jedną z wielu organizacji, nie widząc w nim żyjącego i działającego Chrystusa. Ograniczyć rolę Kościoła do udzielania sakramentów, pomijając jego władzę nauczycielską. Nie interesować się autentycznym nauczaniem Kościoła, opierać swoje poglądy na informacjach z drugiej ręki.

Nie myśleć o swojej częstce odpowiedzialności za niedoskonałość chrześcijan. Utożsamiać Kościół z klerem, mówić „oni” zamiast „my”. Nie uczestniczyć zupełnie w apostołskim wysiłku Kościoła.

Dawać złe świadectwo odległością życia od wiary. Nie dzielić się wartościami rzeczywistości religijnej z innymi. Wkraczać w cudze sprawy religijne, naruszając prawo każdego do własnych przekonań. W rozmowach lub w innych sytuacjach, wymagających otwartego wyznania wiary, ukrywać swoje przekonania ze względów koniunkturalnych, małoduszności; pod pozorem dostosowania się do otoczenia nie dotrzymywać wierności dyscyplinie kościelnej i odrzucać autentyczne wartości chrześcijańskie. Nie znaleźć w życiu miejsca na prawdziwą, dobrowolnie pod-

jętą pokutę. Nie uczestniczyć w ponoszeniu materialnych ciężarów Kościoła. Uważać chrześcijan niekatolików za wrogów, nie widzieć w nich braci.

GRZECHY PRZECIWKO DRUGIEMU CZŁOWIEKOWI

Mieć egoistyczne nastawienia do życia. Troszczyć się o drugiego człowieka czynić to z motywów samolubnych. Traktować drugich jako narzędzie w realizowaniu swoich zamiarów i planów. Nie dążyć do zrozumienia innych, do zrozumienia pobudek, motywów i okoliczności, które wpływają na ich postawę i postępowanie. Potępiać kogoś, nie rozróżniając między czynem i osobą. (Umiemy to rozróżnienie stosować znakomicie do siebie samych, kiedy czynimy coś złego.)

Nie dopuszczać myśli, że KAŻDY może zmienić się na lepsze. Gardzić kimś np. z racji jego sytuacji moralnej, materialnej, poziomu umysłowego, rasy, narodowości. Ranić słowami lub zachowaniem. Wyładowywać na otoczeniu swój zły humor. Nie szukać w SOBIE przyczyn tego, że z niektórymi ludźmi szczególnie trudno mi współżyć (zazdrość? ambicja? chciwość?).

Za doznaną krzywdę odplacać obmowami, nie przebaczać, mścić się, „wykańczać” wrogów.

Obmawiać, powtarzać zasłyszane ujemne sądy o ludziach. W rozmowach łatwo przechodzić do obmawiania bliźnich, nie przeciwstawiać obmowie pozytywnych cech obmawianego lub racji choć częściowo usprawiedliwiających jego postępowanie.

Myśleć i mówić wciąż o sobie, nie dopuszczać innych do głosu. Nie umieć słuchać.

W jakikolwiek sposób szkodzić innym. Szkodzić zdrowiu innych: zdrowiu fizycznemu przez wciąganie w sprawy lub zabawy bez względu na możliwości fizyczne zainteresowanego; zdrowiu moralnemu — przez zły przykład, namawianie, różne formy przymusu moralnego itp. Przyczynić się w jakikolwiek sposób do czyjejś śmierci.

Nie czynić niczego dobrego bezinteresownie.

Być dla wszystkich miłym i uprzejmym, a dla rodziców i dla najbliższych — przykrym, niecierpliwym, niedostępnym... Łatwo wydawać pieniądze, zarobione przez

rodziców; nie starać się w miarę możliwości ponosić choćby częściowo kosztów swojego utrzymania i studiów.

Traktować „swojego” chłopca czy „swoją” dziewczynę jako rzeczywiście swoją własność i zapominać, że jest to wolny człowiek, dziecko Boże.

Lekkomyślnie rozbudzać uczucia, nadużywać i lekceważyć uczucia drugiego człowieka, nie licząc się z odpowiedzialnością, jaka z tego płynie.

Kochać egoistycznie, zazdrośnie, pragnąć szczęścia kochanego człowieka jedynie pod warunkiem, że będzie on uszczęśliwiony przeze mnie.

Traktować współżycie seksualne tak, jakby nie było się chrześcijaninem uznającym sakrament małżeństwa i twierdzić, że uczucie wzajemne daje wszelkie uprawnienia.

Nie rozwijać w miłości sfery woli i rozumu (odpowiedzialność), wspólnego uznania i pogłębienia przeżycia Największych Wartości i sprowadzać miłość do uczucia i popędu. Dorabiać do tego wygodną teorię. Mówić bez szacunku o sprawach związanych z płcią i miłością. Przez brak wewnętrznej dyscypliny w dziedzinie myśli, pragnień i czynów dopuszczać, by popęd brał górę nad rozumem i wolą. Godzić się na sytuacje, które są bliższą okazją do czynów sprzecznych z uznawanymi zasadami. Z ciekawości lub innych motywów albo zupełnie bezmyślnie szukać okazji do przygodnych przeżyć erotycznych. Wykorzystywać takie okazje. Pod tym kątem traktować wakacje, „prywatki” itp. i zapominać, że popęd seksualny, zdolność kochania i bycia kochanym jest darem danym od Boga, najwspanialszym talentem, którego nie wolno zmarnować.

Nie poczuwać się do odpowiedzialności za środowisko, w którym się żyje. Mieć postawę wyłącznie konsumpcyjną. Nie traktować studiów jako przygotowania do służenia drugim. Studiować jedynie pod kątem zaliczeń i egzaminów. Nie poświęcać zupełnie czasu i sił dla dobra drugich. Mając jakąś funkcję kierowniczą uchylać się od odpowiedzialności. Nadużywać swego stanowiska (kumoterstwo). Nie podejmować potrzebnych, lecz ryzykownych decyzji ze strachu przed możliwością kompromitacji. Nie przyjmować krytyki, reagować na nią emocjonalnie, negatywnie.

Nie dążyć do przepajania stylem i duchem Ewangelii spraw doczesnych, wśród których się żyje.

Być niedyskretnym, zdradzać cudze sekrety, wdzierać

się w cudze sprawy. Nie szanować dobra społecznego i porządku. Łamać przepisy drogowe. Naruszać cudzą własność, nie oddawać pożyczonych rzeczy (pieniędzy, książek).

GRZECHY WOBEC SAMEGO SIEBIE

Nie myśleć nigdy o swoim życiowym powołaniu. W znakach czasu, okolicznościach życiowych, spotkanych ludziach nie dostrzegać woli Boga, który oczekuje najlepszego z możliwych rozwiązań tych sytuacji. Mogąc podjąć jakieś dobro, nie podejmować go, wymawiając się formułą: „ja nie muszę, nie mam obowiązku...”

Godzić się na własną miernotę, na sytuację przegranej, „taki już jestem”. Z niepowodzeń nie wyciągać wniosków na przyszłość.

Nie pracować nad swoim charakterem. Niczego sobie nigdy nie odmawiać (także z rzeczy dozwolonych), być leniwym, zmysłowym itp. tak, że to co ludzkie w człowieku (rozum, wola, dążenie do trudnych wartości) podporządkowane jest niższemu warstwowi osobowości.

Po osiągnięciu pewnego stopnia życia wewnętrznego zadowolić się nim i nie czynić starań, by wznieść się wyżej.

Nie zastanawiać się nad rzeczywistymi motywami własnego działania. Po stwierdzeniu, że motywy te nie są najwyższej wartości, uważać ten stan za normalny: „wszyscy tak żyją”; nie myśleć o tym, że takie cele życia jak pieniądze, znaczenie, przyjemności itp. nie wyczerpują miary ludzkich możliwości. Nie angażować sił i czasu w wartościowe prace społeczne. Angażować siły i czas w sprawy mało warte.

Być zarozumiałym, patrząc z góry na ludzi niczego się od nich nie uczyć.

Lekceważyć zdrowie, które jest darem Bożym, danym do rozliczenia. Nadużywać alkoholu, papierosów itp. Przesadnie dbać o zdrowie. Nie mieć czasu na refleksję.

Nie brać nigdy udziału w rekolekcjach zamkniętych, dniach skupienia lub w inny sposób nie stwarzać sobie warunków do gruntowniejszej refleksji nad sprawami zasadniczymi. Dać się pochłonać całkowicie drobnym sprawom codziennym.

„...Wydaje mi się, że punktem wyjścia dla dzisiejszego rozumienia sensu spowiedzi mogą być następujące sprawy:

1) Rozumienie potrzeby ustawicznego nawracania się całego Kościoła, każdego z nas w Kościele... Często chodzi o nawrócenia się z letniości i obojętności ku życiu.

2) Potrzeba ustawicznego zwracania się do Miłosierdzia Bożego i zrozumienia, że Kościół, będący, jak mówi Konstytucja o Kościele, jak gdyby sakramentem jedności ludzi z Bogiem i ludzi między sobą, udzielając i przyjmując sakrament pokuty realizuje też jedność miłosierdzia — Miłosierdzia Boga dla nas przez miłosierdzie jednych dla drugich. Tu chyba znajduje swój sens tajemnica zawierzenia człowiekowi, który jest w Kościele szafarzem sakramentu.

3) Pozytywnie chodzi — wydaje mi się — o przekształcenie pojęcia kierownictwa w rozumienie potrzeby korzystania z daru rady w Kościele. Dar rady odnajdujemy nie tylko w sakramencie pokuty — ale we wszelkiej pomocy jednych drugim. W sakramencie pokuty ma on jednak swoje uczestnictwo. Wydaje się, że spowiednicy powinni być szczególnie uczuleni na to, co muszą rozstrzygać kategorycznie, w imieniu Chrystusa i Kościoła, i orzekać jako złe lub dobre — a w czym mają prawo radzić i tylko radzić. Niełatwo jest z obu stron utrzymać pozycje wolności i posłuszeństwa, zawierzenia radzie, a nieulegania pokusie zwalania na sumienie innego człowieka swoich spraw”.

„...Kazania, które się słyszy przed Wielkanocą na ten temat, są często rozpaczliwe. Rzadko wychodzą poza nawoływanie do «oczyszczenia duszy» — nie tłumacząc nic, na czym to oczyszczenie polega. Toteż panują dwa schematy starego i przebrzmiałego traktowania spowiedzi. Jeden to «wielkie sprzątnięcie» przed Wielkanocą. Wedle tego przekonania do spowiedzi trzeba przyjść z porządnym grzechem ciężkim. Jest to przy tym problem nieco prawniczy, nie sprawa nawrócenia i przemiany, ale rodzaj zapłacenia podatku należnego Panu Bogu za różne większe czy mniejsze draństwa, by można było świętować w zgodzie z Nim.

Toteż wielu ludzi dalekich od Kościoła, ale znających ten schemat, uważa, iż jest to zwykły kruczek zrzućcia z siebie odpowiedzialności za zło, hokus-pokus, wybielający nas tanim kosztem i bez wysiłku. A myślą tak, ponieważ nie znają tajemnicy nawróćcia zawartej w sakramencie spowiedzi. Drugi schemat to drobiazgowe kierownictwo duchowe, na wzór posłuszeństwa zakonnego. Ten schemat wyrósł z naśladowania przez ludzi świeckich w ciągu pokoleń różnych typów duchowości zakonnej. Wielu ludziom dziś jeszcze wydaje się, że częsta spowiedź to drobiazgowe poddanie swego sumienia pod kierownictwo i decyzję Kościoła. W efekcie takiego myślenia do księdza przychodzi się jak do poradni od wszystkiego — z kłopotami zawodowymi, rodzinnymi.”

„...Nie można się dziwić, że ktoś kto przychodzi raz na rok do spowiedzi czy nieco częściej, nie zawsze wie, co ma mówić. Czy uczono nas kiedy moralnego wartościowania naszych czynów? Byłam wychowana w konsekwentnym katolickim domu, ale według tego, co dzisiaj czytam w «Tygodniku», wszystko to było w bardzo ciasnym ujęciu. Trochę więc pojęć moralnych mi naciekło, ależ ilu znam ludzi, nawet praktykujących, u których pojęcia moralne są swoiste, luźne, bez żadnych podstaw. Są to zazwyczaj normy negatywne, znacznie łatwiejsze od pozytywnych. Teraz, kiedy się mówi o czytaniu Pisma Świętego, to tam są przede wszystkim normy pozytywne. My zaś w Polsce — patrząc od strony kazań choćby, byliśmy kierowani w stronę norm negatywnych. Przy takim ujęciu moralność staje się czymś bardzo skomplikowanym, bywała też bardzo różnie podawana.”

„...Chciałabym bardzo przeczytać w «Tygodniku Powszechnym», jak robić rachunek sumienia. Jestem przeważnie niezadowolona ze swojego...”

„...Rzetelny rachunek sumienia to najtrudniejsza kwestia, szczególnie dla nie znającego lektury teologicznej. Wiemy, że grzech — jest to rozumowo pojęte i dobrowolne przekroczenie prawa Bożego, ale jak w danym wypadku odróżnić dobrą wolę od złej woli?...”

„...Spowiedź łączymy integralnie z rachunkiem sumienia. Najczęściej opieramy się na tradycyjnych pytaniach zamieszczonych w książeczkach do nabożeństwa. Okazuje się, że owe rachunki sumienia nie odpowiadają w pełni problemom współczesnego człowieka. W związku z tym dobrze by było, gdyby wzorcowe schematy uległy małej zmianie...”

„...Trochę więcej zainteresowania się życiem zewnętrznym, szarym życiem. Myślę, że ksiądz powinien zapytać o te sprawy, które są powodem braku poprawy. Życie wewnętrzne jest ściśle związane z życiem zewnętrznym...”

„...Co między innymi powoduje katarynkowy typ: szczypię — kopię — pluję — drapię? — dla każdego z nas mimo wszystko świadomość konieczności wynurzenia się przed człowiekiem paraliżuje mowę, a wówczas łatwiej wybierać, aniżeli opisywać. To usprawiedliwienie pachnie infantylizmem — ale tak jest... Należą się tu wyrazy wielkiej wdzięczności dla tych spowiedników, którzy często mimo znużenia cierpliwie dopomagają...”

„...Współczesny człowiek, trzeźwy, realny, wbrew pozorom pragnie w konfesjonale dobroci (co nie oznacza tolerancji czy zmniejszenia wymagań), życzliwości prawdziwej a nie formalnej, która potrafi spotęgować w człowieku wysiłek woli...”

„...Nie zawsze jest czas na przeanalizowanie w konfesjonale wszystkiego. Konfesjonał może działać bardzo dużo, zmieniając i poszerzając zakres zadawanej pokuty dodaniem przeczytania książki do odmówienia litanii. Spotkanie w konfesjonale z książką przeżyłam raz w życiu... Nieznany kapłan podał mi książkę z podkreślonym dla mnie rozdziałem. Spowiedź tę (sprzed wielu lat) zachowałam w pamięci jak skarb. Zostawiła trwalszy może ślad niż usłyszane rekolekcje...”

„...Parafia katedralna. W kruchcie ogłoszenia, iż spowiedź rano i wieczorem podczas nabożeństw. W okresie adwentowym, w czasie kazań niedzielnych zachęcano do spowiedzi, zaś wieczorami w konfesjonałach pustki. Na

zwróconą wagę ksiądz przyznał rację, ale «tak się złożyło, że akurat żaden ksiądz nie miał czasu». Ten sam kościół w styczniu — sytuacja identyczna. Ksiądz wyjaśnia, że koledzy «kolędują», a on po nabożeństwie ma konferencję... Największe skupisko księży w mieście...

Niedzielną Mszą św. w naszej parafii w centrum wielkiego miasta. Ksiądz jest w konfesjonale, ale tylko do komunii. A właśnie pomiędzy dwoma Mszami jest 15 minut ciszy i spokoju. Poszłam do tego kościoła w któryś dzień tygodnia wieczorem. Konfesjonały puste, pewnie spowiadano rano, ale przecież wiadomo, że większość ludzi wówczas pracuje. W końcu jest człowiek skazany na spowiedź właśnie w któryś tam pierwszy piątek lub czwartek, lub też podczas Mszy niedzielnej. Może my akurat mieliśmy pecha z tą spowiedzią, zawsze jednak gdy odchodzę z kwitkiem, myślę, że może był ktoś chętny w kościele do spowiedzi, kto już nie powróci.

Widzi ksiądz, tak to czasem wygląda od naszej, penitencyjnej strony. Może warto, by księża wiedzieli, że my ich nieraz szukamy w konfesjonałach.”

SYN MARNOTRAWNY

Najsmutniejszą rzeczą, która może spotkać człowieka, jest odtrącenie jego miłości. Bywa, przychodzi list: „... już koniec, zmieniłem sąd, to była pomyłka, ostatecznie wszystko się zmienia, nie myśl o mnie źle”, i tak dalej, cały arsenał gładkich, uprzejmych zwrotów. Potem jest już tylko bezradność człowieka, któremu dar, jaki chciał dać — dar jego miłości — wciśnięto z powrotem w ręce. Zbyteczny, niepotrzebny.

To jest ciężka próba, przed którą może stanąć miłość. Bo granica między miłością a nienawiścią jest zaskakująco cienka. Jakże często w miejsce miłości wybucha nienawiść. Z żalu? Z bólu?

Bywa też — i to jest zwycięstwo miłości — że człowiek podejmuje ciężar nie przyjętego daru: pamiętaj, zawsze możesz wrócić. I to jest wszystko. Odtrącona miłość ma na swoją obronę tylko tyle. Bo do miłości zmusić nie można.

Taka bywa miłość rodziców.

W przypowieści o synu marnotrawnym powiedziano, że taką miłością kocha nas Bóg: pamiętaj, zawsze możesz wrócić... synu.

„...przyprowadzili do Niego kobietę, którą pochwycono na cudzołóstwie”.

Reakcje ludzkie na złe postępowanie bliźnich mają wartość testu: powiedz, jak reagujesz na cudze grzechy, a powiem ci, kim jesteś. Dobrze to znamy: święte oburzenie „sprawiedliwych” („do więzienia takiego wsadzić”, „powinno się bojkotować”, „jak można tolerować coś takiego”). Oburzeni, zgorszeni, sprawiedliwi hałaśliwą sprawiedliwością ludzi zadowolonych z siebie. A za całym owym hałasem czai się strach i niepewność. Ci fanatycy sprawiedliwości, zgorszeni, poprawni, robią wrażenie ludzi, którzy chcą wmówić całemu światu i sobie: jesteśmy inni, jesteśmy sprawiedliwi, czysti, nie tacy jak ci. Ile w czynionym przez nich hałasie jest ukrytej niepewności? Ile jest żalu, że ktoś ośmielił się zrobić to, czego oni sami nie mogli, nie

umieją, nie mają odwagi, śniąc – tym po nocach? Dźwigają z ponurą goryczą brzemie swojej „czystości”, podobni do skąpca, który z głodu umiera na sienniku wypchanym pieniędzmi drżąc, by ktoś tych pieniędzy mu nie ukradł. Sędziowie, którzy osądzając bliźnich tłumią własne, skrywane poczucie win. Fanatyczni, tropiący zło uparcie, pamiętliwi.

Dobrze znamy i tych „tolerancyjnych”. Łagodni, patrzą przez palce, wobec grzechów ludzi z otoczenia odwracają dyskretnie wzrok, udają, że nie widzieli, a potem przy spotkaniu mrużą konspiracyjnie oko: razem spiskujemy, nic się nie martw, cóż, wszyscy jesteśmy ludźmi... I znów wątpliwość, ile w tej dobroduszości jest prośby o wyrozumiałość dla własnych kompromisów, ile szukania poparcia, że nie tylko oni są tacy, proszenia: kiedy mnie złapiesz, pamiętaj, ja byłem wyrozumiały, do mnie też zastosuj taryfę ulgową.

Nie wiem, którzy są gorsi. Sądzę, że jedni i drudzy w gruncie rzeczy są zgoła obrzydliwi.

Jezus postawiony został przed dylematem: potępi — albo machnie ręką, powie, że ostatecznie zło nie jest tak bardzo złe. Albo stanie po stronie „sprawiedliwych” tropicieli zła i poprawi ich samopoczucie, albo po stronie grzechu, więc oni Go potępią, co też dobrze zrobi ich samopoczuciu... Oni myśleli cały czas o sobie. A Jezus zobaczył biednego człowieka, nad którym wisiała straszna śmierć (prawo nakazuje takie kamienować).

Jest pedagogika przymusu, strachu, kar bezwzględnych, zastraszania. Jest też dobroduszne przymykanie oczu. Ale to nie wszystkie możliwości.

Są w życiu takie sytuacje, że komuś, kto na nas liczył, kto nam ufał, kto kochając uważał, że każdy może sprawić zawód, tylko nie my — sprawiliśmy zawód. I kiedy cała sprawa wyjdzie na jaw, kiedy przed tym, kto nam ufał, stoimy, wiedząc, że cokolwiek powiemy, tylko nas pograży, możemy usłyszeć: przecież i tak cię kocham, nadal na ciebie liczę. Sprawa jest zamknięta... Takie słowa przywracają życie, tworzą więź mocniejszą niż nakazy i kary, radują więcej niż wyszukiwane „na siłę” okoliczności łagodzące, w których jest często tyle zakłamania...

Jezus nie powiedział kobiecie, że „drobiazg”, że „nie

ma o czym mówić, każdy jest człowiekiem". Jezus nie prowadził dochodzenia „jak to było”, „jak mogłaś”. Powiedział, żeby szła w pokoju i żeby już więcej nie grzeszyła.

JUDASZ

Tak mało wiemy o tym tragicznym człowieku z Ewangelii. Autorzy, którzy znali finał, zanotowali tylko nieliczne jego wypowiedzi. Trzeba przyznać, że te odezwania nie stawiają go w najlepszym świetle. Może znajomość finału podyktowała Ewangelistom taki właśnie wybór. Judasz był powołany, był wybrany, jak inni Apostołowie, jak Piotr, Jan, Maciej. Wiedział, że ten, za którym idzie, nie jest bogatym człowiekiem, że „nie ma gdzie głowy skłonić”; słyszał wiele razy, że w planie nie ma odbudowy królestwa ziemskiego. Powołany nie znaczy uchroniony od tego wszystkiego, co stać się może z człowiekiem. Jaką drogę przebył od decyzji „pójdę za Nim” do tamtej decyzji, której wynik był taki: „udał się do arcykapłanów i powiedział: co chcecie mi dać ja wam Go wydam”? Nie wiemy, jak do tego doszło. To nie był odruch nienawiści ślepej, chwila załamania, test na sprawdzenie, czy Mistrz nie okaże mocy. To była zimna kalkulacja: „co mi dacie?”, a więc obliczenie, czy się opłaca sprzedać kogoś bliskiego za pieniądze. Można czasem sądzić, że cynizm ludzki nie zna granic i że przy pewnym treningu człowiek zdolny jest do każdej podłości, że wrażliwość ludzka da się sprowadzić do zera. Ale tak nie jest. Judasz nie wytrzymał siebie. Okazuje się, że można kalkulować i sprzedawać wszystko do pewnej granicy. Wiemy: pobiegł do arcykapłanów, wołając, że odwołuje, że nie chce mieć z tym nic wspólnego, że oddaje pieniądze... Są sprawy, których cofnąć się nie da, i jest rozpacz, której wytrzymać nie sposób. Jest wstręt do siebie ponad wytrzymałość. Judasz odebrał sobie życie.

Kiedy siedzieli przy stole, Jezus powiedział, że wśród nich znajduje się zdrajca. Powiedział, że wprawdzie tak dokona się wszystko, jak o Nim powiedziano, że bieg wypadków nie zależy od zdrajcy, ale „biada człowiekowi, przez którego to się stanie”. Czy to „biada” nie było szansą, ostrzeżeniem? Ale słów człowieka, przeciwko któremu

się działa, nawet najżyczliwszych, nie słyszy się. Tak już jest. Bardzo trudno powstrzymać diabelski młyn zła, który puściło się w ruch.

Ostatnie słowo, jakie powiedział Jezus do Judasza (to już w nocy, w ogrodzie oliwnym), było: przyjacielu. Pierwszy raz tak Jezus powiedział do kogoś. Nazwał co prawda Apostolów przyjaciółmi, ale pojedynczo do nikogo tak się nie zwrócił.

Nie sądzmy Judasza. Jezus powiedział nam: „Nie sądzcie...” Owo „przyjacielu” było darem, który Judasz poniósł owej nocy. Był sam. Niepotrzebny arcykapłanom, wstrętny dla apostołów. To ostatnie „przyjacielu” musiało tłuc się w jego głowie, kiedy biegł do arcykapłanów z pieniędzmi, kiedy rzucił je w świątyni, kiedy drżącymi rękoma nakładał sobie pętlę na szyję. Dar przyjaźni stał się ponad siły ciężki.

Judaszu, On Cię przecież kochał, mimo tego co się stało, On nigdy Cię nie zdradził. Przyjacielu.

II

KOŚCIÓŁ DLA WSZYSTKICH

Zauważyłem dziwne zjawisko: kiedy pisze się u nas o miejscu świeckich w Kościele, najciekawsze jest zwykle to, co pisze się tam pod adresem księży. Na przykład dwa lata temu, z okazji napisania przeze mnie czegoś o świeckich w Kościele, otrzymałem kilkadziesiąt listów. Najwięcej pasji zawierały te, w których wymyślano na księży. Może dlatego, że zawsze, kiedy się wymyśla na kogoś, wpada się w pasję, a może dlatego, że w wielkim temacie: świeccy w Kościele, najistotniejszy jest temat-fragment: świeccy a księża. Może jeszcze z innego powodu, na przykład dlatego, że przez dowartościowanie świeckich podświadomie rozumie się obdarzenie ich funkcjami pełnionymi przez księży. (Spodka, który miał wygłosić prelekcję: „Jak wybrać męża lub żonę?”, pewien ksiądz gwałtownie chciał przydziać w komeżkę.) Ten ostatni wzgląd wydaje mi się wielce prawdopodobny, bo stale jeszcze funkcjonuje model Kościoła z położeniem głównego akcentu na organizację. Że tak nie jest, przypomniał Sobór, a pisał już papież Piotr (Apostoł), używając porównania z żywymi kamieniami. Ale kto dziś czyta pisma papieża Piotra?

Chętnie dziś mówimy, że najważniejsi są w Kościele świeccy. Zawiera się w tym niedopowiedziane lub dopowiedziane dawanie księżom do zrozumienia, że nie są znów tacy ważni, jak im się wydaje. A każdy widzi ważność księdza w Kościele i chcąc dodać ważności świeckim przypuszcza, że księża powinni się swoją ważnością podzielić. (Widzę już oczyma duszy rewelacyjny reportaż: „Parafia, której proboszczem jest człowiek świecki”.)

Na pewno wiele spraw, które u nas spoczywają na barkach księży, mogliby robić świeccy. Może nawet powinni. W samej liturgii, jak wiadomo, jest to jednym z elementów odnowy, ale jeśli to będzie tylko zmiana w kształcie czynności liturgicznych, rzecz obejmie niewielką liczbę osób bliżej związanych z kościołem (z księdzem?) i gest symboliczny pozostanie gestem symbolicznym... czego?...

Jeżeli Kościół nie jest instytucją księżowską (a nie jest na pewno), to obok sfery działania księżowskiego musi być sfera działania świeckich. Rzecz pozornie oczywista.

Samo słowo „apostolat” budzi specyficzne skojarzenia: „Cyryl i Metody — apostołowie Słowian”, „św. Jan Apostoł”, „Stolica Apostolska” i... Jan Kowalski — apostoł. Roznoszenie po mieszkaniach ulotek? Wygłaszanie kazań (w Parku Krakowskim)? itp. Sprawa jest, jak to się zwykło mówić, wieloaspektowa i wymaga szerokiego omówienia.

Obecność Kościoła na świecie to także obecność tych oto ludzi na świecie. Lubimy pytać jaki procent, czy się zwiększa, czy zmniejsza?... Procenty miła rzecz i efektowna. Był czas, że było kilkanaście, może kilkadziesiąt, ale nie procent, lecz osób. Założyciel Kościoła w zdumiewający sposób gromadził tłumy, a za chwilę zrażał je i tracił. Odchodzili ludzie (chyba dobrej woli, przecież przyszli, szukali prawdy) nie mogąc słuchać tego, co mówił. A On nigdy nie narzekał na spadającą frekwencję, był spokojny, mówił przypowieści o kwasie chlebowym i ziarnie gorczycznym.

Świadczenie życiem. Bywa, że ktoś wyprowadza wszystkie konsekwencje z chrześcijaństwa, poważnie traktuje całą naukę o przebaczeniu, gromadzeniu sobie skarbu po tamtej stronie itd., itd. Za taką konsekwencję dostaje przez całe życie po głowie.

Bywa i tak, że ktoś dostaje w życiu po głowie i wmawia sobie oraz daje do zrozumienia otoczeniu, że to koszty świadczenia, gdy mogą to być koszty bylejakości czy wręcz głupoty. Co gorsza, sytuacje nie zawsze są klarowne i nieraz rzeczywiście nie wiadomo: świadectwo? głupota?

A jednak nie ulega wątpliwości, że słowa, wielkie gesty bez poświadczenia życiem — są daremne i że jest masa spraw, o których można dyskutować bez końca, do niczego nie dochodząc. Spór „wierzyć czy nie wierzyć” bynajmniej nie jest czysto teoretyczny i waga świadectwa jest przynajmniej równie duża, jak waga rozumowych uzasadnień. Jak bardzo np. błędną wszelkie błyskotliwe argumenty i racje głoszone przez księdza wobec pozornie niemerytorycznego zarzutu postawionego przez prostego robociarza: „gada, bo mu się opłaca, bo im więcej ludzi ma w kościele, tym więcej będzie miał pieniędzy...”

Zauważyłem, że ksiądz, który nawiązuje kontakt z ludźmi dalekimi od religii przez opowiadanie dowcipów, zupełnie niepotrzebnie na te dowcipy się sili. Rozmowa

z księdzem jest interesująca właśnie jako z kimś, kto tak poważnie potraktował swoją wiarę, że został księdzem, mniej jako z opowiadaczem dowcipów.

W jakim stopniu odnosi się to do wierzących? W jakim stopniu wierzący jest „interesujący” jako wierzący? A jeśli tak, to czy wierzący świecki ma coś do powiedzenia o swojej religii?

Zakładając, że każdy wierzący świadomie dokonuje samookreślenia jako wierzący, na pewno ma świadectwo swoich doświadczeń. Tylko: czy można takie założenie zrobić i czy to zawsze wystarczy? Mówiła mi studentka, biorąca udział w badaniach religijności w Nowej Hucie, iż u osób, z którymi przeprowadziła wywiad, nie spotkała innej motywacji religijnej, niż: „... tak mnie wychowali, tak wierzyli ojcowie...” Może miała pecha? Nie wiem.

Sądzę, że wierzący w tysięcznych sytuacjach życiowych czują, iż powinni coś powiedzieć i z przerażeniem stwierdzają, że nie wiedzą co.

Nie można, rzecz jasna, całego zagadnienia sprowadzać do pytania, co kto ma do powiedzenia? Mówienie bowiem jest funkcją wewnętrzną treści, człowiek, który jest zaangażowany w jakąś sprawę, który — jak zwykło się mówić — coś przeżywa, potrafi o tym mówić. Stąd problem apostołstwa ludzi świeckich jest w gruncie rzeczy wycinkiem problemu wewnętrznego zaangażowania tych ludzi w sprawy religijne i w życie Kościoła. Wiązą się z tym i inne sprawy, jak choćby sprawa wierzących — niepraktykujących.

Wydaje się, że często zachodzi paradoksalne zjawisko: Kościół, który został dany przez Chrystusa jako środek ułatwiający zbawienie, jako narzędzie łaski, staje się niejednokrotnie zbyt trudnym do przekroczenia progiem i zamiast przyczyniać się do uintensywnienia życia religijnego oraz stanowić środowisko, w którym to życie się pełniej rozwija, odstrasza człowieka i skierowuje go na drogę religijności prywatnej, własnej, żeby nie powiedzieć samotnej. Mówiąc „Kościół”, mam na myśli, rzecz jasna, widzialną, zewnętrzną jego stronę, której celem i racją istnienia jest przecież słuzenie najistotniejszym treściom religii chrześcijańskiej. I człowiekowi.

Jak się czuje w grupie społecznej ktoś, kto wie, że nie ma w niej specjalnych zadań do spełnienia, kto wie, że spo-

łeczność niczego szczególnego właśnie od niego nie oczekuje? Wiadomo, że najściślej wiąże ze społecznością ważna i jasno uświadomiona przez społeczność i zainteresowanego rola społeczna. Wiadomo, że z organizacjami najluźniej związani są członkowie-sympatycy, których prawa i obowiązki sprowadzają się do noszenia w klapie znaczka i udziału w zebraniach bez prawa głosu. Czy te prawa odnoszą się także i do Kościoła? Kościół wszakże nie jest organizacją jak inne, podległą i zależną od praw socjologicznych. Ale ludzie — mimo wszystko — są podlegli, na przeżywanie poczucia więzi ze społecznością Kościoła wpływają prawa rządzące psychologią społeczną. Nie darmo mówi się, że łaska buduje na naturze.

Żeby nie zagubić się w teoretycznych rozważaniach, zwróciłem się kiedyś do Czytelników „Tygodnika Powszechnego”, a ściślej do mężczyzn, zwłaszcza wierzących — niepraktykujących, pytając między innymi, jak widzą swoje miejsce w Kościele, jaki jest ich stosunek do zewnętrznego manifestowania religijności, do przepisów kościelnych nakazujących pod grzechem ciężkim udział we Mszy św. niedzielnej oraz do przepisów postnych, wreszcie co myślą o księżach.

Na moje wezwanie odpowiedziało wtedy ponad osiemdziesięciu mężczyzn, przeważnie w wieku trzydziestu — czterdziestu lat, niemal wszyscy po wyższych studiach.

Przytaczam tu fragmenty typowych listów, jako prezentację.

JAKIE JEST MOJE MIEJSCE W KOŚCIELE?

„...Gorzej jest z działalnością w Kościele. Jestem na to w zasadzie gotów. Jest nas zresztą takich cała grupka tak zwanej inteligencji technicznej (są wśród nas inżynierowie, prawnik, ekonomista), ale kto ma dać nam zadanie, które byśmy mogli podjąć i właściwie wykonać. Czas doprawdy, aby ten problem działania ludzi świeckich w życiu Kościoła rozwiązać. Problem ten był ostatnio bardzo żywo dyskutowany w naszej grupie...” (brak danych).

„...W tej chwili nie widzę dla siebie jakiejś roboty w Kościele, bo nie znam warunków i potrzeb Kościoła. Wynikato chyba z tego, że proboszczowie mało zapoznają

parafian z potrzebami i trudnościami Kościoła (parafii). Poza tym zauważyłem, że księży wolą te sprawy omawiać z kobietami. Ja jednak sądzę, że niejeden mężczyzna, nawet ten, co stoi pod chórem, jest chętny coś zrobić dla Kościoła, jednak nie ma odwagi wyciągnąć ręki. Może księży spróbują pierwsi?" (technik, lat 37).

„...Sądzę, że właśnie obecnie (jedyne syn kończy politechnikę) mógłbym wiele zrobić. Potrzebna jest tu jednak jakaś inicjatywa ze strony księży. Wiem, że to sprawa trudna, zwłaszcza obecnie. Ale na tę inicjatywę w życiu nie trafiłem (czytałem o niej w „Tygodniku”)” (lat 53, wykształcenie wyższe).

„...O jaką robotę chodzi? Wiem, że są ludzie, którzy muszą się wyżywać w zorganizowanych formach działania. Dla mnie robotą jest to codzienne życie, praca fachowa, kłopoty rodzinne i uczestniczenie w liturgii. Czasem, w bardzo wąskim gronie, wymiana myśli na te najistotniejsze, a nurtujące zawsze podskórnie pytania. Proszę mi wybaczyć, ale innych form roboty dla siebie nie widzę... Chrześcijaństwo jest rzeczą jak najbardziej męską przez to wezwanie człowieka do odpowiedzialności za siebie i za innych...” (brak danych).

„...Widzę dla siebie i dla ludzi mego pokroju bardzo dużo roboty w Kościele, tylko nie widzę żadnych w tym względzie możliwości, a nawet wprost przeciwnie, wszystkie nasze starania i usiłowania w tym kierunku natrafiają na zdecydowaną odprawę i odrzucanie ze strony „miarodajnych” czynników. Zapewne czytał ksiądz w „Tygodniku Powszechnym” artykuł „Jak za Bolesława Chrobrego”. Ciągle jeszcze traktowani jesteśmy nie tyle jak owieczki, ale jak barany...” (wykształcenie wyższe, Katowice).

„...Swoją rolę w Kościele widzę w realizowaniu nakazów wiary na wszystkich odcinkach życia ...następnie w pomaganiu biednym, popieraniu takich instytucji, jak KUL, czytaniu prasy i książek katolickich z ukierunkowaniem na podniesienie poziomu wiedzy religijnej” (lat 31, technik).

„...Kościół jest żywą społecznością wszystkich chrześcijan, a nawet chyba wszystkich ludzi dobrej woli, jest

owym tajemniczym *Corpus Christi Mysticum* ... Wszystko więc, co robię, jest w Kościele. Jeśli postępuję dobrze, mądrze, energicznie, jestem w jakimś sensie dla Kościoła użyteczny, funkcjonuję jako dobrze działający element..." (lat 56, wykształcenie wyższe).

JAKI JEST MOJ STOSUNEK DO ZEWNĘTRZNEGO MANIFESTOWANIA RELIGIJNOŚCI?

Zewnętrzne okazywanie religijności jest rzeczą trudną, trudniejszą niż okazywanie innych uczuć. Oczywiście dla każdego, zależnie od dyspozycji psychicznych, w innym stopniu. W wypadku okazywania zewnętrznie własnej religijności działa jeszcze obawa przed popadnięciem w budzący odrazę faryzeizm. Nie znaczy to jednak, że brak jest zrozumienia dla potrzeby owych zewnętrznych oznak religijności. Za zbędne, przestarzałe i odstraszające od Kościoła uważa się formy dziś niezrozumiałe. I tak zapytany, czy chodzi w procesjach, pyta z kolei: po co w nich chodzić? (odnosi się to oczywiście także do różnych innych form kultu). Jest jeden wyjątek: można się zgodzić na czynny udział w jakiejś społecznej formie kultu czy na indywidualne praktyki nawet najbardziej same w sobie archaiczne wtedy, kiedy ma to walor wyznania wiary.

„Pytanie chyba postawione zostało retorycznie. Żaden mężczyzna nie lubi okazywać na zewnątrz swych uczuć religijnych... Czasem przychodzi taka chwila, że musi o nich mówić i dobrze, jeśli jest wtedy ktoś, kto potrafi tego wysłuchać” (wyższe wykształcenie techniczne).

„Jestem zdecydowanym introwertykiem, chowam się jak ślimak do skorupy, gdy mi grozi jakaś ostentacja własnej osoby. W dziedzinie religijnej krępuje mnie na przykład tkwienie w kolejce do spowiedzi, a nawet żenuje fakt, że cały kościół mnie widzi wracającego od Komunii św.” (lat 53, wykształcenie wyższe).

„...Udział w procesjach lub publicznych uroczystościach kościelnych traktuję jako zewnętrzne udokumentowanie faktu praktykowania. Dlatego uczestniczę, w granicach niezbędnych, według mojej oceny, dla udokumentowania mego wyznania wiary” (lat 50, inżynier).

„...Człowiek wierzący nie powinien wstydzić się swojej wiary. Gdyby tak było, sam okazywałby, iż uważa swoją wiarę za coś uwłaczającego czy krępującego. Dlatego uczestniczenie w manifestacji religijnej, na przykład w procesji, przestrzeganie pewnych zwyczajów, jak zdejmowanie kapelusza przed kościołem, jest rzeczą naturalną. Nie znaczy to, żeby zawsze, przy każdej okazji demonstrować swą religijność. Dużo mówić o religii nie ma celu, należy raczej mówić z sensem, a zwłaszcza stosować nakazy religijne w życiu. Nigdy nie nosiłem w procesji chorągwi, feretronów, poduszek i tym podobnych utensyliów. Po cóż tyle tego?” (wyszczałenie wyższe).

„...Już z punktu widzenia honoru nie wypada wstydzić się Boga, którego się wyznaje i którego się prosi o pomoc. Nie chodzę w procesji i nigdy nic nie nosiłem. Dodajmy — nikt mnie o to nigdy nie prosił. Ale istotnie przyznam się, że w niedzielę po Mszy wolę w inny sposób spędzić wolny czas, którego mam niewiele. Uważam wszelako, że w wypadku ważnym i uzasadnionym brałbym udział w procesji i niósł feretron” (lat 36, wyszczałenie wyższe humanistyczne).

CO SĄDZISZ O NAKAZIE MSZY SW. NIEDZIELNEJ I PRZEPISACH POSTNYCH?

Postawy można tu sprowadzić do dwóch:

Pierwsza: „Jestem jak najbardziej przekonany o sensowności niedzielnego i piątkowego obowiązku. Przecież coś wreszcie musi nas obowiązywać i odróżniać od pogan” (lat 41, profesor wyższej uczelni).

I odpowiedzi z drugiej, częściej spotykanej grupy postaw: „Owszem, uważam, że nakaz brania udziału we Mszach w niedzielę i święta jest jak najbardziej sensowny. Dla wielu ludzi nakaz nie jest potrzebny, gdyż bywają w kościele z własnej potrzeby także w dni powszednie. Ale dla tych, którzy takiej potrzeby nie odczuwają jeszcze, nakaz administracyjny może z czasem przyczyni się do rozbudzenia głębszego życia. Natomiast post piątkowy i w wigilie niektórych świąt uważam za przeżytek. Niejedzenie mięsa przy dużym wyborze innych potraw nie jest przecież żadnym umartwieniem. Wiem, że w pojęciu Kościoła post

to nie tylko powstrzymywanie się od jedzenia mięsa, ale przecież takie jest powszechne przekonanie katolików świeckich, a także niektórych duchownych, którzy nie wiadomo kogo oszukują — siebie, czy też Pana Boga? Myślę, że można by utrzymać jakieś ograniczenia, niekoniecznie natury gastronomicznej” (wykształcenie wyższe).

„Bardziej byłoby dla mnie zrozumiałe ogólniejsze zalecanie jakiegoś umartwienia się w piątek...” (lat 42, wykształcenie wyższe).

„...Jestem przekonany o słuszności tych przepisów, ale myślę że nie zawadziłoby przemyśleć od nowa sankcję grzechu śmiertelnego, którą są obwarowane niektóre z tych przepisów” (brak danych).

ANTYKLERYKALIZM

Księża. Jacy są? Jacy powinni być? Jaka jest ich rola w Kościele? Może tu należy powiedzieć zamiast „księża” — „kler”. I pytanie postawić inaczej: jak ich widzą?

„...«Specjaliści» od Jego spraw mają bardzo starą zasadę: każdy może mieć swoje zdanie, ale tylko takie, które popierałoby nasze. «Specjaliści», chcąc wnieść coś do religii, zaczęli ją udoskonalać, wyjaśniać, rozszerzać, tłumaczyć, interpretować itp., tak że dla przeciętnego zagonionego człowieka powstała dżungla wyrafinowanych przepisów, nowe przykazania. A tak zwane «sługi» na bazie największych wartości zorganizowali największą «supersitwę», klan, towarzystwo wzajemnej adoracji i lichy wie co. Nie chcę uogólniać, bo byłoby to bardzo krzywdzące dla wielu prawdziwych księży-ludzi. Wiadomo jednak, że marne latarnie najlepiej widać, a jest ich jednak ogromnie dużo. Czy ksiądz naprawdę wierzy, że księża jako zbiorowość reprezentują faktycznie (nie z gadania) coś więcej niż własny, bardzo dobrze rozumiały interes? Dzięki religii osiągnęli zupełnie nieźle pozycje materialne, i to dobrze zabezpieczone...”

„Jak widzę dla siebie zadania w Kościele?... Jedno zasadnicze pytanie: Co to jest Kościół? Jeżeli przyjmę definicję, że ja też jestem częścią Kościoła, to chcę, żeby ta częśćka była częścią możliwie zadowolającą. Zależy mi na

tym. Chcę to osiągnąć bez «wytycznych», «czynników», «hierarchii», gorliwców-hipokrytów... Śmiem twierdzić, że najwięcej do roboty jest wśród kleru, który chciałby, żeby i Bozi było dobrze, i im na niczym nie zbywało (nawet gdyby to było kosztem Bozi)... Dlaczego wybieram pozycję wierzący-niepraktykujący? Co nazywamy religią?... Obecnie śpiewy «ryczando», baldachimy, procesje, posty itd. To jest zwulgaryzowane i błędne, ale tak było i tak jest jeszcze i dziś.

Proszę księdza, wierzę, bo miłuję, a czy miłując muszę coś robić? Na pewno tak. On określił zdaje się w sposób jednoznaczny, co to znaczy wierzyć i miłować... Wydaje się, że praktykowanie, to znaczy na co dzień dążyć do urzeczywistniania słów zawartych w Ewangelii. Gadać to już się nauczono, obecnie potrzebna jest praktyka religijna, praktyka ludzka (tu autor listu pisze bardzo gorzko o stosunku księży do biednych i zamożnych). ...Jestem ogromnie rozżalony, nie mam za grosz zaufania do księży jako zbiorowości, chcę, żeby mnie zostawili w spokoju, jeżeli nie chcą mi pomóc, ale nie pozwolę się wodzić za twarz, jak dureń. Nie znoszę zarozumiałych typów, hipokrytów i kabotynów. Mówi się, że księża to ludzie — oby faktycznie mieli jak najwięcej ludzi między sobą. Króciutko: pod takim przewodnictwem nie chcę żadnej praktyki, nie wierzę im”.

Czy przyczyny słabego uświadamiania sobie przez wierzących ich więzi z Kościołem, braku zaangażowania, rozdziału między „Kościołem księży” i „Kościołem ludzi” są do pokonania? Jak należy zabierać się do ich usuwania? Nie wiem. Pytania te są zbyt złożone i sprawy zbyt skomplikowane, by kusić się o prostą receptę.

Z całą pewnością istnieje wiele nieporozumień, które trzeba cierpliwie wyjaśniać. Kiedy autor jednego z przytoczonych listów pisał, że w Polsce nie tworzy się rad parafialnych i diecezjalnych, rady takie były już w kilku diecezjach i w szeregu parafii powołane. Księża zresztą są stawiani ciągle w stan oskarżenia. Nieustannie podejrzewa się ich o różne złe rzeczy, bardzo słabo orientując się w stanie faktycznym. Uogólnia się jednostkowe przypadki, z jednorazowych spotkań wyciąga się wnioski uogól-

niające itd. Wiadomo zaś, że podejrzliwość nie jest dobrą atmosferą do tworzenia obiektywnych sądów.

Oczywiście, trzeba zrobić wszystko, by znikł paternalizm i inne złe cechy klerykalizmu, żeby lepiej była rozumiana przez nas teologia rzeczy ziemskich i to, że przy bardzo świeckim działaniu można i trzeba przepajać duchem Ewangelii te dziedziny, w których się żyje, trzeba, by przez konfrontację własnych diagnoz i propozycji z diagnozami i propozycjami ludzi świeckich księża odnaleźli wspólny język ze słuchaczami głoszonych przez nich prawd Bożych. W nauczaniu moralnym konieczne jest wyraźne odniesienie do źródeł, z których nauka jest czerpana. Ta ostatnia sprawa wydaje mi się szczególnie ważna. Sądzę bowiem, że nie twardość głoszonych przez Kościół wymagań budzi zniechęcenie, lecz obawa, że ogromny nieraz trud wkładany w zachowanie tych wymagań może okazać się spełnieniem woli księży, nie zaś Pana Boga. Stało się to szczególnie aktualne dziś, kiedy w wielu dziedzinach przeprowadza się rewizję dotychczasowej nauki. A zawsze trzeba pamiętać, że przyjmując Kościół, trzeba go przyjąć takim, jaki jest, z całą warstwą ludzkich słabości i niekonsekwencji, z nieadekwatnymi formami kultu, z błędami ludzi, którzy nim kierowali i kierują.

Zawsze będą dwie możliwości: albo otrząsnąwszy pył z obuwia odejść albo zostać, uznać sprawę za swoją i podejmować trud, by w domu Ojca stało się choć trochę lepiej i jaśniej. Mieszkań w tym domu jest wiele. Sam tylko Bóg wie, kto jakie miejsce zajmuje i może zająć w Jego domu.

Są wartości religijne, których nie można przekazać wyłącznie drogą przekazu werbalnego. Katechizacja, kazania, książki, to wszystko jest niesłychanie ważne. Środki audio-wizualne, to niewątpliwie wielka pomoc... Jeśli jednak dojrzała religijność oznacza postawę życiową, która polega na egzystencjalnej decyzji przyjęcia określonego porządku wartości, to w osiągnięciu takiej postawy obok nadprzyrodzonych środków i przekazu ustnego specjalna funkcja przypada konkretnym życiowym sytuacjom, w których człowiek jest niejako zmuszony do weryfikacji motywów swego postępowania. Mówiąc prościej, w formacji religijnej obok nauczania konieczna jest jakaś forma działania inspirowanego przez motywy religijne. Także działania społecznego. Są w chrześcijaństwie sprawy, których świadomość zdobywa się jedynie w działaniu. Dlatego sądzę, że wszystkie instytucje, które poczuwają się do wychowywania młodych ludzi, muszą mieć w swym programie to, co można by nazwać niezbyt popularnym terminem „pracy społecznej”. To, co piszę, z pewnością w jakiejś mierze odnosi się do katechetów i różnych form duszpasterstwa ludzi dorosłych. Doświadczenia jednak, na których opieram poniższe myśli, dotyczą środowiska młodzieży akademickiej.

Wychowanie ludzi dojrzałych wierzących... W jakim sensie można tu mówić o wychowaniu? Wychowuje się przez proponowanie jakiegoś systemu wartości, przez ukazywanie go. Ukazywać to z pewnością coś więcej niż mówić. Kto ma wychowywać dorosłych chrześcijan? Myślę, że samo środowisko. Oczywiście dokonuje się to przez konkretne poczynania.

Chrześcijaństwo od początku jest religią wspólnot. Liturgia wyraża to językiem symboli, którego zrozumienie wymaga, przynajmniej zaczątkowego, istnienia więzi. Sakramenty realizują wspólnotę mistyczną. Wiadomo, że wspólne działanie przyczynia się do powstawania więzi. Wiadomo, że zasadniczym elementem łączącym ludzi jest cel, dla którego działają wspólnie. Kiedy cel przestaje istnieć, więź słabnie i stopniowo zanika. Jakość celu

w wielkim stopniu decyduje o charakterze więzi wspólnotowej. Inna będzie więc między pasażerami autobusu, który ugrzązł w śniegu, wspólnie wykopującymi go z zasy, inna między ludźmi, którzy wspólnie podejmują trud założenia zakonu czy organizacji. Znacomity C. Northcote Parkinson powiada: „Organizacje, takie, jak np. harcerstwo, mają od zarania wspaniałe intencje, jednak słabą ich stroną jest to, że wymyślili je starzy dla młodych. Słuszniejszą organizacją jest ta, w której dorosły wzywa pomocy młodego człowieka dla osiągnięcia wspólnego celu”. Parkinson opisuje niewłaściwą interpretację tej zasady na przykładzie pewnego maklera giełdowego, który na jakiś czas rzeczywiście zmobilizował całą rozlażącą się rodzinę do wspólnego budowania łodzi żaglowej. Rzecz w efekcie okazała się dziełem głupim i niepotrzebnym. Łódź przez nich zrobiona była znacznie gorsza od kupnej i tylko niewiele tańsza. Łódź nie była właściwie potrzebna. Ojciec wymyślił wspólną zabawę w budowanie łodzi, wezwał do bawienia się z nim razem. Integracja rodziny okazała się czymś jedynie pozornym i przejściowym.

Przez działanie można przekazać wartości werbalnie nieprzekazywalne albo przekazywalne w znacznie mniejszym stopniu. U młodych istnieje niewątpliwie potrzeba działania. Konkretna propozycja bywa podejmowana często w oparciu o motywację dość powierzchowną, jak na przykład względy towarzyskie, atrakcyjność czegoś nowego itp. Ale działanie pobudza do refleksji nad tym, co się robi i dlatego ogromnie ważną sprawą jest skupienie działania wokół celów stwarzających możliwości rozwijania talentów, a jednocześnie prowokujących do przemyślenia spraw najbardziej w chrześcijaństwie istotnych.

Przeciwno fałszywemu przekonaniu, że „i tak nic się nie da zrobić”, z którym dość często podchodzą ludzie młodzi (nie mówiąc już o starszych) do wielu problemów społecznych, jedynym argumentem jest właśnie zrobienie czegoś. Przekonanie się na własnej skórze, że jednak można, jest jedynym sposobem przełamania niedobrego stanu rezygnacji.

Widzę trzy grupy celów, jakie mogą być realizowane w akcjach podejmowanych przez środowiska formacyjne.

Cele zabawowe: turystyka, spotkania towarzyskie, artystyczne itp. Jestem zdania, że jeśli działanie środowiska

ogranicza się do takiej aktywności, traci ogromną szansę, jaką stanowi gotowość wielu przychodzących młodych ludzi do działania. Wyładują oni swój zapał w tego typu działalność i w efekcie jedni stwierdzają, że to strata czasu, innych przestaje to bawić, zwłaszcza, że gdzie indziej mogą znacznie dogodniej ten typ działania rozwijać; zostają więc często jedynie ci, którym taka działalność niezmiernie odpowiada, ludzie, tak często nadający katolickim środowiskom u nas piętno infantylizmu. Dziedzina działalności rekreacyjnej, oczywiście bardzo ważna, musi być traktowana jako uboczna, coś czemu nie poświęca się zbyt dużo uwagi i energii. W przeciwnym razie środowisko ludzi z nią związanych w rzeczywistości staje się instytucją o zabawowej hierarchii ważności, miejscem, gdzie ludzie bardzo na serio przejmują się sprawami, które w kontekście prawdziwego życia są bardzo nie na serio.

Cele umowne, te, których ważność weryfikuje się jedynie wewnątrz środowiska. Mam na myśli różne urządzenia salek, przepisywania na maszynie rzeczy jedynie interesujących to zamknięte grono itp. W moim przekonaniu tego rodzaju prace społeczne, oczywiście konieczne, są raczej sprawdzianem istniejącej więzi. Jednostronność w tym kierunku może chyba grozić „zaściankowością”, pogłębiać kompleksy nieśmiały, stwarzać poczucie, że środowisko katolickie jest azylem, gdzie można w formach zastępczych wyładować instynkt społeczny. Że obecność tu jest usprawiedliwieniem nieobecności gdzie indziej. Tego rodzaju prace są potrzebne i spełniają swą funkcję formującą, ale tylko jako „jedne z”. Środowiska, które mają sprzyjać dojrzewaniu postaw chrześcijańskich, muszą stawiać sobie cele, których wartość jest do zweryfikowania poza środowiskiem, sprawdzalna obiektywnie.

O tych celach i pracach skupionych wokół nich chcę powiedzieć kilka słów. Żeby praca społeczna spełniała swoją funkcję formowania dojrzałych postaw chrześcijańskich, by rzeczywiście tworzyła więź braterską, by pobudzała do myślenia nad sprawami istotnymi w chrześcijaństwie, by sprzyjała rozwojowi postawy aktywnej, twórczej — musi odpowiadać określonym wymaganiom.

A więc musi to być wyjście naprzeciw rzeczywistej, ważnej potrzebie bliźniego. Organizowanie „akcji” na zasadzie „niech się młodzież wprawia”, polegającej na po-

wierzeniu młodym odcinka pracy przy milczącym założeniu, że jeśli zawiodą, to ostatecznie i tak nie się stanie, do niczego nie prowadzi. To musi być praca n a p r a w d ę. Ludzie muszą mieć świadomość, że jeśli zawiodą, nastąpi poważne zło. Że to rzeczywiście oni odpowiadają, że to nie jest budowanie niepotrzebnej nikomu żagłówki.

Cel podjętej pracy musi wiązać się z zasadniczymi założeniami religii (oczywiście nie chodzi o cele kultowe). Należy tu ostrzegać przed łatwą (czasem nawet trudną) filantropią, która bardziej ma na uwadze „zaliczanie chrześcijańskich uczynków” i dobre samopoczucie czyniących je niż dobro tych, dla których coś się robi.

To, co zostało powiedziane wyżej, chcę zilustrować dwoma przykładami. Bynajmniej nie sądzę, że akurat ten rodzaj pracy społecznej jest najidealniejszy. Wydaje mi się nawet, że nie istnieje w ogóle najidealniejszy z interesującego nas punktu widzenia rodzaj pracy społecznej. Chodzi o to, żeby ludzie o różnym stopniu wrażliwości społecznej, różnych temperamentach, mogli znaleźć dla siebie miejsce, chodzi o to, żeby w okresie formowania się człowiek zetknął się z najróżnorodniejszymi możliwościami zaangażowania się. Obok innych dobrych stron, wielość propozycji rozbudza wyobraźnię, która jest chyba nieodzownym składnikiem postawy twórczej i własnych odpowiedzialnych inicjatyw. Przykłady są skrótowym ukazaniem doświadczeń, w trakcie których nasunęły się przedstawione tu uogólniające refleksje.

Przykład pierwszy: praca przy remontach kościołów. Zasady: wielka potrzeba pomocy społecznej (albo ciężka sytuacja finansowa parafii, albo brak chęci i zainteresowania u miejscowych ludzi itp.), zupełna bezinteresowność pomocy, dobra organizacja pracy: dzień roboczy osiem godzin, punktualność rozpoczynania pracy, konkretność wykonywanych robót; ksiądz, który jest uczestnikiem pracy, musi pracować na równi z młodymi, kieruje pracą majster, organizuje pracę ktoś z młodych, kto ma talent organizacyjny lub praktykę, nie ksiądz. Ksiądz przewodniczy liturgii, pomaga w przemyśleniu sytuacji.

Funkcja formacyjna: głęboka integracja, zupełnie nowe przeżycia wspólnoty liturgicznej. Przemyślenie rzeczywistości jednego Kościoła: nasz Kościół lokalny pomaga wazszemu Kościołowi, bo jesteście w potrzebie. Radość dawa-

nia świadectwa: wierzymy, pracujemy bezinteresownie. Dla miejscowych ludzi bezinteresowność tej pomocy z reguły jest czymś zupełnie niewiarygodnym.

Niebezpieczeństwa: wobec zwykle bardzo pozytywnych reakcji ludzi miejscowych grozi samozadowolenie, uważanie tej pracy za czyn niezwykły, siebie za nadzwyczajnych. Należy z założenia rzecz traktować jako zwyczajną, wynikającą z jedności Kościoła, jako czyn sprawiedliwości.

Przykład drugi: opieka nad chorymi chronicznie. Zasady: rzeczywista potrzeba, kryterium: komu pomagać — nie tyle zła sytuacja materialna, co życiowa: samotność, niemożność lub niechęć ze strony rodziny zajmowania się chorym itp. Podjęcie opieki traktowane bardzo poważnie i na stałe (przynajmniej na określony, dłuższy czas, np. rok akademicki). Chodzi o świadomość, że zostawienie chorego, mającego w opiece jedynego nieraz bliskiego człowieka, któremu zaufał i liczy na niego, samemu sobie jest zbrodnią. Każdy, kto bierze na swoją odpowiedzialność opiekę nad chorym czy starym człowiekiem, wie, że może liczyć na pomoc środowiska, wie, że kiedy nie będzie mógł sam podołać, przyjdą mu z pomocą, że środowisko interesuje się, zauważa pracę podjętą ze swojej inspiracji. Przy całej odpowiedzialności indywidualnej ciężar jest rozłożony i na innych, w sensie ich gotowości do przychodzenia z pomocą w trudnych sytuacjach.

Funkcje formacyjne: praktyka miłości bliźniego. Praca ta z natury nie jest zagrożona faryzejską „fasadowością”, brak w niej elementów spektakularnych. Uciążliwość tej pracy prowokuje do stałego rewidowania motywów. Jest to okazja do nowego spojrzenia na ludzkie cierpienie, starość, chorobę, kalectwo (tylko ten może zrozumieć niedolę drugiego, kto próbuje jej zaradzić). Dla wielu zetknięcie się z tą pracą bywa prawdziwym przełomem w życiu moralnym, przełamaniem obronnych reakcji lękowych wobec cudzego cierpienia, zlikwidowaniem ukrytego egoizmu.

Cała praca jest podjęciem przez środowisko rzeczywistego i istotnego problemu społecznego, usiłowaniem zaradzenia często dramatycznym potrzebom społecznym. Nie ma w tym nic z zabawy w dobre uczynki małego Jacusia.

Niebezpieczeństwa: praca ta może stać się rodzajem alibi dla młodych, którzy jednocześnie nie zauważają potrzeb

swoich najbliższych w domu. Praca ta tak dalece wciąga najwartościowszych ludzi, że zaczyna się kwestionować wartość innych elementów formacji (np. studium).

Była tu mowa o pracach podejmowanych z inspiracji i w oparciu o środowisko religijne. Należy więc dodać, że celem jest dojrzały człowiek wierzący, nie zaś aktywista organizacji. Stąd środowiska katolickie, jeśli formują postawy społeczne inspirowane przez Ewangelię, nie czynią tego dla siebie, lecz „dla świata”.

O środowiskach młodych katolików mówiono kilka lat temu z przekąsem, że są to katolicy kanapowi. Dyskutowanie i „pogłębianie” teoretyczne spraw wiary może być irytujące, może odstraszać i śmieszyć. Tak jednak jest — pokazuje życie — że z gadania i roztrząsania teoretycznego rodzi się świadomość konieczności działania, działanie zaś pobudza do rewizji dawnych przemyśleń. Pod jednym warunkiem: że wszystkiego nie zmieni się w zabawę.

Parafia w wielkim mieście... Jaką treść ma właściwie to określenie? Od kilku lat w każdą niedzielę patrząc z wysokości ambony, zwracam się od ołtarza ze słowami liturgicznych pozdrowień, mówię kazania o tym, że wspólnota, że rodzina parafialna, że wokół ołtarza, a potem w życiu...

Po Mszy wychodzę przed kościół. Zawsze dobrze zobaczyć tych samych ludzi już nie z wysokości ambony, przywitać się, porozmawiać. Większość szybko rozchodzi się, każdy w swoją stronę. Inni czekają na znajomków, krewniaków. Stoją grupkami. Potem też odchodzą. Widok trochę jak przed kinem, teatrem, dworcem. Tyle, że tu mniej pośpiechu, niedziela. Wracam do kościoła dumając: parafia? wspólnota? społeczność?...

Parafia, a więc grube stojące w szafach rejestry ochrzczonych, zaślubionych i pogrzebanych, terytorium dokładnie zamknięte w kwadracie ulic, kancelaria czynna od — do. W kancelarii pod szkłem spis: ul. Św. Anny — cała, Bożego Miłosierdzia — cała... Al. Krasińskiego — numery nieparzyste, Jagiellońska prócz numerów 2, 4, 6...

Chodziłem po kołędzie, byłem w domach tuż blisko kościoła. Myślicie, że chodzą do kościoła parafialnego? Skąd. Choć nie robiłem wyrzutów (bo i po co?), tłumaczyli się, powoływali na znajomości z księżmi, którzy dawno zmarli lub pracują od lat gdzie indziej.

SOCJOLOG: „...stwierdzono, że w większości miast przynajmniej 20 do 30 procent praktykujących słucha Mszy św. nie we własnym kościele parafialnym...”

„Badania wykazują jasno przypadkowość i niewłaściwość struktury dużej współczesnej parafii miejskiej. Idea rodziny parafialnej jest mitem, który można uznać tylko w odniesieniu do niewielkiego rdzenia parafii, ale z pewnością nie w rozważaniach uwzględniających dłuższy okres oraz odnoszących się do ludności parafialnej jako całości.”
I o parafiach na Zachodzie: „ten rdzeń utworzony jest najczęściej przez nie pracujących zawodowo i niezależnych, którzy mają więcej niż inni czasu na działalność

parafialną. Owe osrodki parafialne charakteryzują się na ogół jałowością, gdyż zamykają się w kręgu tego, co w języku socjologicznym nazywamy subkulturą...”

I niepokój: czy i u nas niekiedy dla ludzi żyjących normalnym rytmem życia miejskiego działalność duchowieństwa nie wydaje się marginesowa?

A jednak są wspólnoty i jest życie, przelamujące granice parafii, lekceważąc grube rejestry parafialne, mimo wysiłków skierowanych ku przywróceniu integrującej roli parafii zmuszając księży do takich działań, w których staranne rejestry i dokładnie wytyczone granice przestają odgrywać decydującą rolę, gdzie procesy integracyjne chodzą swoimi dziwnymi ścieżkami.

Najlepsza, jaką spotkałem, opieka nad chronicznie chorymi jest zorganizowana dla całego miasta centralnie; rzecz jasna, przy współpracy parafii terytorialnych.

SOCJOLOG: „Koncepcja parafii nie straciła bynajmniej racji bytu. Nawet w warunkach miejskich pozostanie najbardziej skutecznym i pewnym instrumentem działalności duszpasterskiej”.

Jeżeli zadaniem parafii jest tworzenie wspólnoty chrześcijańskiej oraz uczenie o wartościach, które mają być podstawą budowania hierarchii wartości w konkretnych sytuacjach życiowych każdego wierzącego, to sama „obecność” parafii nie wystarcza.

Bohdan Cywiński na łamach TP (3 lipca 1966) w artykule „Wspólnota parafialna — trudności i szanse” pisał o sprawach parafii miejskiej, a tydzień później nieodżałowanej pamięci złośliwiec JHS w „Argumentach” kiwał nad nim smętnie głową pisząc:

„Obawiam się, że program Cywińskiego jest wyrazem tęsknoty do świata społecznego ułożonego grzecznie i bez reszty w klatkach parafialnych...” Ma rację JHS — sam się na tych tęsknotach nieraz łapię. Na tęsknotach daremnych, bo jeśli koncepcja parafii rzeczywiście nie straciła racji bytu, to na pewno traci ją w szybkim tempie koncepcja jednolitej parafii sąsiedzkiej w wielkim mieście, jakiej po prostu już nie ma. Bo, na przykład, czy każda parafia może specjalizować się we wszystkich dziedzinach duszpasterstwa? Albo czy parafia ogarnie w rzeczywistość wspólnotę

wszystkich wierzących (są parafie po kilkadziesiąt tysięcy) swojego terytorium?

SOCJOLOG: „Każdy przejaw opieki duszpasterskiej musi brać pod uwagę fakt istnienia całego miasta (...) Zakres działania mieszkańców miasta nie jest ograniczony do terenu ich parafii, ale rozciągać się może na znaczniejszy obszar miasta, a w wielu wypadkach obejmować może społeczność całego miasta. Dlatego też organizacja religijna musi także przejść przez ten sam proces powiązania i synchronizacji na szczeblu miasta tak, aby społeczność całego miasta mogła stać się również jednostką duszpasterską i religijną.”

O pogłębiającej się samotności człowieka w wielkim mieście napisano tyle, że nie potrzeba tego w tej chwili przypominać. Tu pytanie, czy powołaniem Kościoła (czytaj: Kościołów lokalnych) na dziś nie jest ratowanie człowieka przed tym straszliwym zagrożeniem? Ale jak?

Gdy się przeciętnego katolika przytrzyma za guzik i żąda wyjaśnień, na czym polega jego przynależność do Kościoła, sytuacja staje się kłopotliwa. Uznawanie plus minus tych samych dogmatów (przy — nawiasem mówiąc — dość słabej zwykle orientacji, o co w nich chodzi), uznawanie papieża i biskupa (obu zbyt dalekich, by podleganie im miało mieć wpływ na życie), wpisanie do ksiąg parafialnych („nie wiem, do której parafii należę...”), a nawet uczęszczanie do kościoła, gdzie wraz z tłumem współwyznawców, doskonale obcych i dalekich sobie ludzi, wysłuchuje się Mszy czy nawet przystępuje do sakramentów — wszystko to nie wiąże ludzi na tyle, by przynależność do Kościoła stwarzała głębszą więź.

Piszę o tym w ten sposób, bo stan faktyczny ewidentnie klóci się z używaną dziś tak często frazeologią posoborową, gdzie określenie „wspólnota wierzących” występuje na każdym kroku.

To, co się mówi o jedności w Chrystusie, niewiele wyjaśnia. Obawiam się, że albo jest to więź tak mało wpływająca na życie człowieka, że przez warstwy duchowe nie przebija się na zewnątrz, albo też mówienie o niej nie zawsze musi oznaczać jej istnienie.

Sądzę, że tu między innymi leży przyczyna stosunkowo małych efektów wprowadzanej u nas powoli reformy liturgicznej. Zmiany zmierzają bowiem do podkreślenia wspólnotowej strony przeżywania liturgii i religii w ogóle. Język zrozumiały dla wszystkich, większa ilość odpowiedzi uczestników, znaczna eliminacja organów, by umożliwić czynny udział, a zmniejszyć niebezpieczeństwo „obecności nieobecnej”, wprowadzenie gestów takich, jak na przykład przekazanie sobie wzajem znaku pokoju, to wszystko ma wyrażać: jesteśmy wspólnotą. Ale na ogół w parafiach, przynajmniej miejskich, wychodzi to wszystko błado. Wystarczy stanąć w połowie nawy głównej kościoła, nawet któregoś z tych uznanych za ośrodki życia liturgicznego, by to stwierdzić. Bardzo po prostu: religię przeżywa się indywidualnie: ja — Bóg, i narzucone gesty naruszają ten porządek zmuszając do wyrażania treści zu-

pełnie obcych. Z kościoła wszyscy rozchodzimy się podobnie jak z kina czy teatru.

Ale nie mam zamiaru pisać o liturgii, choć i tym śladem można by iść dalej pytając, dlaczego na przykład w Izabelinie czy na niektórych Mszach u dominikanów w Krakowie jest inaczej. Pytam o przynależność do Kościoła.

Pierwotny Kościół istniał — mówiąc językiem socjologicznym — na statusie sekty. Socjologicznie biorąc była to bowiem wspólnota (czy szereg wspólnot) religijna związana więzią przede wszystkim nieformalną, gdzie porozumiewanie się członków miało charakter bezpośredni, a przeciwstawienie wielkim blokom religijnym otaczającego świata było jednym z czynników tworzących więź.

Potem nastąpił etap wpisywania się chrześcijaństwa w istniejące struktury. Tak intensywnego wpisywania się, że niektóre z nich zostały wręcz kanonizowane (porównaj na przykład wpływ prawa rzymskiego na prawodawstwo kościelne).

Rezygnując tu z pasjonującej analizy socjologicznej rozwoju Kościoła jako grupy społecznej wystarczy powiedzieć, że jednym z nurtów rozwoju był rozwój struktur. Ale rozwój struktury to jeszcze nie rozwój Kościoła, tak jak rozwój administracji państwowej to nie rozwój państwa. Nawet przeciwnie — nadmierny rozwój aparatu, zwany biurokracją, jest wyrazem osłabienia między innymi i więzi nieformalnej — dużo głębiej angażującej członków grupy społecznej choćby dlatego, że odpowiedzialność (jeden z zasadniczych elementów tworzących więź) zostaje tą drogą przeniesiona z jednostek na „urząd”.

Można te sprawy śledzić na przykładzie takich wspólnot religijnych, jak zakony. Działalność wybitnej jednostki — założyciela i grupy jego towarzyszy, działalność zwykle bardziej charyzmatyczna niż organizacyjna, wymagała utrwalenia w postaci struktur formalnych (jest wielu zakonodawców, którzy umierali nie zostawiając spisanej reguły założonego zakonu, która za ich życia nie była po prostu potrzebna, na przykład św. Franciszek z Asyżu, brat Albert Chmielowski) — co prowadziło nieraz, zależnie od tego, kim byli ludzie podejmujący zaczęte dzieło, do rozwoju wielkich struktur organizacyjnych, do których trudno odnieść określenie wspólnota. Znamienne, że najle-

piej wytrzymał działanie czasupomysł św. Benedykta, który chciał, by każdy klasztor tworzył autonomiczną wspólnotę. Gwałtowny rozwój formalnych struktur — jak wiadomo — następuje często jako wynik kryzysu treści. Struktura ma ratować to, co spontanicznie powstało, ale zaczyna wygasać. Stąd wielkie odrodzenia w historii Kościoła niekoniecznie były wynikiem reformy struktur, lecz prawie zawsze miały swój początek niemal zupełnie poza strukturami.

W obecnej chwili Kościół widziany okiem socjologa stanowi wielką organizację, kapłaństwo jest w dużym stopniu urzędem kościelnym. Konieczna, rzecz jasna, struktura stwarza nieustanną pokusę utożsamienia jej z samym Kościołem. Struktura i jej szczeble są dla „wiernych” i księży mniej kłopotliwe niż sytuacja, w której dominują więzi nieformalne, wspólnotowe, gdyż określone jasno granice „od — do” obowiązków dają poczucie (złudnego) bezpieczeństwa, spełnionego obowiązku i stabilizacji. Struktura jest konieczna, ale nie jest święta. O ile władza w Kościele ma charakter boski, o tyle każda konkretna jej forma jest wynikiem przeróżnych uwarunkowań historycznych, społecznych itd. Nikt przecież nie twierdzi, że na przykład organizacja kurii diecezjalnej jest pochodzenia boskiego. Struktura nie jest religijna, a tym bardziej nie jest religią, przeciwnie, tak tu, jak we wszystkich innych dziedzinach, przerost struktur jest zagrożeniem wartości, w imię których i dla ich ratowania struktury powstały. Biskupi prawdopodobnie tak głęboko przeżywali sobór dlatego, że nagle poczuli się bardziej członkami realnej, widzialnej wspólnoty niż zwierzchnikami urzędu, którymi, obok wszystkich charyzmatycznych funkcji, jakie sprawują, muszą być w swoich kuriach. Chodzi tu o sprawę niezmiernej wagi: chodzi o przyszłość Kościoła.

Znałem prowincjała jednego ze zgromadzeń zakonnych, który wszystkie aktualne dokumenty zakonu trzymał w miednicy pod łóżkiem. Był to okres wielkiej dynamiki i ekspansji tego zakonu. Byli potem następnymi prowincjałowie, kuria prowincjonalna, szafy, segregatory, kilku ludzi zatrudnionych, ale zakon takiej prężności jak za czasów tamtego już nie osiągnął. Jaki stąd wniosek? Żeby zamiast szaf i segregatorów miednice? Boże broń. Tyle, że życie i segregatory to nie zawsze jedno i to samo.

Chodzi zresztą o sprawę ogólniejszą. Każda religijna społeczność, a więc i ludzie Kościoła, stoją nieustannie wobec dylematu: forma instytucjonalna, czy charyzmatyczna? W przypadku Kościoła historia pokazała nam, jak wyglądają oba ekstrema dylematu.

Samo przeżycie *sacrum*, sprawa w religii zawsze istotna, może nieść z sobą również niebezpieczeństwa nadmiernego indywidualizmu, subiektywizmu, projekcji własnych przeżyć, sentymentalizmu, efemeryczności. Więc powstaje instytucja, bo członkowie społeczności chcą zagwarantować powtarzalność przeżycia, chcą i muszą mieć oparcie i możliwość przechowania w godzinach impasu tego, co w religii istotne.

Przeżycie *sacrum* to sprawa ponadczasowa, instytucja zaś powstaje w czasie. Kiedy instytucja chroniąc i wyrażając to, co żywe i aktualne dziś, środkami odpowiednimi dziś, otrzymuje swój wykończony kształt, bywa już instytucją z wczoraj. Podobnie bywa z egzegezą niezmiennych treści nauczania Kościoła.

No i struktura organizacyjna. Doskonalona, rozbudowywana, operatywna. I obawa: że rozwija się tylko operatywność wewnętrzna, to jest operatywność wewnątrz instytucji. Gdzieś od samej góry aż do proboszcza, wikarego, sprawnie będą przepływały przez wszystkie komisje, podkomisje, polecenia, dekrety, zarządzenia, odezwy: odczytać, zebrać, zorganizować, stworzyć. A na proboszczowskim i wikariackim szczeblu wiele się urywa. Nie żeby nie chcieli. Owszem, chcą, starają się, odczytują, zbierają, tworzą, organizują i piszą sprawozdania. Robią to wszyst-

ko i czują, że „to nie to”. Jakież rozmięcie: instytucja operatywna, dobrze zorganizowana, a ledwo, ledwo ociera się o nurt rzeczywistego życia. Nie znaczy, że tak jest zawsze. Ale jeśli zdarza się częściej, to zaczyna być źle, choć organizacja instytucji nadal działa sprawnie.

Dlatego przyszedł Sobór z konstytucją o Kościele w świecie współczesnym, z dekretem o apostołstwie świeckich i innymi dokumentami i z posoborową myślą teologiczną. Papież Paweł VI powiedział, że w Kościele tylko dwie struktury są niezmiennie: papieństwo i biskupstwo.

Jezuita francuski Emile Pin (trzy fakultety i stanowisko dyrektora Ośrodka Badań Socjologicznych przy rzymskim Gregorianum) pisze o kryzysie funkcji kapłańskiej: „Władza księdza, która począwszy od jego funkcji rytualnej i etycznej rozciągała się faktycznie na wszystkie odcinki życia, kończy się (...) Procesy racjonalizacji, specjalizacji i wynikający stąd proces laicyzacji przeżarły z wolną społeczną rolę i przywileje księdza (...) Jego rada, jego osąd, jego pouczenia często rozmiijają się z rzeczywistością i wówczas ujawniają raczej jego ignorancję niż kompetencję.”

Absolutne rozgraniczenie kompetencji księdza i świeckich coraz bardziej się zaciera.

Mam grubą teczkę wypowiedzi czytelników „TP” na temat kazań. „Tygodnik” zresztą przy różnych okazjach miał możliwość zebrania materiału do odpowiedzi na pytanie, jaką rolę w oczach świeckich ma spełniać ksiądz. Znamy pastor zwrócił mi kiedyś uwagę na to, że tendencja kształtowania modelu księdza na podstawie zapotrzebowań wiernych grozi zapomnieniem, że ta funkcja jest misją zleconą z góry i dlatego zawsze jakoś nie dopasowaną do oddolnych życzeń. Jest w tym wiele słuszności. Lecz nasuwa się natychmiast pytanie: co jest misją zleconą z góry? Rahner przypomina, że „Kościół ma nieograniczoną skalę możliwości konkretyzowania i rozczłonkowania swojego urzędu po to, aby rzeczywiście odpowiadał on swemu posłannictwu w dzisiejszej sytuacji”.

Jakie funkcje spełnia ksiądz u nas dziś? Stare formy instytucjonalne zderzają się z potrzebami realnego życia. Ksiądz, będąc elementem składowym instytucji, musi także sprostać nowym zapotrzebowaniom kierowanym do niego przez życie.

Więc jakie funkcje?

Administrator majątku kościelnego, gospodarz, konserwator kościoła, prowadzący ksiązki, płacący podatki kościelne i państwowe, odstawiający żywiec i zboże do punktów skupu.

Prorok i świadek podglądany ze wszystkich stron. Mówi się: „to jest prawdziwy ksiądz”. Podpatrywany: czy modli się dużo? czy dzieli się tym, co ma? czy dla wszystkich znajduje czas i ma dość cierpliwości i dobrych rad? Bo i doradca („biedna matka wzięła Jana, szła po radę do plebana”): w konfesjonale i nie w konfesjonale. Jeśli nie potrafi temu wszystkiemu sprostać, budzi rozżalenie. Bo ciągle potrzebny jest ksiądz, który „zna życie” (rozumie), „umie dogadać się z młodzieżą” itp.

I głosiciel: znów wielkie zapotrzebowanie na głosiciela i na teologa, nauczyciela. Ambona, sala katechetyczna, rozmowy, konfesjonał. Gdy tylko w dużym (tym bardziej w małym) mieście rozejdzie się wieść, że jakiś ksiądz dobrze spowiada, dobrze mówi, dobrze uczy, zaczynają się pielgrzymki z krańców nawet bardzo odległych.

Więc jakie funkcje? W konkretności tych (i nie tylko tych) posług ksiądz jest (ujęcie Rahnera) „głosicielem Ewangelii z polecenia i w imieniu Kościoła i to w najwyższej formie realności tego słowa: w anamnezie śmierci i Zmartwychwstania Chrystusa, czyli w Eucharystii”.

Przypominam: „Konkretyzowanie i rozczłonkowanie urzędu kapłańskiego po to, aby rzeczywiście odpowiadał on swemu posłannictwu”... Konfrontacja form istniejących z życiem: stare zakony i mali bracia, tradycyjne formy pracy księdza i eksperyment (czy jeszcze wciąż eksperyment?) księży robotników itd... To są sprawy do przemyślenia. Nie burzenie struktur dla burzenia. Akta niech sobie leżą w segregatorach, nie chodzi o miednice ani o segregatory... Instytucje dziś zrodzone przez życie, jutro będą już wczorajsze. I w tym jest siła życiowa Kościoła, że jest w nim Niezmiennie i zmienne. Oczywiście należy baczyć, by Niezmiennego nie wziąć za zmienne ani też zmiennego za Niezmiennie.

— Niech ksiądz otworzy drzwi i jeszcze raz mocno zatrzasknie, wtedy wycieraczka zacznie działać.

Otwieram, zatrzaskuję. Działa. Zjeżdżamy ostrożnie z garwolińskiej szosy w boczną, brukowaną drogę, która zaczyna się za skórzeckim stawem i ginie w ciemnościach. Nie jest najgorzej. Ostatecznie pekaes tą trasą przewozi co dzień dobre kilka setek ludzi. Do pracy i z pracy. Wiatr rozgania chmury i wtedy księżyc oświetla płaskie, smutne pola, ciemniejące daleko chałupy, las. Przed autem wyskakuje najpierw tablica z nazwą wsi, potem zbite ciasno domy, stodoły, płoty. Przed chałupą wskazaną przez jakiegoś dzieciaka (że to w tym murowanym domu jest religia) ksiądz siedzący za kierownicą prastarej „Warszawy” (co to nią jeszcze ksiądz biskup nieboszczyk...) zjeżdża na jeszcze jedną drogę boczną, żeby ustawić samochód i grzęźnie na amen w niewielkim rowku. Wycho-dzę, taplam się w błocie, brudzę ręce, pcham. Samochód wyje i co chwila milknie, bo silnik wysiada. Dzieciaki wyłaniają się z mroku, stoją, ale nie dają się namówić do pomocy („...my za słabe”). Dopiero kilku mężczyzn, widząc moją koloratkę, złazi z przejeżdżającego wozu, wzywają z grupy stojących w mroku jeszcze kilka osób i znów „Warszawa” wytacza się na bruk.

W izbie tłok taki, że zanim otworzy się drzwi, trzeba czekać, aż kilku siedzących na najbliższej ławie wstanie i podniesie ławę do góry. Wciśnięty między ścianę a pierwszą ławkę pod tablicą stoi Ireneusz, tutejszy wikary, który zgodził się na mój przyjazd. Wyraźnie wpadł w popłoch na widok diecezjalnego wizytatora nauki religii, księdza Romana Perza. Ratując przyjaciela szybko przedstawiam zebranym mego towarzysza, który przez cały dzień woził mnie po różnych parafiach, on przedstawia mnie, chwali dobrą frekwencję i obiecuje przyjechać kiedy indziej na dłużej. Żegnamy się. On wychodzi, a ja siadam na ławce pod tablicą, niemal niewidoczny w zatłoczonej salce, włączam magnetofon i przyglądam się zebranym. Nie jest to zwykła katechizacja dzieci. Stłoczona w salce młodzież już skończyła szkołę, większość, zwłaszcza mężczyźni, jeździ do

pracy do miasta. Od czterech lat prowadzi się tu dla nich lekcje religii. Oczywiście w tym okresie, kiedy nie ma pracy w polu. Pytam, o czym się uczyli. A więc jeden rok omawiano sakrament małżeństwa, potem inne sakramenty, problem alkoholizmu. Każdy może zadawać pytania, stawiać problemy. Była książka zapytań, zresztą i bez książki także je stawiają. Jest jeszcze trochę czasu, więc pytam ich, co sądzą o różnych sprawach, czy ich zdaniem parafia jest rzeczywiście wspólnotą? czy religia ma wpływ na życie? czy sytuacja religii obecnie jest lepsza, niż dawniej? Nie powiem, żeby dyskusja była ożywiona. Jak zwykle, znajdują się żelaźni dyskutanci: każdą niemal kwestię natychmiast podejmuje młoda kobieta (ksiądz informuje mnie szeptem i nie bez odcienia dumy: „...po maturze, pracuje w N, jest tam urzędniczką”). Jej odpowiedzi są poprawne, trochę w żargonie posoborowym, wykluczają dyskusję. Opowiadam w kilku słowach o księżach-robotnikach, po czym zwracam się wyłącznie do pracujących w mieście mężczyzn (raczej chłopaków): co sądzicie o tym? Oczywiście znów pierwsze zabierają głos kobiety... że u nas księża tacy zapracowani, że księża są od tego, co właśnie u nas robią, a znów nie ma aż takiego zapotrzebowania na ręce do pracy. Uprzejmie, ostrożnie, niemal przypochlebie. Szukanie takiej odpowiedzi, jaka wypada, żeby była. W sąsiedniej izbie słychać szurgot i gwar oznaczający zbieranie się następnej grupy. Widzę, że wyjdę taki sam mądry, jak przyszedłem, bo nie wierzę, by tych kilkudziesięciu młodych tak myślało co do jednego. Wreszcie ktoś przełamuje barierę poprawności (mówił mi prałat garwoński, który od trzydziestu lat jest proboszczem: nigdy nie zdarza się, żeby powiedzieli księdzu w oczy jakieś słowo krytyki. Jeśli, to poza oczy). Inteligentny chłopak, który już kilka razy chciał coś powiedzieć, mówi wolno, z namysłem, że może to byłoby i lepsze, bo tacy księża wytłumaczyliby wiele, bo wiadomo, jaki ludzie mają pogląd na księży i Kościół. Ktoś inny dorzuca, że wtedy księża by pokazali, że też umieją pracować, że taka praca inżyniera czy inna (nie uchwycili chyba tego, że ci księża są naprawdę robotnikami, nie zaś pracownikami na kierowniczych stanowiskach) nie jest dla nich za trudna.

Ci następni są starsi. Niemal same kobiety. Znów tłok niesamowity. O, ci czują się znacznie śmieiej, przepychają się,

balasują. Ireneusz, który jest w wieku ich dzieci, zagaduje tonem starego proboszcza. Każde jego powiedzenie witane jest uprzejmym uśmiechem. Modlimy się i ksiądz wygląda na pogadankę o nowej liturgii. Słucham i skręcam się wewnętrznie. Mówi przez piętnaście minut jedno i to samo, że wszyscy razem odprawiamy Mszę św., ścisza głos, robi efektowne przerwy. Ale słuchają go w nieprawdopodobnej ciszy i skupieniu. Potem oddaje mi głos. Proponuję, żeby stawiali pytania z dowolnych dziedzin związanych z religią, tłumaczę, że chcę ich poznać, napisać o nich. Natychmiast sypią się pytania. Nie dopuszczam Ireneusza do głosu w głupim przeświadczeniu, że dopiero ja potrafię... pycha zostanie jednak ukarana. Więc pytania: dlaczego teraz świece na ołtarzu stoją po jednej stronie, nie jak dawniej po obu? jak właściwie jest z niebem, jeżeli okazało się, że w kosmosie nieba nie ma? dlaczego kiedyś („byłem chłopakiem, ale pamiętam doskonale”) ks. Mroczek mówił, że język polski nigdy nie będzie wprowadzony do liturgii, bo łacina jest dokładna i jak po łacinie powie się, że klamka, to znaczy klamka, dom, to znaczy dom, nie jak po polsku: mieszkanie, chałupa, pokój, a teraz znów tłumaczy się całkiem inaczej (zabierający głos zastrzega się, że on osobiście woli, jak jest po polsku). Na tłumaczenie, że sprawa ustawienia świec jest wyłącznie sprawą estetyki, pewne zdziwienie: pytający był przekonany, że prawa strona jest Pana Jezusa, lewa grzeszników. Jeszcze gorzej jest ze sprawą nieba. Po moich wywodach słyszę pełne powątpiewania mruknięcie: ee, niebo jest nad nami. W sprawie łaciny z całego wywodu o zmiennym i niezmiennym, boskim i ludzkim w nauczaniu Kościoła trafia do przekonania jedynie napomknięcie, że łacina nadal została językiem Kościoła...

Potem jeszcze rozmawiamy o sytuacji religii na wsi. Mówią, że teraz lepiej niż dawniej, że więcej księży uczą, że w kościele więcej dzieci, że można autobusem dojechać, ale że telewizja odciąga, że nawet w kościele dzieciak cały czas myśli o *Czterech pancernych...*, że przymusem z dziećmi wiele się nie robi (choć na ten temat zdania są podzielone), lecz że trzeba przykładem. Wreszcie zaskakująca konkluzja: na pytanie o efekty tych wszystkich ulepszeń: czy skutki lepsze niż dawniej, czy gorsze, zdecydowana odpowiedź: gorsze. Koniec, modlitwa, wychodzimy.

Jeszcze rozmowy. Jedna z kobiet przygląda mi się badawczo: ja księdza już znam. Rzeczywiście, miałem w tej parafii kilka lat temu rekolekcje. Nie bardzo się udały. Wypadły wtedy jakieś spóźnione roboty w polu i tym ksiądz proboszcz tłumaczył słabą frekwencję, dowiedziałem się jednak, że słuchacze orzekli: tak jakoś niezrozumiale mówi. Przypominam to kobiecie, że rekolekcje, że niezrozumiale i spodziewam się (o słabości ludzka) uprzejmego zaprzeczenia. Ale mam za swoje. Niezrozumiale to ksiądz rzeczywiście mówi. Zawstydzona odwraca się natychmiast i miesza się z wychodzącym tłumkiem. Jednak nie jest tak źle, jak mówił ksiądz prałat z Garwolina. Niech żyje szczerzy dialog.

W Siedlcach nie zastałem księdza biskupa. Jest w terenie. W ogóle ksiądz biskup bardzo dużo jest w terenie. W kilku miejscach jednego dnia, wszędzie przemawia, rozmawia, z ludźmi. W tej chwili jest zajęty organizowaniem wielkiej akcji miłosierdzia, która łączy się z kultem Matki Bożej (informuje mnie ksiądz kanclerz). Rozmawiam z kierownikiem najważniejszych referatów: duszpasterskiego i katechetycznego, księżmi Stanisławem Mućką i Romanem Perzem. Obaj młodzi, obaj żyją sprawami swojego Kościoła. Biskup daje im wielkie pole do inicjatywy. Mówią: my jesteśmy ze wsi, my tych ludzi doskonale rozumiemy. Pamiętam rozmowy w pokoju konwiktu na KUL-u, gdzie mieszkali księża z diecezji siedleckiej. Tam zawsze rozmowa schodziła na problem ich Kościoła lokalnego.

A oto notatki z tego, co od nich usłyszałem: tradycja jest tu bardzo mocna. Źródłem tradycji jest rodzina. Przy całej tradycyjności ludzie są tu jednak bardzo chłonni. Nowe naświetlenie, uzasadnienie, nowy duch, serce... wszystko to przyjmują nadzwyczaj chętnie. Mamy doskonałą frekwencję na katechizacji dorosłych. Wiemy, że choć stan obecny statystycznie jest właściwie dobry, musimy mieć koncepcję przyszłościową. Oto elementy tej koncepcji: ułatwienie dotarcia na katechizację, przedłużenie katechizacji poza okres szkolny — na trzy lata, współpraca ze świeccymi (na jednego księdza przypada dwa tysiące wiernych, ale to statystycznie. Praktycznie przypada znacznie więcej, gdyż nie wszyscy księża są zatrudnieni pracą duszpaster-

ską), jasne stawianie wymagań religijnych, wbrew przekonaniu, że Kościół czując się słaby rezygnuje dziś z wszelkich wymagań.

Przygotowanie do pierwszej komunii św. prowadzą rodzice. Po okresie eksperymentu w kilku parafiach wprowadzamy to powszechnie. Ksiądz w niedzielę zbiera rodziców i z nimi omawia materiał, jaki mają przerobić z dziećmi w ciągu tygodnia. Egzaminują także rodzice w obecności księdza. Wprowadzenie tego nie było takie proste. Dla księży podwójna praca (prowadzą w tym samym czasie normalną katechizację), rodzice byli też przerażeni. Nie odważali się na egzaminie powiedzieć słowa bez zaglądania do trzymanej w ręku książki. Nie mieściło im się w głowie, że oni mogą, jak ksiądz (i to przy księdzu) sami coś powiedzieć. Dziś już widać wielką zmianę, zwłaszcza u tych rodziców, którzy przygotowują drugie dziecko. Zaczynają czuć się pewniej. Egzaminują bardzo poważnie. Bywa, że nawet rozwiedzeni spotykają się na egzaminie dziecka.

Oglądam skrypt, w którym zebrano wszystkie instrukcje i zarządzenia odnoszące się do pierwszej komunii. List księdza biskupa do rodziców: „Cieszę się, że nie zawiedliście pokładanych w was nadziei...”; pomoce do katechezy, zarządzenie co do prezentów, organizowania uroczystości domowej, stroju dzieci (jednolity, prosty strój): „szkodliwym zwyczajem jest wręczanie dzieciom białych rękawiczek, do których dzieci nie są przecież przyzwyczajone w ciepłym okresie roku. Jest to pozostałość z tych czasów, kiedy zamożni panowie i ich rodziny używali stale rękawiczek: na uroczystościach, na spacerze, także i w kościele”. Każdy z rodziców podpisuje zobowiązanie, że dzień pierwszej komunii dziecka będzie dniem bezalkoholowym. Podpisane zobowiązania składa jedno z dzieci na ołtarzu w czasie przygotowania darów ofiarnych. Rodzice traktują to poważnie. Zanika okropny zwyczaj pijatyk pierwszokomunijnych.

— Niech ksiądz napisze, że wielki kłopot sprawia nam brak jednolitości w tej pracy. W parafiach sąsiadujących z diecezjami warszawską i lubelską ludzie przychodzą z żalem: dlaczego u nas tak, a w sąsiedniej parafii mogą pić? Dlaczego u nas przed bierzmowaniem taki surowy egzamin i wymaganie, by przystępujący do tego sakra-

mentu mieli zaświadczenie uczęszczania na religię, a tam nie? Dlaczego przed ślubem wymaga się u nas udziału w nauce religii dla młodzieży pozaszkolnej?...

Chociaż byłem w kilku parafiach, rozmawiałem z wieloma księżmi, niestety do Wilgi nie dojechałem. Opisuję więc eksperyment na podstawie relacji kogoś blisko z parafią związanego.

W jednym z dokumentów Soboru jest przypomnienie, że utrzymanie księdza musi mieć oparcie w spontaniczności ludzi. W Wildze od pięciu lat wprowadzono to w życie. Ksiądz zrezygnował z przyjmowania jakichkolwiek pieniędzy z okazji wykonywanych przez siebie posług kościelnych. Podobnie zakrystian i organista. Ludzie zobowiązali się do systematycznego składania dobrowolnie zadeklarowanej sumy raz na pół roku na utrzymanie księdza i pracowników parafii. Sąsiedzi przepowiadali krach, ludzie nie wierzyli, że to się uda. A jednak udało się doskonale. Znikło podświadome (czy tylko podświadome?) przekonanie, że ksiądz modli się za pieniądze. Wszystkie posługi są dla wszystkich zupełnie jednakowe, a kiedy kawaler bierze pannę z sąsiedniej parafii i tam załatwia formalności związane ze ślubem, ksiądz daje mu pieniądze na pokrycie połowy kosztów. Z tej właśnie puli. Niby drobny szczegół — mówi mój rozmówca — a w parafii zmienił się zupełnie duch. Ludzie za nic by nie zrezygnowali już z tej formy.

Rozmawiałem z wieloma księżmi, z ludźmi świeckimi, związanymi z Kościołem i nie związanymi. Księża czasem gubią się w szczegółach, w akcjach, w poszczególnych pracach, nie bardzo wiedząc, jakie to ma znaczenie dla całości. Młodzi buntują się przeciwko starszym i ich tradycyjnej religijności. Na złość mamie, która wymarzyła sobie ślub córki w białym welonie w przytomności całego miasteczka, córka bierze ślub cywilny... Młodzi księża złością się na starszych, że nie widzą konieczności zmian w formach pracy, starzy mają żal do młodych, że robią zamieszanie i przysparzają pracy, że tam, gdzie spokojnie jeden ksiądz wystarczył (i jeszcze miał czas), teraz potrzebny jest i wikary. Powoli jednak starszych księży przekonują efekty. W Wildze jest ksiądz starszy, ksiądz prałat w Garwolinie chwali się pracami wikarych o niewyparzonych językach,

chwali się, jak ojciec synami udanymi, acz trochę niesamowitymi dla niego samego. We wszystkim jednak — rzecz u nas dość niezwykła — widać spokojną koncepcję całości, która idzie naprzeciw trudnym, nadchodzącym zmianom.

III

DLA LUDZI POSTANOWIENI

Kim byli kiedyś? Jak ich rola dzisiejsza ma się do roli wczorajszej? Czy po to ogłaszać nowych, by po latach zostali zagrzebani w cienkich arkusikach pięknie wydanych brewiarzy, w których krótka *lectio contracta* lakonicznie poda kilka wiadomości o ich życiu i kulcie?

Święci. Święci dnia wczorajszego, przedwczorajszego. Święci dziś.

Wiadomo, chrześcijaństwo jest religią objawioną. Prawdy o sobie podał ludzkości Bóg. Jest kanon świętych ksiąg, jest Tradycja, Tradycja przez duże T, dokładnie określona, pilnie strzeżona wraz z kanonem ksiąg, jako Nienaruszalny Depozyt.

Nie ostały się apokryfy, których autorzy chcieli upiększyć dzieje Boga-człowieka, upiększyć na miarę swej wyobraźni. Dla zdobniczej twórczości człowieka Depozyt jest niedostępny. Strzeżony. Tego, co On powiedział o sobie, upiększać nie trzeba. To są treści, które można przyjąć albo odrzucić („... jeśli kto chce iść za Mną...”), ale nie dorabiać, nie upiększać.

I jest w człowieku prastara potrzeba tworzenia na tematy *sacrum*, potrzeba ubierania swych wierzeń w piękną szatę legendy, dopisywania tego wszystkiego, co w każdej epoce brane jest za ideał, za niedościgniony wzór. Owa potrzeba tworzenia, bezradna wobec strzeżonego Depozytu, znajduje ujście w *Złotej legendzie*. W niej spotykamy personifikację niedościgłych wzorów i w niej możemy śledzić, jakimi meandrami rozwijały się religijne ideały w ludzkiej świadomości. Tam właśnie, w złotej legendzie świętych Pańskich znajdujemy owe ideały naiwne i wzruszające do dziś, owych kaznodziejów, których słuchają ryby, kiedy ludzie nie chcą słuchać, małżonków, którzy z praw małżeńskich nie korzystają, dzieciństwa od niemowlęctwa cudowne: mleka z matczynej piersi w piątce nie ssał, zaraz po urodzeniu antyfony maryjne recytował (oczywiście po łacinie). Twórcy legendy podkreślają to, co dla nich i dla współczesnych ważne, to rozwijają, na tej kanwie rodzi się wciąż nowa legenda: ze znakomitego rodu... ubogich wspiera, na pustynię od zgiełku świata ucieka, cuda czyni...

Wiele cudów, tym więcej, tym lepiej. Więc legenda dopisuje coraz to nowe, nieraz zgoła dziwaczne, czynione za życia i po śmierci. Bo po śmierci, kiedy święty uznany został za świętego, cząstki jego ciała zamyka się w niezliczone relikwiarze, na relikwiarzu przybija się pieczęć, że relikwie są autentyczne. I znowu cuda związane z relikwiami, relikwie chronią przed kulami wroga, strzegą domostwa, świadczą o ważności kościoła, kraju. Więc relikwie papież daje królowi, król — papieżowi, papież — krajowi, kraj — krajowi. O relikwie pociera się obrazki, kawalki materii. Jest w tym mieszanina czci, miłości i jakiegoś magicznego oczekiwania, że sam przedmiot, sama materialna cząstka świętego niesie w sobie moc cudowną.

I obrazy, pomniki, figury, malunki, *signa* ikonograficzne, żeby nie pomylić Piotra z Pawłem, Barbary z Kingą. Obrazy, rzeźby, w gotyku inne, w baroku inne, inne dzisiaj. Zawsze jako odpowiedź na oczekiwanie ideału, innego w gotyku, innego w latach baroku, innego dziś.

Aż przyszła epoka dociekliwych poszukiwań, zaczęto pytać, jakie były ich prawdziwe oblicza. Wydano w kilku językach książkę pod tym tytułem: *Prawdziwe oblicza świętych*. Zebrano tam między innymi mozolnie fotografie, współczesne portrety, maski pośmiertne twarze zniszczonych, wyrazistych, przejmująco pięknych, prawdziwie ludzkich, z wypisaną na nich historią walk i cierpień. Zaczęły ukazywać się nowe, krytyczne życiorysy Augustyna, Franciszka, Tomasza, innych. Napisano tam nawet o (drobnych) słabostkach Franciszka Salezego i o tym, że Pius X święty zażywał tabakę (ale znaleziono receptę, z której wynika, że czynił to na polecenie lekarza). I mogło здаwać się, że koniec ze złotą legendą, lecz mimo wysiłków badaczy nadal powszechniej niż prawdziwe oblicza znane są strzępy ich historii, pojedyncze powiedzenia, praktyki pokutne — bez kontekstu historycznego i psychologicznego niezrozumiałe czy wręcz dziwaczne, jak choćby historia św. Szymona Słupnika, który jako sprzeciw wobec zjawiska mnichów-włóczęgów zbudował sobie celę na wbitym w ziemię słupie w pobliżu ruchliwego gościńca, tym symbolem stabilności protestując przeciw pladze, na którą nie można było znaleźć sposobu.

Łatwo można żartować ze świętych, o których nie a raczej prawie nic się nie wie. Kiedy nic się o życiu po-

kutnika-mędrca Szymona Styty nie wie, można śpiewać o nim idiotyczne piosenki. Żartować z takich, jakimi byli rzeczywiście — znacznie trudniej. Pewnie, i wtedy też można, jeśli się ma odpowiednio grubą skórę.

Jakby tego wszystkiego nie spostrzegając (powiadam: jakby), Kościół nadal ogłasza nowych świętych, przekonany, że jego zadaniem jest spostrzeżenie, ukazywanie i ochranianie świętości tam, gdzie ona się pojawia. Zakony i kraje nadal zabiegają o kanonizację swoich świętych. Procedura procesu beatyfikacyjnego została ostatnio uproszczona, bo stara, praktykowana przez wieki, wymagała zmian. Zbiera się nadal materiały historyczne, dowody ciągłości kultu, nadal działają postulatorzy, wicepostulatorzy z różnych krajów i zakonów, bo jakież to zakon, którego założyciel nie jest wyniesiony na ołtarze?

I znów pytanie: po co? Po co, jeśli nawet nowy kalendarz liturgiczny skąpi miejsca świętym, skupiony wokół tajemnic Pańskich; po co, jeśli w nowej liturgii coraz mniej potrzebne są ołtarze i ołtarzyki świętych, bo liturgia Mszy św. sprawowana jest przy głównym stole ołtarzowym? Po co, kiedy wydaje się, że i ludzie w coraz mniejszym stopniu widzą potrzebę pośredników: wolą z samym Panem swoje sprawy załatwiać? Oczywiście, święty ma być wzorem do naśladowania. Ma być, to nie znaczy: jest. Bo historie tamtych ludzi najczęściej odczytuje się od końca. Wszystko, czego o nich się dowiadujemy, przyjmujemy przez pryzmacik wiadomości końcowej „on był święty”, zapominając, że to dopiero konkluzja końcowa, konkluzja pośmiertna, że oni sami nawet nie przypuszczali...

Lubię świętego Józefa Kalasantego od czasu, kiedy dowiedziałem się, jak bardzo nie udali mu się pierwsi członkowie zakonu, który założył. Wyrzucili po prostu założyciela z zakonu. Lubię świętego Jana Bosco przede wszystkim za to, że własny biskup przysłał po niego karetkę pogotowia (zaprężoną w konie), by odstawić tego nietypowego księdza do szpitala dla umysłowo chorych. O innym świętym, młodym jezuitcie, koledzy w kronice nowicjatskiej zanotowali: „...byliśmy dziś na wycieczce, Alojzego nie było z nami. *Deo gratias*”.

Napisał gdzieś wielki teolog-duszpasterz Karl Rahner, że na świętych patrzy się jak na zawodowców. Tak, pa-

trzymamy na nie podobnie jak i a dzievczynę, co w cyrku chodzi po linie. Niby każdy wie, że ta dziewczyna to człowiek jak i ja, ale na myśl nie przychodzi, by po powrocie do domu linę do suszenia bielizny między balkonami przeciągnąć i ćwiczyć takie chodzenie samemu. Może czasem dzieciakom po przyjeździe z cyrku coś takiego przyjdzie do głowy, ale starsi szybko i skutecznie te pomysły dzieciakom wybijają, więc nawet dzieciaki coraz rzadziej... Bo jakże: ona cyrkówka, a ty „mały urzędnik w wielkim biurze świata...” Można czasem co najwyżej zagrać w ping-ponga, ale nie za długo i nie za mocno, bo brzusek, bo rodzina, bo serce, bo rano trzeba do biura.

Wtedy patrzymy na tamtych z podziwem, na tamtych niedoścignionych, jak się modlą, jak pokutują, jak cierpią, oddają życie za wiarę i cnotę, jak zaharowują się na śmierć, pracując dla innych, nic w zamian dla siebie nie chcąc, jak są w tym wszystkim szczęśliwi, jakimś dziwnym, niezrozumiałym dla nas szczęściem. Patrzymy i własne ukryte marzenia, własne niespełnione sny doklejamy do ich historii. Wyglądamy chropowatości, zmarszczki. Niech oni będą tym, czym my już nie będziemy. Ustawia się cokoły, wysokie i piękne, przyklęka się przed cokołami, całuje relikwie. A na cokołach oni, a może bardziej my sami z naszych niespełnionych snów? I rozkładamy ręce: „Panie, nikt nie jest święty...”

Cuda... Pomijając to, co zrodziła wyobraźnia autorów *Złotej legendy*, zapytuję siebie, czym dla mnie dziś są cuda? Zupełnie wystarczy mi wytłumaczenie, że cud jest zjawiskiem, które łączę — wierząc w działanie Boga na świecie — z tym właśnie działaniem, które nazywam Opatrznością. Cud wtedy jest przypadkiem uprzywilejowanym, w którym „ślad Boży” występuje w sposób bardziej oczywisty, niż to ma miejsce w zwykłych zjawiskach przyrody. Nieważne jest ostatecznie, czy nauka potrafi wytłumaczyć proces cudownego uzdrowienia. Ważne są okoliczności, w jakich zjawisko zachodzi, że było „odpowiedzią” na wiarę, nadzieję i miłość (porównaj Henri Fesquet „Czy zmierzch cudów?” w książce *Katolicyzm jutra*).

W dawnej hagiografii prawdopodobnie, a w *Złotej legendzie* z całą pewnością cuda miały wagę argumentu, były narzędziem apologetycznym. Dziś raczej przeszkadzają, stwarzają jeszcze jeden próg w dotarciu do prawdy, od-

pychają nadzwyczajnością. Ale także schodzą na dalszy plan. I wcale nie tylko dla tzw. „oświeconych”, ale także dla tzw. „prostych ludzi”. Ci „prości” bynajmniej nie są — wbrew temu, jak skłonni są sądzić niektórzy „oświeceni” — głupcami i doskonale wiedzą, kiedy klękają przed cudownym św. Antonim w Kalwarii podwarszawskiej, że figura jest figurą, obraz obrazem, że nie do przedmiotu się zwracają, lecz do człowieka, którego figura czy obraz im przypomina i przybliża. Wiem o tym z całą pewnością, bo wiele razy i długo rozmawiałem z nimi, w rozmowach szczerych, spowiedziowych. I oni będą przychodzili do „swojego” świętego także wtedy, gdy cudowny święty nie uczyni żadnego cudu, bo nawet cudu nie muszą wcale się spodziewać. Będą przychodzili, bo przez przychodzenie i modlenie się uczynili sobie bliskim tego człowieka, o którym wiedzą, że jest bliski Pana Boga. Przez te dziwne bliskości daleki, niewyobrażalny świat staje się bliższy, bardziej własny.

Ojciec André Manaranche pisze w książce *Chrystus naszych dni*: „Jak nam się wydaje, ateizm współczesny jest wynikiem powolnego schodzenia na bezdroża, które w czterech wielkich etapach doprowadziło w końcu do odrzucenia jedyne go pośrednika, jakim jest Jezus Chrystus, i to w tym celu, aby Jego atrybuty przenieść na człowieka, który ma sam kształtować swój własny los. Te cztery etapy można określić następująco: Chrystus bez Kościoła, Bóg bez Chrystusa, Chrystus bez Boga, Kościół bez Chrystusa i bez Boga.”

Czy w gwałtownym odbrązowianiu świętych nie zawiera się przynajmniej tendencja obronna przed uznaniem konkretnego, a jednocześnie nadnaturalnego działania Siły Nadprzyrodzonej? Czy skłonność do załatwiania swoich spraw z samym Panem Bogiem, w istocie swej usprawiedliwiona, nie jest w gruncie rzeczy odruchem ucieczki w kierunku nie obowiązującego deizmu, ucieczki przed bardzo konkretnym przykładem człowieka, który na bardzo konkretne wezwanie Boga zawarte w konkretnym fakcie Objawienia potrafił odpowiedzieć i pokazał, że można temu wezwaniu sprostać?

Z całą pewnością święci mają nadal, kolejno, z epoki na epokę, ustępując sobie miejsca, pełnić rolę bohaterów do naśladowania, wzorów, drogowskazów. Ale dlaczego ich

historia prawdziwa tak szybko obrasta legendą? Dlaczego tak uporczywie podwyższa się cokoły, że z ziemi już nie bardzo widać tego, kogo na cokole ustawiono?

O, bo święci na cokołach są znacznie mniej niebezpieczni. Wiara... Nadzieja... Miłość... tego nie da się pojąć z zewnątrz. Trzeba zaryzykować dosłowne przyjęcie. A święty to taki człowiek, który zaryzykował. Święci uwierzyli, że decyzja przyjęcia i utrzymania przyjętego chrześcijaństwa, to decyzja ryzyka dosłowności nauki o Wierze, Nadziei i Miłości.

To tacy ludzie. Mniejsza w tej chwili o wyniesienie na ołtarze, to ostatecznie sprawa drugorzędna. I żadnego rozkładania rąk: „Panie, nikt nie jest święty”, bo to żadne tłumaczenie, nikt rzeczywiście nie jest. Chrześcijaństwo nie jest religią dla świętych, ono jest dla tych, którzy chcą je dosłownie wziąć.

Święci potrafili za życia denerwować. Dobrze, że ojciec Kolbe miał mądrych, cierpliwych przełożonych, którzy umieli go dostrzec. Ale nie myślcie, że wszyscy byli nim zachwyceni. Święci potrafili denerwować za życia i potrafią po śmierci być kłopotliwi. Kiedy powątpiewam: dosłownie? dziś? w tych warunkach? — Kościół w odpowiedzi beatyfikuje człowieka, który życiem swoim odpowiedział: można, i dosłownie można, i w tych czasach, i w tych warunkach można. To bardzo kłopotliwe. Już lepiej przystać na nie wiem jaką cudowność i nadzwyczajność świętego, by móc powiedzieć: trudno, ja jestem zwykły człowiek. Dajcie mi święty spokój. Żebym tylko nie musiał wyciągać zbyt dalekich wniosków z tego, w co wierzę. Jeżeli nawet wierzę razem z nimi, czy z tego rzeczywiście wynika, że mam tak jak oni, dosłownie, całym życiem, sprawdzonym ostatecznie śmiercią?... Przecież to wykluczone, żeby każdy musiał tak dosłownie. Żebym ja musiał. To wykluczone!

Jak pisać o Bracie Albercie?... Gdy w krakowskim KIKu mówił o nim Tadeusz Żychiewicz, obecna na sali starsza pani protestowała przeciw niektórym szczegółom, powołując się na autopsję (rozmawiałam z Bratem Albertem i widziałam, że wcale wszy nie chodziły po jego habicie). Żyją ci, którzy go znali (umarł w 1916 roku), a inni? Chyba dowiedzieli się wszystkiego od naocznych świadków i biografów, czego tylko dowiedzieć się można.

Z tym poczuciem wsiadam do taksówki (wybaczcie rozrzutność, mam złamaną nogę, chodzę o kulach) i proszę a zawiezenie mnie na Krakowską, do braci albertynów. Okazuje się, że... szofer nie wie. Nic nie wie, nie słyszał, nie zna, nie wie gdzie. Więc to, co niżej, jemu dedykuję.

Przełożony domu albertynów na Krakowskiej pokazał mi siedem okazałych tomów oprawnych w płótno. Zawierają odbitki fotograficzne artykułów o Bracie Albercie. Gdyby nie to, że zbierania zaprzestano już w pierwszych latach powojennych, byłby z pewnością już i tom ósmy. W gablocie leżą książki o nim, między innymi dwie znakomite ks. Konstantego Michalskiego, mała szara książeczka ks. Czesława Lewandowskiego; *Duchowość Brata Alberta* przez o Bernarda karmelitę; Marii Winowskiej *Frère Albert, ou la face au outrages* (po francusku i w polskim wielołączowym wydaniu); odbitka ze „Znaku” 1962 z artykułem Anny Morawskiej pt. *Polski prekursor odnowy* i inne.

„Nasza Przeszłość” (Studia z dziejów Kościoła i kultury katolickiej w Polsce, wydawane pod redakcją ks. Alfonsa Schletza) w tomie XXI (z roku 1965) opublikowała zbiór pism Brata Alberta. „Przemówi w tym zbiorze po raz pierwszy (pisze we wstępie ks. Schletz) Adam Chmielowski — artysta, i Brat Albert, tercjarz, założyciel, ojciec nędzarzy i wydziedziczonych, człowiek o głębokim życiu wewnętrznym”. Tom ma ponad 200 stron. Ciekawa to lektura. Po wstępie i schemacie biograficznym, który doskonale pomaga zorientować się wśród listów, następuje ko-

respondencja i instytucjami i osobami świeckimi. I tak na początku podanie do członków Komitetu Francusko-Polskiego w Paryżu: „...Panowie. Walczyłem o niepodległość mojej ojczyzny pod rozkazami i w oddziale pułkownika Chmieleńskiego. Dnia 1 października 1863 roku zostałem ciężko ranny pod Melchowem, gdzie straciłem nogę (...) Znalazłem się obecnie bez środków...” Sprawdzam daty. Chmielowski miał wtedy dziewiętnaście lat. Dalej listy do Lucjana Siemieńskiego. Chmielowski — młody malarz, pisze do swego mecenasa długie listy o sztuce, filozofii i życiu. Pisze trochę i o sobie. Czasem użala się, że nie może chodzić, że proteza zła, że tęskni do Krakowa, do miłej atmosfery i świetnych cygar w domu Siemieńskich. Najwięcej miejsca w listach zajmuje sztuka — jego wielka miłość. Wśród innych listów zwraca uwagę dowcipny, długi, zabawnie ilustrowany list do kuzynek.

Gdzieś od strony 70 kończą się długie listy. Dotąd jeden zajmował kilka stron druku, teraz na stronie niemal z reguły mieści się kilka. Odtąd też podpisywane są „Br. Albert III-go Zakonu ś-go Fr.” albo „Albert, sługa w Chr. Panu najniższy”. Daty od 1886. Zarządzenia, rady, kierownictwo duchowe.

Nieraz wiadomość bardziej osobista, jak na przykład że „będę się starał do was przyjechać, ale bardzo bieduję ze zdrowiem”...

Dalej pisma urzędowe, umowa z zarządem miasta, jedyna w swoim rodzaju. Notatki z rekolekcji, projekt reguły, którego oryginał pokazali mi kiedyś albertyni, spisany przez autora na małych, przybrudzonych arkusikach, nerwowym, nieczytelnym pismem, tekst z dużym marginesem i na marginesie uwagi...

Dziwna lektura. Zamykając tom czytelnik czuje się jak posiadacz kamyczków, z których niemal że można zrekonstruować obraz, ale mozaika zostaje niezupełna. Kamyczków mimo wszystko za mało.

Jest ich jednak dość, by zaniepokoić, by zmusić do szukania odpowiedzi na pytanie: jaki on był? Kim był ten, który na swój sposób ratował honor Ewangelii?

Siostra starsza (czyli generalna przełożona) albertynek przyszła do rozmównicy w towarzystwie swej zastępczyni oraz sędziwej Siostry Heleny. O tej ostatniej mówi się tu

Matka — bo pamięta ona dobrze Brata Alberta i tamte czasy, długo też rządziła zgromadzeniem.

Przygotowałem kilka pytań, lecz przypomniałem sobie, że w zbiorze wydanych listów Brata Alberta są chyba także pisane do Siostry Heleny. Potwierdza, są dwa. Zaczynamy rozmawiać o listach.

— A czy zachowały się listy pisane do Brata Alberta, te, na które on odpowiada?

Matka śmieje się i zaprzecza:

— Skądże, on niczego nie przechowywał. W celi miał tylko konieczne sprzęty. Wszystkie dokumenty nosił przy sobie w torbie skórzanej, zawieszanej na szyi, żeby ręce były wolne do trzymania laski.

— A Matka nie dostała więcej listów?

I znów podobne wyjaśnienie, że jeśli zupełne, dosłowne, franciszkańskie ubóstwo, to nie gromadzenie listów i pamiątek.

Tymczasem siostra wikaria, która przed chwilą wyszła, wraca niosąc barwny i bardzo oryginalny obrazek malowany na szkle. To jeszcze miał Tatuś w celi (Siostry tak mówią o Bracie Albercie) — to jest święty Makary (czy Makaryn — już sam nie wiem) — stojący na wielorybie wśród wzburzonych fal. Bardzo ten obrazek lubił.

Proszę Matkę Helenę, by opowiedziała o Bracie Albercie tak, jak go pamięta, i stopniowo w słonecznej rozmównicy o drewnianych ścianach pojawia się żywa postać barczystego mężczyzny w szarym habicie, z brodą, w binoklach na nosie (Matka Helena mówi „cwikier”), z laską w rękę. Tak, chodził z trudem. Zamiast protezy z racji ubóstwa używał sztaby żelaznej.

Czasem przewracał się. — Raz widziałam — opowiada Matka — jak idąc przez refektarz upadł, kiedyś spadł ze stromych schodów. Musiało się to zdarzać częściej.

Chętnie opierał się na ramieniu któregoś z braci. (Słuchając tego, spoglądam na swoje kule, tymczasowe, tylko na trzy miesiące — ale i one pomagają zrozumieć, czym może być kuszykanie o lasce, bez nogi, jakimi zasadzkami czyhają schody, fałdy chodnika przykrywającego podłogę, śliskie posadzki, wilgotne po umyciu, jak bolą od lasek ręce, na których trzeba utrzymywać cały ciężar ciała.)

I wspomnienie z lektury listów: ten człowiek wciąż

jeździł, od jednego przytuliska do drugiego, i to do końca życia.

— Najbardziej utkwił mi w pamięci — mówi Siostra Helena — obraz Brata Alberta śpiewającego hymn *Ave Maris Stella*. Bardzo lubił ten hymn. To było naprawdę coś niezwykłego. Już nie chodzi o to, że miał potężny głos i świetnie śpiewał, ale to był obraz człowieka w zachwyceniu. On rzeczywiście zapominał w takich chwilach o świecie.

To jak na Matkę Helenę bardzo dużo powiedziane. Zauważyłem, że nie lubi wzniosłych słów i zwrotów, zbyt wiele widziała, zbyt wiele wie o życiu. To chroni przed egzaltacją. Mówi rzeczowo to, co pamięta. O nadzwyczajnościach raczej niechętnie, z rezerwą, z dopuszczeniem innego, zwyczajniejszego tłumaczenia. Tak opowiada na przykład o powiedzeniach Brata Alberta, które można uznać za przepowiednie przyszłości.

Rozmawiamy o pracy zakonu. O pracy wtedy, na samym początku. Pytam, czy Matka nie miała czasem chęci uciec? Opowiada, jak po dwóch latach nowicjatu w Zakopanem przyjechała, by stanąć do pracy w przytulisku i jak dochodząc z dworca do przytuliska zobaczyła siedzące przed nim na schodach odrażające kobiety, wybierające z ubrania wszy. To było ponad siły. Ale została.

I znów wracamy do Brata Alberta: czy on rzeczywiście nie miał zamiaru zakładać zgromadzenia?

Matka potwierdza, że początkowo takiego zamiaru nie miał, i wspomina, jak kiedyś zauważyła go w kaplicy na Krakowskiej. Siedział w tyle, w kącie za fisharmonią, i patrzył na siostry wchodzące do kaplicy. Były jakieś rekolekcje. Siostry szły i szły, a Brat Albert kiwał głową i mruczał do siebie słowa zdziwienia, że ich tyle. Co je tu właściwie sprowadzać może?...

Pytam, czy naprawdę Brat Albert miał zwyczaj używać określenia „dobry jak chleb”? Zakonnica potwierdza i przypomina, że już w jednym z listów do rodziny, jeszcze jako świecki, użył tego zwrotu na określenie kogoś. „Być dobrym jak chleb, z którego każdy może sobie ukroić”. On był naprawdę taki. Dobroć i ubóstwo to chyba główne cechy zewnętrzne Brata Alberta. Mówił nieraz do sióstr i braci konferencje. Siostra Helena szczególnie żywo pamięta to, co mówił im w czasie obłóczyn. Powie-

dział wtedy: „Kto chce iść za mną, niech zaprze się samego siebie, weźmie swój krzyż i naśladuje mnie”. To zapamiętałam, powiada siostra Helena, a ja się dziwię, bo to przecież po prostu bardzo znany cytat z Ewangelii. Dochodzę jednak do wniosku, że widocznie nie każdy może wszystko z Ewangelii z równą siłą pamiętać.

Pytam jeszcze o sprawę, które sobie wcześniej wynotowałem w notesie. Więc kontemplacja i powiązanie z szkołą ascetyczną karmelitańską. Siostra Starsza mówi o *Naukach i ostrożnościach duchowych (dla osób zakonnych)* św. Jana od Krzyża, które Brat Albert przetłumaczył z francuskiego, nieco skrócił i wydał specjalnie dla swoich zakonników: stale na tym opieramy naszą ascezę.

„...Pierwsza ostrożność polega na tym, ażeby mieć jednąkówną życzliwość, a zarazem i zapomnienie jednakie dla wszystkich (...) Nie kochaj więcej jednej osoby nad drugą (...)

...Druga ostrożność, którą zachować masz przeciw światu, dotyczy dóbr ziemskich (...), trzeba koniecznie umartwiać nadmiar wrodzonego pożądanía dóbr (...), nie troszczyć się o nic zgoła, ani o pokarm, ani o odzież, ani o zdrowie, ani o dzień jutrzejszy.

Trzecia (...) niech cię nigdy nie dziwi ani gorszy to, co mógłbyś zobaczyć lub usłyszeć...”

Dalsze „ostrożności” odnoszą się do posłuszeństwa i umartwienia miłości własnej. Wśród nich jedna jest szczególnie znamienita: „Żadnej czynności, którą masz wykonać, nie opuszczaj nigdy dla wstępu, jaki ona budzi w tobie. Nie wykonuj nigdy żadnej z nich dla zadowolenia, jakie czynność ta mogłaby ci sprawić, jeśli nie obowiązuje cię na równi z tymi czynnościami, które ci się nie podobają...”

— Zakonnice — tłumaczy Siostra Starsza — dążą do łączenia życia kontemplacyjnego z pracą. Naszą klauzurą jest środowisko biednych.

Słucham tego wszystkiego i przypominam sobie, jak w rozmowie o świetnym rozwoju albertynek ktoś przyczynę tego rozwoju wskazał jednym zdaniem: prowadzą życie kontemplacyjne.

Rozwój? — tak, jest ich obecnie ponad 600, nowiejsze

wciąż pełny, 52 domy. Co robią? — oczywiście takich przytulisk, jak w czasach Brata Alberta, nie prowadzą. Dostosowawszy się do obecnych potrzeb pracują w państwowych domach opieki, w zakładach dla nieuleczalnie chorych, niewidomych, starców. Wiele siostr to dyplomowane pielęgniarki.

Wciąż przychodzi wiele kandydatek. Głównie z miejscowości, gdzie pracują siostry, więc chyba złudzeń nie mają, na jaką idą służbę. Są wśród nich z średnim wykształceniem, są i z wyższym. Co je pociąga? Mówią, że rzucająca się w oczy miłość, panująca wśród siostr, i zupełność służby, na jaką idą.

Jeszcze pytanie dotyczące ubóstwa. Czy dziś udaje się nadal zachować je tak, jak wyobrażał sobie Brat Albert? Przecież już wtedy jego idea ubóstwa była tak krańcowa, że nawet nie opracował do końca reguły zgromadzeń, bo dowiedział się, że Stolica Apostolska nie zatwierdza zakonów zupełnie pozbawionych stałej bazy materialnej.

Siostra Starsza stanowczo twierdzi, że zgromadzenia trzymają się ściśle woli założyciela i franciszkańskiego ducha. Nie mają nic na własność. Nawet słynną pustelnię na Kalatówkach budowaną pod kierunkiem Brata Alberta (siostra Helena opowiada, jak kiedyś przyjechał i stwierdziwszy, że bracia dorobili jakieś fikuśne gzymsy, zdenrowował się i gzymsy kazał wyrzucić) nie jest też własnością siostr. Gdy w 1965 roku wygasła umowa dzierżawna, została ona znów odnowiona. Siostry płacą symboliczną złotówkę (ściśle 10 zł) jako czynsz dzierżawny.

Siostry mieszkają we wspólnych dormitoriach podzielonych na cele płóciennymi przegrodami, śpią na tapczanach z desek noszą grube habity własnoręcznie tkane.

Proszę jeszcze Matkę Helenę, żeby opowiedziała o śmierci Brata Alberta, przy której była obecna. Więc opowiada, jak wyniszczony rakiem żołądka przywłókł się z Zakopanego do Krakowa, jak z dworca dojechał na Krakowską tramwajem, jak leżał potem nieprzytomny z bólu, a gdy oprzytomniawszy zauważył, że twardy tapczan zamieniono na wygodne łóżko, błagał o zwrot tapczana z desek. Gdy okazało się, że wynosząc na strych stare wyro bracia odtręcili spróchniałe nogi, podstawiono na ich miejsce pakę z węglem. Siostra Helena zauważyła, ja-

kim wrokiem na tę pakę popatrzył arcybiskup Sapieha, który przyszedł odwiedzić konającego.

Brat Albert z bólu tracił przytomność i strasznie jęczał. Gdy na chwilę się ocknął, arcybiskup zapytał:

— Boli Brata bardzo?

— Ee nie, nie boli.

— To czego Brat tak jęczy?

— To z wrażenia, ekscelencjo, i ze strachu.

Opowiada Siostra Helena szczegóły znane z opisów, jak umierający błogosławił, jak ofuknął ich, że płaczą, jak kazał *Te Deum* odmawiać. Ostatnie słowa umierającego — gdy ktoś podał mu jeszcze pić — były:

— Teraz mi nic nie trzeba...

Siostra Helena ma łzy w oczach.

— Dopiero wtedy zrozumialiśmy — mówi — kto to był. Dotąd było wszystko takie normalne. Był Brat Albert, szło się do Brata Alberta, on przychodził, kosztował zupełnie gotowaną dla biedaków, pocieszył, czasem się zirytował, roweselił na rekreacji...

A teraz... mieliśmy poczucie, że ziemia się przed nami rozstąpiła.

Ale on kazał *Te Deum* odmawiać.

A po Krakowie szła wieść, że umarł święty.

„Święty”, „świetlana postać”, „najpiękniejszy człowiek naszych czasów”... jakże łatwo zapomina się o realiach.

A realia były takie:

Ks. Lewandowski, przyjaciel i spowiednik Brata Alberta, spisał to, co mu Brat Albert opowiadał o ogrzewalni. Nie widział tego sam, do ogrzewalni (czyli do miejskich domów noclegowych dla biedoty) nie wypadało chodzić duchownym. „Była to zniszczona budowla, bez ogrodzenia, w której wnętrzu było tylko jedna wielka, zaniedbana sala bez podłogi, za to pełna śmiecia, błota, brudu i robactwa wszelkiego, które się roiło jakby w mrowisku.

Było tam stłoczonych koło dwustu osób, różnego wieku, zdrowi z chorymi, uczciwi wraz z pijakami lub złodziejami, były i podrostki, chłopcy mali i dzieci. Pod zgniłą ścianą była jedna czy druga ława, na której siedziały złe mocarne jednostki, co tamże rej wodziły pijac i w karty grając, pod ławami zaś leżeli starzy i chorzy, na próżno wołając o pomoc. Przez całą salę przebiegała rura z sąsiedniego małego przedsionka, gdzie stał piec, w którym stróż

miejski miał obowiązek w razie zimna raz na dzień napalić. Pod tą rurą ogrzaną kłębiły się ciała uliczników krakowskich i dzieci. Ze stosów mokrego ubrania sypało się jak pył różne robactwo na śpiących chłopców, których twarze przez nie pokąsane wyglądały jakby ospą zezpecone. Nieznośny przy tym zaduch i trujące powietrze tamowało oddech. Nowi, ciągle nadchodzący przybysze powiększali nieznośną ciżbę, a co najgorsze, że właśnie niegodziwcy stali się panami ogrzewalni, którym inni opłacać się musieli... Gorsze jeszcze stosunki panowały w ogrzewalni dla bezdomnych kobiet, w wynajętym na ten cel domu przy ulicy Skawińskiej.”

Chmielowski odkrywszy to dno nędzy, wyciągnął z Ewangalii wnioski do końca. Był ostatecznie tylko artystą, mógł powiedzieć to, co powiedzieli panowie z towarzystwa dobroczynnego, z którymi zaszedł pierwszy raz do ogrzewalni: to przekracza nasze możliwości. Trudno...

Chmielowski zmienił strój świecki na habit tercjarzski — celowo tak nędzny, że nie raził na tle nędzy — i zamieszkał w ogrzewalni. Fakt. A później powstał ten oto przedziwny dokument (podaję tekst z nieznacznymi skrótami):

Umowa z gminą m. Krakowa (1 listopada 1888 roku)

Brat Albert III Zakonu Św. Franciszka zobowiązuje się:

— być dzień i noc w lokalu ogrzewalni miejskiej sam lub jeden z jego towarzyszy,

— starać się o zaspokojenie głodu tych, którzy nie mogą zapracować sami, przynajmniej raz na dzień dać ciepłą strawę,

— wyszukać pracę dla ubogich, którzy do pracy są zdolni,

— starać się o okrycie dla ubogich,

— kwestować i do tego celu kupić konia i wózek,

— mieć nadzór nad zdrowiem, ochędóstwem ciała i odzieży ubogich oraz utrzymywaniem porządku w ogrzewalni,

— urządzić kuchnię z naczyniem do gotowania na 100 osób,

— dostarczać węgla i nafty do ogrzewania i oświetlenia,

— opiekować się inwentarzem i zwrócić go gminie miasta Krakowa w wypadku rozwiązania umowy,

— zaprowadzić stały nadzór kobiecy nad ogrzewalnią dla kobiet.

Z punktu drugiego umowy wynika, że gmina miasta Krakowa

a — odda Bratu Albertowi pod zarząd izbę ogrzewalni wraz ze stacją i schowkiem do izby przyległym,

b — poprosi pana prezydenta o udzielenie pozwolenia Bratu Albertowi i jego towarzyszom kwestowania w godzinach popołudniowych, kolejno w rozmaitych ulicach,

c — wykonywać będzie nad czynnościami Brata Alberta i jego towarzyszków kontrolę za pośrednictwem osób do tego z Sekcji V Rady Miasta delegowanych.

Punkt trzeci umowy brzmi wreszcie tak:

Brat Albert zrzeka się imieniem własnym i swoich towarzyszy wszelkiego wynagrodzenia ze strony gminy miasta Krakowa za swoje czynności i nie ma prawa żądać od gminy pod jakimkolwiek tytułem czegokolwiek nad to, co w umowie jest podane.

Punkt czwarty określa, że umowa zawarta jest na czas nieograniczony z prawem wzajemnego wypowiedzenia w terminie miesiąca.

Podpisał w imieniu gminy prezydent Szlachkowski, Brat Albert III zakonu S. Franciszka Adam Chmielowski i świadkowie L. Turnau i K. Kowalski.

Fragmenty innych dokumentów. W nich Brat Albert wykląda swoje koncepcje i informuje społeczeństwo o działalności zakonów.

1889 — do kardynała Albina Dunajewskiego:

„Potrzeba otwartych każdemu domów miłosierdzia i zarobkowych, które by też dawały natychmiastowy ratunek albo pomoc łącznie z zarobkiem dla mogących pracować, jest najpowszechniej stwierdzona, dyskutowanym tylko bywa, jaki system schronisk jest stosowniejszy, dyskutowaną jest też kwestia funduszków, w moim zaś umyśle ważniejsze przed innymi staje pytanie — kto może takimi domami kierować i w nich posługiwać, gdyż codzienne doświadczenie mnie uczy, że od wyboru osób do posługi użytych cały pożytek miłosierdzia działania zależy. Mniemam

więc, że tylko katolicki zakon, którego członkowie posiadali-
liby odpowiednie uzdolnienia — a z czysto nadnaturalnych
pobudek przez śluby zakonne wyrzekli się wszystkiego co
ziemskie, że tacy tylko wyłącznie stanowiliby dostateczną
siłę do tak ciężkiego społecznego zadania. Mniemam nadto,
że o ile by im się udało zorganizować własną i cudzą pracę,
stanowiliby pewien kapitał ekonomiczny, a przez to
mogliby wystarczyć swoim potrzebom. Za błogosławień-
stwem to Księcia Biskupa i pod Jego protekcją rozpoczę-
liśmy rok temu naszą organizację zakonną, której pokutne
życie stanowi zadanie przy pracy i czynnym miłosier-
dziu (...)

Stałych funduszków nie pragniemy ani moglibyśmy je
przyjąć — jesteśmy franciszkanie zakonni, mamy więc żyć
ubogo z pracy i z jałmużny, o ile praca by nam nie wy-
starczała z powodów od nas niezależnych, bo taka jest
w tej rzeczy wyraźna wola naszego Świętego Ustawodaw-
cy.”

Fragmety ze sprawozdania Braci III Zakonu św. Fran-
ciszka z ich rocznej posługi na Kazimierzu za rok 1889
(druk ulotny — pierwszy rok ogrzewalni):

„...Bez ogrzewalni liczba chorób byłaby o wiele większą
między ubóstwem najniższej kategorii, niepodobna by też
było inaczej zabezpieczyć ubogich od wypadków śmierci
przez zamarznąćie w ostrej porze zimy ani uniknąć wielu
nieporządków z tego powstałych, że znaczna liczba ludzi
miałaby noc przepędzać na ulicy (...).

Miewało nocny przytułek, w miesiącach zimowych
w ogrzewalni miejskiej, codziennie najwięcej 210 osób, naj-
mniej 150; w miesiącach letnich 50 — 70, w jesieni 70 —
130. Na dzień większość tych ubogich szła na miasto dla
zarobku, zostawało w przytułku 50 — 70 osób w zimie, 20 —
30 w jesieni, 10 — 20 w lecie.

Ogół ludzi, o których mowa, stanowią bardzo ubodzy
zarobnicy, których zarobek bardzo niedostateczny i nie-
równy nie wystarcza, szczególnie w zimie, na odzienie
i mieszkanie(...).

Nałogowych pijaków jest między tymi ludźmi zaledwie
kilkunastu, tyłuż fachowych żebraków i tyłuż nałogowych
młodych próżniaków, szukających łatwego kawałka chleba.

Większość w ogólnej liczbie jest ludzi młodych albo w średnim wieku, zdolnych do pracy, zaledwie kilkunastu starców, tyłuż wyrostków i dzieci (...).

Noclegowanie było w zimie w najwyższym stopniu niewygodne z powodu szczupłości miejsca; przy większym napływie ubogich niektórzy stojąc noc przepędzali(...)

Wszyscy noclegujący dostawali o godzinie 6-tej ranny posiłek z miską zupy, jaką dla wojska przyrządzają z małym kawałkiem chleba, w południe 40 do 50 porcji obiadów rozdawano i nieco więcej porcyj wieczerzy: w święta katolickie większą ilość porcyj rozdawano, także podczas świąt żydowskich z powodu wielkiego braku zarobku. Od kwietnia żywność dostawali tylko niedołężni, słabi i nie mający chwilowo zarobku. Ogółem rozdano w przybliżeniu 50 000 porcyj śniadań, obiadów i wieczerzy (...) obuwia do 150 par, bieliznę, ubranie.

Reperowano buty, pracujący ubodzy dostawali żywność i 15 ct. od pary butów.

...Ponieważ pomiędzy tutejszymi zakładami dobroczynnymi nie masz żadnego, który by udzielał doraźnej pomocy w wypadkach nagłych nędzy, znaczna liczba osób różnego wieku i kondycji ucieka się do nas o poratowanie (...). Staraliśmy się wedle naszego przemożenia i tych wspomagać, dopóki ich stosunki się nie poprawiły, niektórych mieściliśmy w kuchni, innych w naszym zakonnym mieszkaniu, jeżeli to było możliwe ze względu na ich osoby.

Otrzymaliśmy też niejakię większe jałmużny, poza zwykłą kwestą, od p. Adamowej hr. Potockiej..., od p. Augustowej hr. Potockiej..., od p. Konstantowej hr. Branickiej..., od p. Konstantego hr. Przeździeckiego (...). Odwar z gotowania wędlin, udzielany nam łaskawie przez p. Armółowicza, był wielką w gospodarstwie pomocą. Mamy nareszcie wyrazić podziękowanie paniom przekupkom ze Szczepańskiego placu, które choć same niebogate, udzielały nam z wielką życzliwością jarzyn.

Cyfry naszych rocznych dochodów w zestawieniu z rozchodem dają deficyt 650 zlr., stopniowo powstały w postaci długów i niezapłaconych rachunków za dostawy (...).

Zbyt dotkliwie czuć się daje brak pracy zarobkowej,

którą konieczne w domu zorganizować wypadu, ażeby, o ile tylko można, usunąć jałmużnę darmo daną mogącym pracować. Dążenie w tym kierunku jest nam już teraz do pewnego stopnia umożliwione”.

Zawiadomienie o obłóczynach sióstr („Nowa Reforma” 1 lutego 1891, „Czas” 4 lutego 1891):

„...Z dniem dziesiątym Siostry rozpoczynają kwestować po ulicach miasta (...) Bracia Tercjarze zaprzestają od-tąd kwesty miejskiej, rozpoczęli fabrykować meble gięte, która to fabrykacja — jak się spodziewają — zajmie wszystkich tych ubogich i ubogie obydwóch schronisk, którzy są bez zajęcia, a do pracy zarobkowej są zdolni”.

Schroniska ubogich obsługiwane przez Braci i Siostry III-go Zakonu św. Franciszka (druk ulotny, 1892):

„Potrzeba, owszem, konieczność, szczególnie po większych miastach, schronisk każdemu ubogiemu otwartych jest dziś najpowszechniej stwierdzona.

W działalności miłosiernej trzeba stworzyć warunki do wyjścia z nędzy, uszanować inicjatywę i wolność osobistą, jako rzeczy człowiekowi najdroższe.

Posługa zatem Braci i Sióstr III-go Zakonu św. Franciszka ma w najbliższym celu ratunek natychmiastowy każdego ubogiego w ostatecznych jego potrzebach — w dalszym celu ma poprawę stanu materialnego i moralnego najniższego proletariatu, mianowicie więc niedołącznych żebraków, włóczęgów, wyrobników bez zajęcia etc.

Stosownie do tego celu bracia i siostry, jako gospodarze i robotnicy w schroniskach, postawieni są w bezpośredniej styczności z ubogimi, ażeby mogli poznać ich szczególne potrzeby — zarazem przez codzienne z ubogimi stosunki, wpływać na nich dodatnio (...)

Każdy ubogi, który się przedstawi, znajduje zimą i latem przytułek, głodny i obdarty — strawę względnie zapomogę w odzieży, głodny bez zajęcia do pracy zdolny — pracę zarobkową w ułatwionych warunkach. Zainstalowano po temu fabrykację mebli giętych, wyrób słomianek, domową piekarnię, szwalnię i warsztat szewski na domową potrzebę.”

Tu następuje wyliczenie wyświadczonych usług oraz

zestawienie wyraźnie wskazujące na spadek przestępczości w Krakowie od czasu założenia schronisk.

Fragmety listów do braci:

„Nie podzielam Brata bojaźni o utratę tej ofiary, boć pewnie, wprowadzie przez dobrych ludzi, ale sam Pan Bóg żywi nas dotąd i przeżywi nadal, jeżeli taka Jego wola, a kto wie, czy nie jest lepiej, że mamy mniej, niż gdybyśmy mieli mieć więcej i z większą łatwością; nie umiałbym na to pytanie odpowiedzieć” (1905).

Z innego listu:

„...To stara bieda, że Brat jest zanadto drobiazgowy, chciałby mieć dom swój jak zegarek uregulowany i fundusze itd., ograniczoną liczbę ubogich etc., ale taką drogą idąc można oburzyć na siebie i ludzi, i miasto, a co gorzej i chyba ze Sokala się wynosić, bo dom przecie jest ubogich i Pana Jezusa, którego bezwzględny postępowaniem z ubogimi można obrazić. Więc każdego biedaka, co pode drzwi przyjdzie u Braci czy u Sióstr trzeba przyjąć na dłużej czy na krócej i dać co można, choćby przez to trochę biedować albo reszcie obroku ująć. Także w Powiecie można wypraszać, ale ta Brata stanowczość i kategoryczna odmowa wcale mi się nie podoba” (1913).

„Najmilszy Bracie Bernardzie,

Pozwoliłem Braciom na handel (że nie można kwestować), ale wyłącznie na ubogich. Niech Brat o tym pamięta, każdemu głodnemu dać jeść, bezdomnemu miejsce, a nagiemu odzież. Jak nie można dużo, to mało, inaczej nie ma przytuliska (...) Niech się Brat rozwesela i wszystko zdaje na Opatrzność Boską” (1914).

Do Brata Serafina w Zakopanem:

„Nie wolno Bratu żadnego księdza przyjmować, szczególnie za zapłatą. Z domu zakonnego robi się tym sposobem pensjonat, w razie propozycji proszę do mnie pisać o pozwolenie — inaczej nie. Chyba w nagłym wypadku, na parę dni, bezpłatnie, jeżeli ksiądz znajomy. Od czegoż Księżówka?” (1914).

Jeszcze z innych listów:

„Złotych zębów nie wolno Braciom ani Siostróm nosić, bo to byłoby dla nas hańbą i zgorszeniem każdego, co by to widział. Złote zęby noszą tylko bogaci ludzie, ale cho-

dzić w nędzy; m rozdanie bosu i opasywać się powro-
zem, a w gębie nosić złoto to jest bezwstyd i brak wszel-
kiej delikatności albo jakaś bezgraniczna ciemnota i glu-
pota. A trzeba też wiedzieć, że fundusze, które mamy w rę-
ku, nie są naszą własnością, ale należą do ubogich
i dla nich są nam dane, my zaś tymi pieniędzmi a d m i n i-
strujemy (...).

Na żadne kasy poboczne, choćby w tym była jaka wy-
goda, nie pozwalałam.

Podobno ma Brat 6 koni, na cóż to? (...).

P.S. A niech też Brat o tym pamięta, że przytulisko
powinno przyjmować każdego w ostatniej nędzy, a gmina
daje dużą stosunkowo subwencję, więc trzeba uważać, że-
byśmy nie stracili tego, cośmy przez tamte lata zarobili
przed Bogiem i ludźmi, co by niechybnie się stało, gdy-
byśmy tylko płatnych przyjmowali”.

Z Projektu Konstytucji Zgromadzenia Braci Alberty-
nów:

„...mają zachować Regułę zakonu św. Franciszka.

O celu Zgromadzenia:

A mają też bracia służyć najuboższym, upatrując w nich
Chrystusa Pana ubogiego, który powiedział: coście uczy-
nili jednemu z tych najmniejszych mnieście uczynili.

O służeńiu ubogim:

Ta posługa ubogim polega na tym, żeby każdego z nich,
który się przedstawi, do domu przyjąć i wedle możności
w potrzebach doczesnych wspomagać, zajmować też pracą
tych, którzy są do pracy zdolni, pouczać prawd wiary, na-
kłaniać do modlitwy (...)

O przyjęciu postulantów, nowicjacie
i profesji:

Bezpośrednio przed rozpoczęciem nowicjatu niech im
powiedzą słowo świętej Ewangelii, żeby poszli i sprzedali
wszystko swoje i to niech się starają ubogim rozdać, cze-
go gdyby uczynić nie mogli, dosyć im na dobrej woli,
a niech się strzegą bracia i ich przełożeni, ażeby się nie
pieczołowali o rzeczy doczesne”.

Dopiski na marginesie:

„Jak zrobić z rozdaniem pieniędzy?

...A wszyscy bracia podłymi szatami z samodziału mają się odziewać i mogą je łączyć sukmem ze starych tunik i innymi latami z błogosławieństwem Bożym."

Gierymski powiedział o Bracie Albercie: „Nieszczęściem tego człowieka było, że chciał łączyć w jedno teorię z praktyką, życie naginać do potrzeb poetycznych, że żądał od siebie więcej, niż natura dała człowiekowi, niż mu dać mogła”.

Może w tym, co Gierymski nazwał „nieszczęściem” a co ks. Michalski przetłumaczył na „wielkość i heroizm”, jest zawarta tajemnica tego człowieka. Tajemnica doczytania Ewangelii, bez opuszczeń i złagodzeń, do końca.

Chciał łączyć w jedno teorię z praktyką. I nie tylko chciał. Łączył.

W maju 1966 roku, w dniu, w którym na wiejskim cmentarzu w St. Oedenrode w Holandii pochowano zwłoki biskupa Willema Bekkersa, pasterza diecezji Den Mosch, przeszło czterdzieści tysięcy ludzi odwiedziło jego grób. Nikt tej spontanicznej akcji nie organizował ani nawet nie przewidział. Jeszcze przez wiele dni drogi wiodące do rodzinnej wsi zmarłego biskupa, gdzie zgodnie z własnym życzeniem został pochowany, były zatłoczone tysiącami pojazdów. W przeciągu kilku tygodni przez St. Oedenrode przeszło półtora miliona ludzi.

Tu nie chodzi mi o rozszyfrowanie zagadki tego niezwykłego człowieka. Wydana w przekładzie polskim przez „Pax” książka Bekkersa *Drogi Ludu Bożego* prowokuje do własnych przemyśleń. Książka jest właściwie dokumentem biskupiego nauczania. Zawiera materiały z jego wystąpień, opracowane przez eseistę i poetę holenderskiego, Michela van der Plas.

Biskup Willem Bekkers był chyba jednym ze „znaków czasu”, a może należy powiedzieć raczej, że znakiem naszego czasu było przyjęcie, z jakim spotkał się wśród współczesnych. W nauczaniu jego wyraził się ten nowy styl nauczania Kościoła, który drogą ewolucji coraz wyraźniej i szerzej dochodzi do głosu w Kościele posoborowym. Zmiany dokonują się wolno i niemal niepostrzeżenie, dokonują się w duchownych głosicielach i świeckich słuchaczach. Biskup Bekkers pomaga w sformułowaniu treści często przez nas zaledwie przeczuwanych.

RAZEM Z WAMI JESTEM CHRZEŚCIJANINEM

Trudno opisać uczucie zażenowania, jakie przeżywa człowiek stojąc na ambonie i „puczając wiernych”, przy jednoczesnej świadomości, że w sprawach, o których mówi, nie jest ani specjalnie mądrzejszy, ani już na pewno lepszy od tych, których poucza. „Święty autorytet”, jaki mają nadawać temu przemawianiu stule i upoważnienie zwane „misją kanoniczną”, psychologicznie rzecz biorąc są bardzo formalne, i co idzie za tym — nieprzekonywające. Dopo-

wiedzenie do końca tego faktu musi być punktem wyjścia poszukiwań w kierunku zmiany „modelu”. „Święty Augustyn powiedział: „...jestem biskupem dla was, a chrześcijaninem razem z wami». Dla was jestem biskupem, zesłanym przez Boga po to, aby uświęcać, uczyć, rozwijać waszą wiarę. Ale razem z wami jestem chrześcijaninem, a więc możemy wspólnie rozmawiać, a ja mogę was słuchać. I chyba wtedy jestem najbardziej biskupem, kiedy staram się w praktyce realizować tę jedność kapłana i człowieka świeckiego. Ksiądz jest takim samym człowiekiem jak inni ludzie, wierzącym wśród wierzących. Jak ci, dla których głosi kazania i łamie Hostię — on też potrzebuje kazania, komunii, odkupienia.

Ksiądz musi mieć odwagę, będąc kapłanem, być zarazem takim samym wiernym jak inni, który potrafi zrozumieć wątpliwości innych, sam wątpić, gdy idzie o trudne problemy; musi być skromny w udzielaniu rad, nie obawiać się przyjąć pewnej odpowiedzialności w podejmowaniu decyzji zamiast ustawicznie odwoływać się do książkowych reguł. Nie oczekuje się od nas podania święconej wody, kiedy potrzebna jest szklanka wody zwykłej.”

A CO Z AUTORYTETEM?

Takie postawienie księdza dosłownie w środku wspólnoty, a nie ponad nią czy przynajmniej przed nią, widzenie go nie tyle jako wodza i pasterza, ile jako brata w wierze, rodzi niepokój o los autorytetu. Ojciec Arrupe, przełożony generalny jezuitów, zwrócił uwagę, że „aby doprowadzić do uznania autorytetu, nie wystarczy go stwierdzać i powtarzać, na czym się opiera. Uznanie autorytetu raczej powinno rodzić się z pewnego stanu ducha, który pociąga za sobą zaufanie i skłania ludzi do dobrowolnego podporządkowania się z racji miłości”.

Biskup Bekkers rzecz ujmując jeszcze prościej. Wykazując słabość wszelkich formalnych autorytetów stwierdza: „...autorytet musi mieć coś do powiedzenia” i zastrzega się natychmiast, że nie ma na myśli tych, do których zawsze należy ostatnie słowo: „To umiejętność powiedzenia czegoś, co warto powiedzieć”.

Jedną z cech współczesnego stylu nauczania, która w dzisiejszym człowieku budzi zaufanie do Kościoła, jest

przeświadczenie, że Kościół nie zawsze ma gotową odpowiedź na każde pytanie. Kościół również pyta i poszukuje. W encyklikach ostatnich coraz częściej pojawiają się zwroty takie, jak: „wydaje się”, „jest może prawdopodobne”. Takie przyznanie się do niepewności budzi właśnie zaufanie.

„Pierwszym i najważniejszym zadaniem autorytetu Kościoła — pisze biskup Bekkers — jest ni mniej, ni więcej tylko głoszenie Ewangelii. Głoszenie, nie udzielanie lekcji czy wykładów historii, a potem jakby egzaminowanie z tego, ale głoszenie, które skłoni ludzi myślących do zastanowienia się, w jaki sposób Boże posłannictwo stosuje się do nich na tym świecie.” To właśnie zadanie Kościoła, czyli inaczej mówiąc fakt, że przez Kościół uobecnia się w dziejach ludzkości Chrystus nauczający (i uświęcający — ale tu mówię o nauczaniu), nadaje autorytetowi Kościoła i nauczaniu jego nieporównalną z niczym, najwyższą rangę. Dlatego też bywa i tak, że autorytet Kościoła musi bronić ludzi przed nimi samymi, nalegając na przestrzeganie wymogów, które wydają się zbyt trudne.

PRYMAT SUMIENIA

W tym, co zwykło się określać jako „prowadzenie ludzi do zbawienia”, jest pewien próg, którego żaden nauczyciel ludzki nie potrafi przekroczyć. Spotkanie człowieka z Prawdą Chrystusa następuje w rejonach najbardziej własnych decyzji i ocen. Osobista odpowiedzialność za własne czyny, prawo do szukania i obowiązek szukania, dialog, w którym człowiek pyta o głębsze powody, dla których ma być chrześcijaninem, borykania się z najtrudniejszymi pytaniami, na które nie od razu można znaleźć jednoznaczną odpowiedź — te sprawy muszą znaleźć swoje rozstrzygnięcie w sumieniu.

Używając porównania kardynała Newmana, „posłannik Tego, który zarówno w naturze, jak i w łasce mówi do nas z za zasłony: sumienie, które jest prawikarym Chrystusa, prorokiem w swoich informacjach, monarchą w swojej stanowczości, księdzem w swoich błogosławieństwach i klątwach.”

Mówiąc inaczej, trzeba mieć odwagę zostawić człowieka sam na sam z Tym, który mówił zawsze — „jeśli chcesz...”

Sumienie dopowiada każdemu, jak on właśnie ma odczytać znaki swojego czasu; jak ma pomnożyć swoje talenty, którymi są wszystkie życiowe sytuacje, mimo podobieństwa do sytuacji innych ludzi jedyne i неповtarzalne, bo jemu jedynemu dane do rozliczenia; jaki egzystencjalny sens ma dlań głos magisterium Kościoła.

Bardzo wiele dyskutuje się dziś nad problemem udziału świeckich w nauczaniu Kościoła. Nie wchodzę w ważne i trudne teologiczne problemy, mam jedynie przekonanie, że biskupie nauczanie księdza Bekkersa w wielkim stopniu na te pytania odpowiada. Napisano o nim: „...nawet w myślach nie używał wytartych frazesów, takich jak «postępowy» czy «konserwatywny», zawsze zadawał sobie pytanie, czy coś jest prawdziwe czy fałszywe, zgodne z prawdą życiową czy też marnym naśladownictwem”. Kiedy w roku 1962 otrzymał i przeczytał pierwsze przedsoborowe schematy, przeżył wielkie rozczarowanie, spytał, czy po to zwołuje się sobór, by wyrazić zgodę na te nieciekawe teksty? Zorganizował wielką akcję rozmów z wiernymi i opracował własny projekt wszystkich dokumentów. Miał pasję rozmawiania, słuchania. Przemawiał przez telewizję i nie wahał się powiedzieć wtedy, że niektórych spraw nie rozumie. Po dalszych dyskusjach i listach uzupełnił i poprawił treść wykładu.

Kiedyś św. Beda Czcigodny musiał spotkać się u współczesnych z wielkim zainteresowaniem problemami życia po śmierci. Poświęcił więc wiele miejsca i uwagi problemowi, jakie aureole będą zdobiły w niebie głowy męczenników, a jakie doktorów. Pytania, które stają przed sumieniami ludzi każdej epoki, pytania ogólne i wielkie, pytania szczegółowe i drobne wytyczają drogi nauczania i muszą doprowadzać do tego progu, za którym jest już teren decyzji własnych. Szukanie wspólne — można nazwać je dialogiem w Kościele — to chyba klucz do tajemnicy powodzenia, jakim cieszyło się biskupie nauczanie księdza Willema Bekkersa.

MYŚLI W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN SŁAWNEGO PRAŁATA

Można tam wtedy było dojechać z Łodzi ekstrapocztą, to znaczy karetą na cztery osoby, w której po drodze wymieniano konie, bez konieczności przesiadania się podróżnych i przenoszenia pakunków. On przyjechał koleją do Kutna i dalej wozem któregoś z parafian. To był rok 1900. W 1903 założono kolej kaliską i można już było dojechać do Kalisza. Dalej końmi. Przez środek wsi biegła droga. Droga... pożał się Boże. Na wiosnę — a przyjechał właśnie wiosną 1900 — droga ta była bardzo podobna do płynącej gnojówki. Razem z topniejącym śniegiem płynęły nieczystości wyrzucane przez czas zimy z chałup. Chałupy były biedne, drewniane, jedna murowana, ale i ta kryta słomą. Najgorszą z chałup była szkoła. Trzy oddziały mieściły się w jednej niewielkiej izbie. Dach był częściowo zwalony, ściany zżarte przez robaki, w zimie wiatr ze śniegiem hulał swobodnie po klasie. Kościół nie wykończony, zimne, puste mury otoczone płotem. Ludzie spokojni, pogodzeni z losem, niemal analfabeci.

Dlaczego skierowano go właśnie tutaj? Dokumenty kurialne są w takich przypadkach lakoniczne: „Z dniem... zwalniamy księdza... mianujemy”. Podpis, urzędowa pieczęć. Poprzedni proboszcz, ks. Hieronim Romanowicz, człowiek uczony, większość czasu spędzał w swojej bibliotece. Wreszcie został przeniesiony na większą parafię, lepiej położoną. Tu mianowano jego, księdza Blizińskiego. Urodzony w Warszawie, wychowywał się we Włocławku, po święceniach pracował w kurii biskupiej. Kiedy po przyjeździe do Liskowa tamtej wiosny razem z organistą obchodzili pola plebańskie, pytał, co to za trawa rośnie i pierwszy raz dowiedział się, że tak wygląda zboże. Miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat, był wybitnie muzykalny, dobrze grał w brydża i wiedział, że go tu nie chcą. Bo młody i miastowy.

Wiadomo, że do 1939 roku ks. Bliziński zrobił z Liskowa wieś wzorową. Pisano wtedy o „wsi cudami słynącej”. Mit przesłonił początki. Ci nawet, którzy pamiętają początki, zapytani o wygląd prałata, mówią, że miał sylwetkę

potężną (tak rzeczywiście wyglądał w okresie świetności Liskowa). Tymczasem u dawnego ministranta, potem współpracownika liskowskiego proboszcza, pana Szewczyka, przechowało się bardzo dawne zdjęcie, na którym przed Domem Ludowym otoczony ludźmi stoi młody, mizerny ksiądz Bliziński: rok bodaj 1908.

Dzieła ks. Blizińskiego powszechnie są znane: założył ochronki, szkołę podstawową, średnią, szkołę zawodową, seminarium nauczycielskie, szkołę rolniczo-handlową, gimnazjum, szkołę rzemieślniczo-przemysłową, żeńską szkołę zawodową. Powstała w Liskowie wielobranżowa spółdzielnia, kasa pożyczkowa, spółki wodno-melioracyjne, kółka rolnicze, prowadzono wymianę ziarna, bydła zarodowego, zaprowadzono we wsi elektryczność, powstała mleczarnia, pralnia, magiel, łaźnia, piekarnia, rzeźnia, szpital, zakład dla czterystu sierot, wychodziły dwa pisma, organizowano wielkie wystawy rolnicze: „Wzorowa wieś 1925” i „Kultura wsi 1937”, które odwiedziło przeszło czterysta tysięcy rolników z kraju.

Od końca pierwszej wojny światowej ks. Bliziński był jednym z organizatorów i przywódców prawicowego odłamu ruchu ludowego, przez kilka lat pełnił funkcję dyrektora departamentu opieki społecznej Ministerstwa Pracy i Opieki, wybrany był posłem na sejm, był senatorem, odznaczono go Krzyżem Komandorskim *Polonia Restituta*, już za życia miał wmurowane na swoją cześć tablice pamiątkowe. W 1938 w Liskowie odbył się diecezjalny Kongres Eucharystyczny. W Liskowie organizowano stale kursy dla księży, dla rolników, do Liskowa jeździły wycieczki społeczników polskich i zagranicznych itd. (Wyliczyłem na pewno nie wszystkie tytuły do chwały.)

Potem przyszła druga wojna. Ksiądz musiał się ukrywać. Niemcy robili wszystko, żeby z dzieł społecznika nic nie zostało. Prałat zmarł w 1944 roku w Częstochowie, gdzie ukrywał się przed okupantem.

Mimo wysiłków niszczycieli zostały dzieła i pamięć o dziełach. Za dziełami jakby zniknął człowiek. Nawet teraz, kiedy w Liskowie obchodzi się uroczyście setną rocznicę jego urodzin.

Kim był ten niezwykły proboszcz z podkaliskiej pipidówki? Ludzie pamiętają go, ale trudno im powiedzieć coś więcej o człowieku, zaraz mówią o dziełach. W Liskowie

nadał prosperuje mleczarnia, bank rolniczy, dom dziecka, szkoły; wieś jest zamożna, kulturalna, świadoma swej historii, ale na grobie prałata jakoś nie składa się kwiatów, w Dzień Zaduszny nikt nie zamawia mszy za jego duszę.

Staruszka zakonnica, która w ciężkich latach po I wojnie światowej sprzątała pokój prałata, wspomina, że miał trzy koszule, że nieraz nie dojadł, że zawsze się spieszył.

Ludzie pamiętają, że „jak coś powiedział, to musiało tak być”, ale też, że każdego słuchał; obecny proboszcz, ksiądz Kwiatkowski, kiedyś wikary liskowski, opowiada, jak prałat przyjął jego krytykę metod wychowawczych w zakładzie dla sierot i jak do jego projektów się zastoso-
sował.

Syn ówczesnego organisty, znany muzyk, wspomina, że ojciec jego miał zamiar opuścić Lisków wraz z odchodzącym proboszczem. Jednak ks. Bliziński potrafił nakłonić organistę, by został i nie zostawiał go samego w nieznanym środowisku. Potem jednak tak mu dokuczał, kiedy ten mylił się w śpiewie, że rozżalony organista opuścił Lisków, choć zdążył wejść całkowicie w społeczne prace prowadzone przez prałata.

Kazań ks. Blizińskiego nikt nie pamięta. Na ogół mówili wikarzy. Ktoś wspomina jedno, jakie wygłosił w rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Często nie było go w parafii, jeździł za granicę, załatwiał sprawy w Warszawie, zjawiał się w niedzielę, odprawiał sumę, przewodniczył zebraniom, odwiedzał zakłady i znów jechał.

Są na liskowskiej plebanii przechowywane stare albumy z fotografiami wystawy rolniczej 1937 roku: stary ksiądz w prałackich szatach oczekuje przy bramie triumfalnej przyjazdu pana prezydenta; z prezydentem w samochodzie; prałat przed mikrofonem czyta przemówienie z kartki, którą ukrył w pogniecionym kapeluszu; pan marszałek Rydz-Śmigły przyjmuje defiladę; ksiądz prałat z panem premierem zwiedzają chlewnię; budy-pawilony wystawowe; kiosk z reklamą piwa; obiad w sierocińcu...

Ale to są chwile uroczyste (jak pisano, ks. Bliziński miał talent także w dziedzinie reklamy). Na tych uroczystych zdjęciach najbardziej zastanawia zmęczona, mądra twarz człowieka, który na tę uroczystość ubrał się w prałackie szaty, człowieka ze wspomnień najbliższych współpracowników, który przy łóżku miał tabliczkę i rysik, by

kiedy w nocy przyjdzie nowy pomysł, notować go nie zapalając światła, który do swojej pipidówki ściągnął po I wojnie kilkaset sierot wojennych, ratując je przed bezdomnością, zapewniając opiekę i szkołę.

We wspomnieniach starej kobiety, kiedyś wychowanki sierocińca, ksiądz prałat — to pogodny „tatuś” (ksiądz wikary był „wujem”), który ma pełne kieszenie cukierków, który bierze na kolana, mówi, że trzeba być grzeczną, zabiera na bryczkę i wiezie dzieciarnię aż do krzyżówki, tatuś, do którego można się odwołać, jeśli wyrok siostry-opiekunki wydaje się niesprawiedliwy.

We wspomnieniach dawnego wikarego był człowiekiem, który po bitwie wraca na pobożowisko nie po to, aby grzebać umarłych, ale by walczyć z żywymi.

Kiedy w 1908 odbywało się uroczyste otwarcie Domu Ludowego ks. Błaziński tak przemawiał: „...wszyscy to wiemy, że w ludzie naszym tkwi siła, tylko jeszcze uspioła, nieświadoma samej siebie. Lud jest najliczniejszym żywiołem narodu polskiego, jego potęgą. Siłę tę mamy obudzić, uszlachetnić, wykształcić. Ten martwy dotychczas kruszec wydobyć, a zabłysnie czystym złotem. Lud polski dźwignąć z wiekowej ciemnoty, podnieść go, uszlachetnić — oto cel naszej pracy, cel, który z ludu naszego może stworzyć istotną potęgę, przeważającą szalę przyszłości na korzyść naszego biednego kraju i narodu. Do takiej pracy przy dzisiejszym święcie zapraszamy was, zacni obywatele i goście nasi. Tu, w tym Domu Ludowym, obok gwaru dziecięcej nauki, obok warczenia i stuku warsztatów tkackich rozlegnie się może wreszcie głos przemawiający do ludu w sprawach czy to rolnych, czy gospodarczych i społecznych. Ten Dom Ludowy ma być nie tylko szkołą dla dzieci i młodzieży, nie tylko pomieszczeniem na sklep spółdzielczy, przemysł domowy, kasę przezorności, nie tylko miejscem rozrywki, zabawy, lecz ma być niejako pochodnią rozsiewającą światło dla całego ludu w okolicy bez różnicy wieku.

Że stanie się on tym, jestem najgłębiej przekonany — nawet gdyby zbiegiem rozmaitych okoliczności Opatrzność odsunęła mą rękę od kierowania. Dzieło rozpoczęte, puszczane w ruch, samo prawem ewolucji rozwijać się będzie dalej i nie upadnie (...).

A ty, ludu, wierz nam, że szczęście twe duchowe i do-

czesne mamy na celu. Nie chcemy od ciebie żadnej nagrody, nie chcemy od ciebie nawet wdzięczności, tylko trochę dobrej woli, byście nie stawiali sami tam oświacie i postępowi, owszem, współpracujecie z nami, a my z wami. Podajmy sobie dłonie, pójdziemy razem naprzód, a Bóg wspólnej pracy pobłogosławi i zabłyśnie nam, może wcześniej niż się spodziewamy, jutrznia zmartwychwstania...”

Wielkość proboszcza z Liskowa księdza Wacława Bliźnińskiego?... Oczywiście można dyskutować o słuszności jego zaangażowań politycznych, o tym, czy słuszny był żal Witosa w związku z jakimiś głosami w wyborach sejmowych, może razić ton paternalistyczny, jaki pobrzmiewa w przytoczonym „credo”, choć trzeba tu gwoli sprawiedliwości przypomnieć, że współpracownikami prałata byli miejscowi ludzie, których kierował na przeróżne kursy, a potem powierzał im prowadzenie zakładanych instytucji. Można też powiedzieć, że historia Liskowa jest imponująca, ale że dziś ksiądz-działacz jest anachronizmem, że inicjatywy tego typu dziś są sprawą świeckich. Pewnie też byli w tym czasie więksi kaznodzieje, pewnie byli proboszczowie, którzy więcej niż on spowiadali, może nawet więcej się modlili. Tyle że ks. Bliźniński był człowiekiem, któremu nie jest wszystko jedno... On zobaczył swoją parafię jako zadanie i uwierzył, że ma tych ludzi kochać, a kochać, to znaczy pomóc; że do niego należy mobilizowanie słabej woli ludzkiej. Wiedział że ci ludzie, by mogli wierzyć muszą żyć po ludzku.

Wtedy można było właśnie tak działać, dziś pewnie inaczej. Wtedy można było... ale to nie znaczy, że tak właśnie działano, że powiedzieli mu o tym w seminarium, że miał gotowe wzory. Przeciwnie, był jednym z kilku, którzy zaryzykowali (był wyrok zesłania go na Syberię) i był jednym z nielicznych, którzy się nie zrazili brakiem zrozumienia i natychmiastowej wdzięczności.

Właściwie na dobrą sprawę to, co robił sławny prałat, było tak nietypowe, niezwykle, że trzeba podziwiać kolejnych biskupów, którzy zostawili go w spokoju, okazali zaufanie, a potem uznanie, pozwolili doprowadzić dzieło życia do końca.

Dziewczyna od siedmiu już lat nie mieszka w domu. Najpierw jakaś szkoła gastronomiczna, możliwość szybkoiego zdobycia zawodu i — co tu kryć — ucieczki z tego „końca świata”. Teraz, kiedy samej (i samodzielnej) kelnerce w dalekim mieście robi się zbyt smutno i tęskno, korzysta z wolnego dnia i autobusami tłucze się niemal dziesięć godzin po coraz gorszych (im bliżej domu) drogach, żeby choć trochę побыć z rodzicami. Tak i dziś. Za oknami autobusu przesuwa się piękny krajobraz Beskidu Niskiego. Jest zielono i kwitną jabłonie. Wyrażam zachwyt. Potakuje bez entuzjazmu: tak, bardzo ładnie. Przyjechać, popatrzeć, owszem. Po przyjeździe do domu rozłoży na trawie koc, położy się i będzie odpoczywała od całego życiowego kołowrotka, od hałasu miasta, którego nie lubi i od niecierpliwych, złoścących się gości, którzy wczoraj po niedzielnym spacerze w parku zwalili się wszyscy jednocześnie do kawiarni i chcieli być natychmiast obsłużeni, nie zwracając uwagi, że ona jest tylko jedna i dwoi się, i troi. Potem matka da jej do ręki motykę i pójdą razem sadzić ziemniaki. Dziewczyna bardzo nie lubi sadzenia ziemniaków, lecz jest dobrą córką, więc pójdzie i pomoże. Wieczorem siądą z mamą naprzeciwko siebie i mama powie jej długie kazanie ostrzegając przed złymi ludźmi i zasadzkami świata, a ona, choć wie, że mama o tym wszystkim ma raczej blade pojęcie, wysłucha spokojnie, bo przekonała się już niejedną raz, że mamie nie da się i tak nic wytłumaczyć, że klócić się nie warto i że mama poprzestanie na powtórzeniu po raz któryś tam tego samego kazania. A na drugi dzień trzeba będzie znów tłuc się niemal dziesięć godzin autobusami, żeby na czas być w nielubianym mieście i stanąć do codziennego kieratu z poczuciem, że cały ten wyjazd był trochę bez sensu — i po jakimś czasie znów pojechać, pomóc przy żniwach czy wykopkach i wysłuchać serdecznych, niezyciowych rad.

Jest powszedni dzień, w kościele ma się zacząć wieczorna Msza. Spora gromada dzieci stłoczonych przy bocznej kaplicy, w ławkach pod chórem trochę kobiet, kilku mężczyzn przy wejściu. Przed ołtarzem pusty plac. Wychodzi ksiądz

ze Mszą św. Dzieci gromadą odchodzą do samych kratek. Msza odprawiana jest cicho po łacinie. Głośno po polsku „Panie zmiłuj się nad nami”, „Gloria” śpiewane przez dzieci, mówione przez ministrantów „Ojcze nasz” (zdaje się, że ksiądz po cichu odmawia w tym czasie łacińskie „Pater noster”). Resztę Mszy wypełnia śpiew pieśni maryjnej przy grzmocie organów. Po Mszy nabożeństwo majowe. Sporo dzieci na Mszę i nabożeństwo przychodzi z odległości ponad trzech kilometrów. Powrót do Krakowa. Wieczór. Z okien autobusu widać co chwila oświetlone i ubrane bzem kapliczki, przy kapliczkach gromadki ludzi.

Mówi ksiądz wikary: Takich dobrych ludzi jak tu nigdzie już nie ma (ksiądz przyszedł z dużego ośrodka miejskiego). Na przykład po wielkopostnych kazaniach o pijaństwie ludzie przez jakiś czas mniej pili, zwłaszcza podczas świąt. Znaczy więc, że przejmują się, słuchają. Odpust tu jest rzeczywiście odpustem. Do spowiedzi przystępuje niemal cała parafia, jak na Wielkanoc. A przed księdzem to jeszcze się tak kłaniają, mówi ksiądz wikary i pokazuje starodawny gest, przechowany przez tradycję.

Parafianie twierdzą, że ich ksiądz proboszcz to święty człowiek. Wiedzą, że nie zdiera z ludzi pieniędzy, żyje skromnie, nawet biednie, żywi się mlekiem i chlebem. Ksiądz proboszcz walczy z pijaństwem i niemoralnością, a ostatnio jeszcze z klubem, który powstał niedaleko kościoła. Ludziska schodzą się tam na telewizję (w parafii jest ponadto ze dwadzieścia telewizorów), a z telewizji uczą się różnych takich świństw, o jakich nawet nie słyszeli jeszcze kilka lat temu.

Ulubioną lekturą księdza proboszcza są żywoty wybitnych świętych, głównie zaś św. Jana Vianneya. Nowości ksiądz proboszcz nie lubi, z „Tygodnika” wybiera jedynie autorów, do których ma zaufanie (podobno należy do nich Stefan Wilkanowicz). Ksiądz proboszcz musi się cieszyć, że ma parafian lepszych niż święty proboszcz z Ars.

Za parę lat parafia przestanie być końcem świata. Zamiast jednego autobusu dziennie (przewóz pracowników), który kursuje tylko w lecie, a kiedy zaczną się jesienne błota i potem zimowe zasy, przestaje przyjeżdżać, funkcjonować będzie normalna komunikacja. Wyboistą drogę (na mapie oznaczona kreseczką: „inne drogi”) zastąpi asfalt. Zwiększać się będzie wciąż ilość telewizorów, a miła dzie-

ciarnia wędrująca po kilka kilometrów na majowe nabożeństwa rozpierzchnie się po świecie. Dziewczyny z autobusu nie było wieczorem w kościele. Może jeszcze sadziły z matką ziemniaki, może odpoczywała, a może po prostu już do kościoła nie chodzi.

Ksiądz proboszcz przeżył tu wiele lat. Prosił nawet biskupa o zwolnienie na emeryturę. Biskup rezygnacji nie przyjął. Ksiądz proboszcz nowości nie lubi. Bo i po co? I rzeczywiście po co? Taka dobra jest ta jego parafia położona „na końcu świata”. Ale i ta, „na końcu świata” położona parafia zbliża się do jakiegoś progu. Nieubłaganie zbliża się i tam „nowe”. Walka z telewizją skazana jest na przegraną. Nie odwrócisz biegu historii. Przejście przez próg „nowego” nie będzie łatwą próbą religijności parafii leżącej na końcu świata. Chociaż kto wie?... Mówi ksiądz wikary:

— Tak niewiele trzeba, by pomóc im przejść przez ten próg.

Duży, pełen ludzi kościół w centrum stolicy. Wieczorna Msza św. Uroczystość Trzech Króli, dzień roboczy, nic więc dziwnego, że stojący ludzie są zmęczeni. Ksiądz rozpoczyna kazanie. Czas upływa: pięć minut, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć. Równo pół godziny i ...amen. Słysząc westchnienie ulgi tych, co wytrwali. Kilka osób dyskretnie wyszło w czasie kazania.

Opowiadający to kończy z rozpaczą w głosie: czy nie może być przynajmniej jednej Mszy bez kazania?

Profesor homiletyki (kaznodziejstwa) jednego z seminariów w Polsce radzi klerykom: — Kiedy będziecie już księżmi, przez całe życie miejcie zwyczaj chodzenia na kazania. Przynajmniej w czasie wakacji. Stańcie w tłoku, stójcie przez całą Mszę. Tak, jak wasi słuchacze. Sprawdzajcie, ile minut wytrzymujecie.

Wśród słuchaczy konferencji akademickich od dawna zauważyłem studentkę, która zawsze skrętnie notuje. Dziwiłem się: cóż ona może na takiej konferencji notować? Powiedziała: — Jeżeli ktoś wchodzi na ambonę, żeby mówić — coś przecież musi mieć do powiedzenia. Cała rzecz w tym, żeby przebić się przez nie najlepszą może czy nawet irytującą formę i spokojnie s ł u c h a ć do końca.

Mówił mi kiedyś Antoni Gołubiew, który nieustannie jest zapraszany z referatami, pogadankami, konferencjami itp. na tematy religijne: — ...to okropne. Ciągłe rozchlapywanie językiem spraw, które wymagają milczenia. Mówić ciągle o tym... brrr... Jak wy, księża, to wytrzymujecie?...

Dwie postawy kaznodziejskie:

Ks. X: — Znow trzeba mówić to kazanie, co ja mam mówić?...

Ks. Y (albo X kiedy indziej): — ...świetnie, że mogę to powiedzieć.

O przygotowaniu kazań mówi ksiądz, znakomity kaznodzieja: — Kazanie przygotowuję przez cały tydzień — notuję myśli na razie bez komponowania całości. W sobotę siadam do maszyny i układam całość, z tego robię jeszcze dyspozycję, którą biorę na wszelki wypadek na ambonę —

zresztą to, co mówię, znacznie nieraz odbiega od przygotowanego tekstu.

Przeszło piętnaście lat mówi do tych samych ludzi, ze wzrastającym powodzeniem. — Trzeba bardzo dbać — wyjaśnia — żeby od nowej, innej niż zwykle, strony pokazać odwieczne, niezienne prawdy.

Książd M.M. — znany z „ramek” w „Tygodniku Powszechnym” radzi kolegom-księżom: — Nie ma sensu mówić kazania do „wszystkich”; trzeba mówić do jednego, konkretnego, znajomego człowieka, jemu tłumaczyć, jego przekonywać. Dobrze, jeśli się go zobaczy koło filaru. Jeśli akurat go nie widać, należy założyć, że stoi za filarem. Mówiąc do „wszystkich” najłatwiej nie trafić do nikogo.

Gdybym był Spodkiem, ogłosiłbym konkurs: „Dobre kazanie”. O złych stale słyszymy. Urażanie na kazania jest powszechnym zwyczajem.

List pierwszy w sprawie kazań: „Drogi Księżu. Jako książd, słuchałem i nadal słucham wielu kazań. Między innymi wielu słabych, nieudanych czy nie przygotowanych. Nieraz myślę sobie: jak wiele cierpliwości muszą mieć nasi wierni, że chcą jeszcze tego wszystkiego słuchać. Jak wiele kultury, że nie wychodzą gromadnie z kościoła. Jak wiele wyrozumiałości, że tak mało nas krytykują. Często też powtarzam moim konfratrom: miejmy trochę szacunku i trochę litości dla tych biednych ludzi.”

List drugi w sprawie kazań. Pisze osoba świecka: „Nie mogę się pochwalić znajomością opracowań poświęconych kaznodziejstwu, jednak mimo zerowych wiadomości teoretycznych w tej dziedzinie postanowiłam przekazać Księżdu swoje uwagi (być może nie wytrzymujące krytyki) o kazaniach... Wzmianka o dobrych kazaniach, na temat których warto rozmawiać, suponuje istnienie kazań miernych. Konia z rządem temu, kto autorytatywnie rozstrzygnie, czy wygłoszone kazanie było dobre czy też niedobre!... Uważam, że schematyczny podział kazań na dobre i złe jest subiektywny (tyle ocen, ilu słuchaczy!), a więc tym samym nieścisły i niesłuszny. W wartościowaniu kazań utożsamiamy chyba mylnie odrębne rzeczy: treść i formę, to jest oprawę literacką, styl, język, kompozycję, wreszcie dykcję, gestykulację itp.

Treść kazań uznaję za dobrą w 99,8 proc. — nie spotka-

lam się dotąd z herezją głoszoną z ambony. Przeciwnie, księża nauczają prawd Bożych, uczą, jak mamy żyć i prowadzą wiernych do Boga. 0,2 proc. odliczam na wszelkiego rodzaju potknięcia merytoryczne, nieścisłości itp. ...Ksiądz ostatecznie też człowiek.

Oceniając kazanie jako: usypiające lub pobudzające do myślenia, gromiące lub tolerancyjne, porywające lub irytujące, dla maluczkich lub dla wtajemniczonych, kwieciste lub pozbawione ornamentyki — podświadomie szacujemy bądź stronę formalną kazania, bądź zdolności krasomówcze, wiedzę, kulturę osobistą kaznodziei. Sprawa zaś recepcji i oceny kazań jest niezwykle względna. Zależy od dobrej woli, zaufania do mówiącego, od poziomu intelektualnego, a także stanu psychofizycznego słuchaczy. Nie każde kazanie zbliży człowieka o milę do Boga, ale czyż nie jest równie ważny krok, każdy milimetr, każde poruszenie duszy?..."

Trzeci typ postawy wobec sprawy kazań ujawnił się przypadkowo.

W grupce kilkunastu studentów i studentek wywiązała się dyskusja nad książką Fesqueta *Katolicyzm jutra* — a ściślej, nad jej rozdziałem: „Kościół to wy”. Przeczytać tam można między innymi co następuje: „Ksiądz ma pełnić służbę wobec świeckich. Między nimi rozwija się jego działalność. Kto, jeśli nie świecki, ma powiedzieć księdzu, czy jego słowa są brane pod uwagę i rozumiane, czy spływają jak woda po kaczce? Kto, jeśli nie świecki, poinformuje duchownego o mentalności parafian, o ich potrzebach, nadziejach i trudnościach? Parafia nie może być żywą społecznością, jeśli świeccy nie mówią o swoich problemach, jeżeli nie zwracają księżom uwagi na ich niedane nieraz inicjatywy lub też nie dodają otuchy. «Świeckim — mówi prawo kanoniczne — wolno domagać się od księży dóbr duchowych, a szczególnie pomocy w sprawach zbawienia.» Laikat powinien być wymagający w stosunku do swoich księży, oskarżać za ich braki, ale chwalić za osiągnięcia... W społeczności kościelnej autorytet niewątpliwie przychodzi z góry, ale siła żywotna ze wszystkich stron. Prawo proponowania reform podszeptanych przez Ducha Świętego przysługuje w równej mierze najpokorniejszemu człowiekowi laikatu, jak i najbardziej wpływowemu duchownemu.”

Rozdział ten wywołał istną falę goryczy. Biorącemu udział w dyskusji księdzu mówiono, żeby lepiej przeczytał to swoim konfratrom, mówiono, że u nas są to teorie bez żadnego pokrycia, typowa „mowa trawa”. I tu dyskusja zeszła na sprawę kazań: Co my możemy zrobić? Jak wpłynąć na tematykę i styl kazań, jak powiedzieć księdzu, że to co mówi, jeśli jest nawet słuszne i mądre — to jednocześnie przeraźliwie nudne, odstraszaające tych, którzy przychodzą naszpikowani uprzedzeniami i wątpliwościami. Że to się z tymi wątpliwościami i uprzedzeniami absolutnie rozmija? Jedyne — mówili — co możemy zrobić, to przychodzić tłumnie na te Msze, na których głoszone kazania do nas trafiają. Ale jeśli będzie w mieście jeden tylko kościół?...

— Skoro zdanie laikatu jest tak ważne w Kościele, to wskażcie nam konkretną formę skutecznej wymiany myśli z księżmi... — Tak mówili ci studenci.

Zaproszenie do udziału w rozmowach niedokończonych na temat kazań (był to rok 1966) spotkało się wśród czytelników „Tygodnika Powszechnego” z żywym oddźwiękiem. Przyjęto je jako rzadki — zdaniem wielu piszących — przypadek dopuszczenia do głosu opinii świeckich. Możliwe, że głoszonym sądom brakowało czasem obiektywizmu, że uogólnienia były niesłuszne. Ale trzeba pamiętać, że na kazanie reaguje człowiek z natury rzeczy subiektywnie, a zabierający w dyskusji głos mówili na podstawie kazań, które przyszło im wysłuchać i na podstawie własnych na te kazania reakcji.

Zanim przejdziemy do kazań, warto zwrócić uwagę na pewną charakterystyczną postawę wobec samej dyskusji o nich. Autorami wypowiedzi reprezentujących ją są ludzie świeccy, nie ulega jednak wątpliwości, że nie jest ona obca czasem i głosicielom kazań.

„Nie wiem, czy słusznie wyciąga się publicznie te negatywne postawy wobec kazań. (...) Istnieje niebezpieczeństwo, że z wierzącymi będzie podobnie, jak z uczniem w szkole, który słysząc różne «wygadywania» na nauczycieli, że źle uczą itp., zaczyna być nieznośny i przestaje się uczyć...” (M.A.)

„Przy dobrej woli można skorzystać z każdego kazania, bodaj uprzytomniając sobie jakąś Bożą prawdę” (mgr W.Z. — Kalisz).

Czytając to, człowiek myśli: niby racja, z każdego kazania przy dobrej woli... Jest taka anegdotka o kimś, kto przeżył wielki wstrząs i nawrócenie podczas kazania. Zapytany, które słowa tak nim wstrząsnęły, odpowiedział, że zapowiedź kaznodziei: „...A teraz przejdźmy do drugiej części naszych rozważań”. Przy dobrej woli. Takie jednak postawienie sprawy przypomina ekonomiczny postulat utrzymania podaży mniejszej od popytu, co ma zapewnić zbyt wszelkim bublom.

Ktoś napisał, że może lepiej tak publicznie nie krytykować kazań i w ten sposób nie zrażać kandydatów do seminarium. Lepiej pół godziny w tygodniu się pomęczyć na nudnym kazaniu, niż nie słuchać żadnego...

Tymczasem jeszcze lepiej słuchać sensownych i dobrych kazań. Zresztą, co to znaczy „dobra wola” słuchaczy? Jeżeli głoszenie kazań nazywa się i jest „posługą słowa”, to posługujący muszą odpowiedzieć na zapotrzebowanie tych, którym służą. Wielu z piszących tak zresztą na to patrzy.

„Jedna z księdza korespondentek pisze, że z każdego kazania można wyłuskać... itd. Można, na pewno, ale takie luskanie jest dobre dla mojego pokolenia (mam pięćdziesiątkę na karku), a nie dla dzisiejszej młodzieży, która nienawidzi frazesów, długich przemówień itp.” (H.Z.).

„Dzisiejszy człowiek ma tyle sposobności do niedzielnego wypoczynku, że niełatwo mu nudzić się przez tę godzinę wspólnej modlitwy. Trzeba coś zrobić, by nie zniechęcać wiernych do praktyk religijnych” (T.K. — student).

„Wczoraj skończyły się akademickie rekolekcje. Prowadził ks. Z. z Olsztyna. Chodzili niemal wszyscy. Jak zobaczyłam, kto przyszedł i został na następnych naukach, to myślałam, że z ławki spadnę, ale było na to za ciasno. Kościół pełniusienki. Studenci przychodzili już dwadzieścia minut przed rozpoczęciem, żeby zdobyć takie miejsce, skąd słyhać. (...) Więc się okazuje, że to nie «młodzież bezideowa, cyniczna, bezmyślna, nie szukająca prawdy»” (J. S. — studentka, Toruń).

Czego więc słuchacze kazań nie chcą? Nie chcą paternalistycznego traktowania:

„Najgorzej mnie boli to, że ksiądz traktuje nas jak dzieci, nie interesujące się sprawami wiary, szukające wzruszeń w tym niedzielnym obowiązku. Mieszkam na wsi, dużo tu ludzi z wyższym wykształceniem i zdaje się myślących, ale kazania dla tych chyba jeszcze nie było. Ot, powiedziec jakiś przykładzik, żeby babki się popłakały, wydaje się celem księdza... Na litość, drodzy księża, zrozumcie, że na wsiach macie też dużo ludzi myślących. Nie chcemy wzruszeń i uczuciowości, chcemy doksztalcić się. Pomóżcie nam. I zostawcie nam trochę ciszy na przemyślenie słów zawartych w Lekcji, Ewangelii czy w kazaniu. Niech trochę ucichną organy” (G.).

Nie chcą „ględzenia”:

„Wielką wadą, moim zdaniem, jest długie powtarzanie swoimi słowami na początku kazania dopiero co przeczy-

tanej Ewangelii, np. przypowieść o ziarnie rzuconym w różne gleby, tak zwięźle przez Chrystusa Pana wytłumaczona, jest walkowana, że to jedno ziarno tu padło, drugie gdzie indziej, tu była taka gleba, tam owaka gleba. Dopiero gdy uwaga słuchaczy jest już uśpiona tym powtarzaniem, kaznodzieja zaczyna wyciągać wnioski i dawać rady, ale wtedy nikt go już nie słucha i tylko ukradkiem spogląda na zegarek, żeby odgadnąć, kiedy to to się skończy" (T. S. Bruksela).

„W kazaniach niesłuchanie drażni wygłaszanie pseudonaukowych sądów. Najczęściej ma to miejsce w tzw. «przykładach». Ja jestem historykiem sztuki, ileż to razy dusiłem się ze śmiechu, słysząc, co przypisuje się poszczególnym artystom lub poglądom estetycznym. Wyobrażam sobie, że jeszcze większy ubaw mają przedstawiciele tzw. nauk ścisłych" (T. B.).

„Kilka słów o kazaniu z ostatniej niedzieli. Jego motto brzmiało: «człowiek żyje po to, by Boga szukać, umiera, by Go znaleźć, w wieczności ma się Nim cieszyć». To był początek i koniec kazania, natomiast w jego treści był intelektualny chaos. Czego tam nie było! Piramidy i Sfinks, Epikur i egzystencjalizm, materialistyczna koncepcja człowieka i wiele innych rzeczy. W tym wiele ogólników, szalone uproszczenia, skróty, symbole. Nic dziwnego; w półgodzinnym kazaniu, w którym trzy minuty trwa opis położenia i wyglądu piramid i Sfinksa, nie można przecież dokonać wykładu i krytyki epikureizmu i egzystencjalizmu oraz przeciwstawiać im chrześcijańskiej koncepcji człowieka. Nie starczy czasu i po szczegółowym wstępie trzeba galopem przejechać po trakcie z ogólników, frazesów i uproszczeń.

Na tym tle wychodzą braki metodologiczne przygotowawcze kazań... Jak ognia trzeba wystrzegać się ogólników. Przytoczę konkretny przykład z cytowanego kazania: «Materializm uważa, że człowiek nie różni się od zwierzęcia». Nietrafne uproszczenie i zbędna insynuacja. Zbieg okoliczności sprawił, że słuchacze tego kazania mogli przeczytać w «materialistycznej» prasie artykuł zatytułowany «Tylko u ludzi rozumowanie abstrakcyjne». Relacjonował on wyniki badań prof. Wojtusiaka z UJ z zakresu psychologii małp. Artykuł kończył się następującym stwierdzeniem:

«Ujmowanie abstrakcyjne, rozumowe, jest i najprawdopodobniej na zawsze pozostanie cechą człowieka». Tyle nauka, nawet materialistyczna. A co pomyśleli sobie słuchacze kazania? Ja pomyślałem: jaka zmarnowana okazja. Ewangelia niedzielna była o robotnikach i denarze...» (Staly czytelnik ze Szczecina).

Nie chcą „przykładów” niezyciowych:

„Słyszałem kazanie do dzieci na temat miłości bliźniego. Przykład, jak bracia przenosili sobie nawzajem snopki zboża ze swego pola na pole brata, powodowani wielką miłością. Dlaczego nie mogło być coś aktualnego dla dzieci, np. pomoc w lekcjach, pożyczenie łyżew itp?” (Z.B.).

Nie chcą taniej uczuciowości:

„W kościele Ojców XX stawałem się parszywą owcą, która wychodziła z kościoła na widok księdza na ambonie. Kazania były słodkie jak sam miód, szczególnie o Matce Boskiej. Inaczej nie mówiono o Niej, jak «nasza najśłodsza Matuchna», «śliczniuchna», «miluchna» itd., itd.” (M.Z. — Kraków, 71 lat).

Czego więc chcą, jakie kazanie uważają za dobre?

„...Potem upłynęło kilka lat w dość dużej obojętności religijnej, z najrozmaitszymi pretensjami do religii, do Kościoła, do księży. Wreszcie zdarzyło się, że jedna z moich koleżanek wprowadziła mnie na rekolekcje dawane dla akademikzek przez ks. Jana Rostworowskiego TJ. To był wstrząs, jakiego drugi raz w życiu nie doznałam. Nie wiedziałam, nie przeczuwałam, że w nauce katolickiej są tak szerokie horyzonty... Te rekolekcje postawiły mnie na nogi...

...Wiele lat później pilnie chodziłam na kazania ks. M., proboszcza u św. Piotra i Pawła w Krakowie, Ksiądz M. mówił niedługo, piętnaście — dwadzieścia minut, zwykle spokojnie, rzeczowo, bez żadnych kwiecistych upiększeń. Wtedy wykladał po prostu katechizm. Nie w sposób suchy i trudno przyswajalny, ale «życiowo», w zastosowaniu do sytuacji, w jakich ludzie mogą się znaleźć. Od tego czasu minęło trzydzieści pięć lat, ale pamiętam je dobrze.

Wreszcie ideałem stał się dla mnie kazania ks. M.M. Przez kilka lat miałam sposobność słuchać jego nauk. Trwały pięć — dziesięć minut. To może nie były kazania

w ścisłym tego słowa znaczeniu, to były szkie, jakiś eks-trakt z przemyślanego problemu, projekt do indywidualnych przemyśleń... Mówił na tematy ewangeliczne w zwią-zku z bieżącym życiem. Kaplica pękała od tłumu wiernych. Wiem, że na jego Msze dojeżdżali letnicy z okolicznych miejscowości" (M.Z. — Skomielna).

„Przede wszystkim wyjaśniam, że od paru lat słucham prawie wyłącznie dobrych kazań. Nie dlatego — niestety — by było dużo dobrych kaznodziejów, lecz po prostu wybieram w mojej parafii (Jezuici, ul. Rakowiecka w Warsza-wie) takie Msze św., na których kazanie ma któryś z kilku ojców, którzy dobrze mówią... Niedawno jeden z jezuitów zakończył kazanie dla młodzieży akademickiej słowami: «Zresztą pomyślcie o tym sami». Otóż to, pobudzić słucha-czy do myślenia. Pamiętam świetne nauki rekolekcyjne młodego jezuitę, który mówił do nas jak nieco bardziej do-świadczony i wykształcony, bliski kolega. Zresztą morały, gdyby je głosił, trafiłyby w próżnię. Dawał nam propozy-cje pracy nad sobą, modlitwy: może tak albo tak, albo tak — wybierzcie sobie, co komu odpowiada. Mamy dosyć łopatologii i mimo pozorów jest wielu ludzi, których łatwi-zna odstrasza" (M.S. — Warszawa).

„Znam pewnego księdza, bardzo źle mówi. Zacina się i peszy. Bardzo lubię jego kazania. Są takie serdeczne i tak-kie pokorne..." (Z.R. — Kraków).

„Ostatnio chodziłam na konferencje głoszone przez ks. profesora S., zaproszonego z Włocławka, który poruszał sprawy miłości narzeczeńskiej, małżeńskiej, jednym słowem sprawy życiowe. Kościół przez trzy niedziele z rzędu zapełniony był po brzegi tak przez starszych, jak przez młodych. Nie było mowy o nudzie, o zmęczeniu, człowiek stawał się słuchem. Słuchając, uświadamiałam sobie, że lu-dzie spragnieni są kazań, ale chcą, żeby słowo Boże uczyło ich, jak praktycznie je stosować" (W.Z. — Kalisz).

Obok opisów dobrych kazań autorzy listów wysuwają postulaty odnoszące się do ich długości, formy i treści.

Sprawa długości kazań ma pewien, rzadko uwzględnia-ny aspekt, na który słusznie zwrócono uwagę:

„Długość kazania wygłaszanego w czasie Mszy, to oso-bny, bardzo ważny problem. Jakże często słyszy się dzieci pytające po kazaniu: «kiedy wyjdziemy?» — a mama mó-

wi: «zaraz, już, tylko chwileczkę». W ten sposób Ofiarowanie, Przeistoczenie i Komunia schodzą do rzędu koniecznych, ale tylko dodatków do kazania, i to nie tylko w świadomości dzieci, ale i dorosłych. Zresztą wielu księży potrafi całą część po kazaniu zmieścić w dwudziestu czy nawet piętnastu minutach, czyli proporcja: dwie trzecie lub trzy czwarte czasu — kazanie, jedna trzecia lub jedna czwarta — reszta. Dlatego wolałbym, żeby kazanie nie było w czasie Mszy, ale już skoro musi być, to sądzę, że nie wyciąga się z tego faktu wniosków praktycznych, choćby przez dostosowanie pieśni mszalnych. W obecnej praktyce natychmiast po kazaniu pieśnią lub komentarzem liturgicznym treść kazania w umyśle słuchaczy kasuje się, jak stary zapis na taśmie magnetofonowej” (T.B. — Kielce).

Słuchacze chcą, aby kazania były zrozumiałe, by mówiono je współczesnym językiem, odpowiadając na pytania dręczące dzisiejszego człowieka. Oto dwa charakterystyczne głosy:

„W tym tygodniu sięgnąłem po książkę R. Chauvina *Bóg uczonych*. Znalazłem tam zdania, które powinien przeczytać każdy ksiądz: «Uważam, że wykłady (kazania — przyp. autora listu) księży katolickich o religii Chrystusowej są niekiedy tak niejasne, że nic z nich nie można zrozumieć. Nie chodzi o to, że brak im głębokich myśli, lecz że wygłasza się je w języku niedostosowanym do naszej epoki. Toteż wielu wartościowych ludzi, dręczonych niepokojem dotyczącym spraw metafizycznych, a którzy mogliby znaleźć w tej religii ukojenie, odwraca się od niej, ponieważ bierze sprawy uboczne za istotne»” (Stały czytelnik z Warszawy).

„Dla mnie, dla bardzo dużej liczby przyjaciół (problem przedyskutowany) ważne jest, aby kazanie było zaadresowane do nas. Prawda ewangeliczna powinna być poparta przykładami z naszego życia współczesnego, inaczej nie robi na nas wrażenia” (Z.B.).

Wiele osób podkreśla palącą potrzebę rzeczowego nauczania z ambony:

„Gdyby ludzie przychodzili do kościoła dwa razy na tydzień, można by odprawiać osobno Mszę św. z homilią, a resztę zostawiać na kiedy indziej. Ponieważ jednak przychodzimy do kościoła raz, trzeba zmieścić w tej jednej go-

dzinie tygodniowo całą katechezę, a przerażające jest, jak ludzie chodzący do kościoła pięćdziesiąt kilka razy w roku nie mają zielonego pojęcia, w co wierzą. Brak im najbardziej podstawowych wiadomości z zakresu prawd wiary. Chciałabym na kazaniach mieć systematyczny wykład. Za największą wadę współczesnego kaznodziejstwa i w ogóle nauczania religii uważam odejście od katechizmu (...) Gdybym układała kazania, formułowałabym jedną, nigdy kilka informacji, którą po moim kazaniu wierni mają zapamiętać (...).

Wreszcie oczekuję od kaznodziejstwa większej sprężystości reagowania na problemy współcześnie dyskutowane, aktualne...

(...) Kazania powinny uczyć. Przez blisko rok słuchałam kazań, które były krótkimi konferencjami religijnymi. Krótkie, wypunktowane, bez umoralniających wniosków. Oto kilka tematów: diakonat, zbawienie ludzi, niektóre dogmaty, Msza św., cierpienie. Takie kazania są bardzo potrzebne. Brakowało mi w nich tylko podania kilku pozytywnej lektury na dany temat" (M.S.).

„Pragniemy tematyki soborowej, jak najwięcej włączającej w nurt odnowy, rozwijania perspektyw współodpowiedzialności i współpracy laikatu" (mgr M.K.).

Propozycje środków zmiany na lepsze są, trzeba przyznać, bardzo nieśmiałe albo niefortunne: wprowadzanie puszek na listy w sprawie kazań, zapraszanie przynajmniej co jakiś czas lepszego kaznodziei, drukowanie w „Tygodniku Powszechnym” „ramek” lub materiałów do kazań (proszą o to księży), opracowywanie kazań odgórnie przez kurię czy wreszcie nagrywanie recytowanych przez artystów tekstów, opracowanych przez zdolnych i przygotowanych księży i dostarczanie taśm poszczególnym kościołom. Autorzy listów zwracają także uwagę na różne niedopatrzenia techniczne czy organizacyjne, które — niedostrzegalne z ambony — utrudniają życie słuchaczom.

„Pracujący bardzo narzekają, że w dni zniesionych świąt nabożeństwa trwają za długo. Zmęczeni po pracy, pragnęliby cichej Mszy św., a tu Msza św. śpiewana, kazanie dwadzieścia minut, i stój człowieku w ścisku, bo niewiasty nie pracujące godzinę przedtem okupują ławki i krzesła" (G.B.).

„W kościołach mimo radonizacji na ogół nie słychać to, co się mówi z ambony lub od ołtarza... Ponieważ wielu ludzi kaznodziei nie widzi, słyszalność powinna być bardzo dobra” (Ma).

„Każdej niedzieli wracam z kościoła zła, bo ksiądz podczas kazania nie orientuje się w czasie (nie ma zegara naprzeciwno), za długo mówi, po czym odprawia Mszę św. na patatajkę (przepraszam za wyrażenie), a gdy ją tylko skończy, zaczyna się zaraz następna. Co się wtenczas w drzwiach dzieje, trudno opisać, a przecież to tylko sprawa organizacji” (M.R.).

„Za dużo u nas kazań. Nie ma żadnej Mszy św. w niedzielę bez kazania. Ludzie dziś są zmęczeni, zdenerwowani i wymagający. Zdaje mi się, że dobrze by było, by w każdym kościele w niedzielę była jedna przynajmniej Msza św. bez kazania, bez organów, bez śpiewów... Kto chciałby słuchać kazania, wybrałby sobie Mszę św. z kazaniem” (S.N. — Bytom).

Lektura nadesłanych listów napawa zadumą — tylko tyle? Żeby powiedzieć o tak oczywistych sprawach, aż tylu ludzi uważało za potrzebne pisać, pisać obszernie, podając przykłady i argumenty. Aż tyle osób po wysłuchaniu sepek kazań prosi, żeby kazania były mówione po prostu i zrozumiale, żeby dotyczyły aktualnych spraw słuchaczy, żeby uczyły o Panu Bogu i o tym, jak żyć. Żeby nie trwały bez końca i nie wymagały od słuchaczy charyzmatu cierpliwości...

Jak o rewelacji pisze się o kazaniach, które pobudziły do myślenia. Doświadczenie autorów tych uwag pokazuje, że na kazania istnieje wielkie zapotrzebowanie. Doświadczenie tych „Rozmów” uczy, że słuchacze chcą o kazaniach rozmawiać.

Trudno na podstawie tych bądź co bądź przypadkowych głosów stawiać diagnozę: nasze kaznodziejstwo jest takie lub inne. Listy informują o tym, że są u nas kazania dobre i niedobre i pokazują, że wymagania słuchaczy rosną i konkretyzują się między innymi dzięki słuchaniu dobrych kazań. To jest zresztą oczywiste.

Z podanych propozycji jedna, bynajmniej nienowa, zasługuje na uwagę: jeśli słuchacze chcą rozmawiać z kaznodzieją, niech mają do tego warunki.

Jeśli zechcę zorganizować w moim kościele wykłady o Piśmie św. zaproszę ks. Michała Czajkowskiego lub ks. prof. Jerzego Chmiela; jeśli w jakimś momencie stwierdzą u powierzonych mej pieczy dusz zapotrzebowanie na katolicką etykę seksualną, spróbuję przekupić opata tynieckiego, by pozwolił o. Karolowi Meissnerowi wygłosić u mnie prelekcję; ks. Michała Hellera zaproszę, by mówił o sprawach kosmiczno-fizyczno-religijno-filozoficznych, a Stefana Wilkanowicza — jeśli okaże się, że trzeba świeckim wskazać ich miejsce posoborowe w Kościele. Poprzestaję na tym przykładowym wyliczeniu, ale kompletną listę zna w Polsce każdy, kto organizował w jakimkolwiek zakresie tzw. pogłębianie wiedzy religijnej. (Pogłębianie, miły Boże, w rzeczywistości sprowadza się ono często do mozolnego karczowania dżungli nieporozumień wstępnych.)

Sam odbyłem nieskończoną ilość pielgrzymek do tych ludzi, do których pielgrzymują wszyscy, wiedząc, że właśnie ich można zaprosić bez obawy, że to co powiedzą, nie rozczaruje i nie znudzi z trudem zgromadzonego audytorium.

Już widzę, jak w tym miejscu, zanim jeszcze doszedłem do meritum sprawy, zjawiają się zarzuty: nauczycieli sobie szukacie, których mowa lechcze ucho, a co św. Paweł mówił? — więc wyjaśniam, że nie o lechtanie uszu chodzi, lecz o kompetencję, rzeczowość, komunikatywność („owszem, nawet do rzeczy mówił, szkoda, że nie do ludzi”), bo jak powiada ks. prof. Stępień, nie ma nic gorszego niż mówienie o sprawach Pana Boga nudno.

Więc jest ich kilkunastu, może kilkudziesięciu, krajowy garnitur specjalistów, nieco powiększony o zestawy regionalne. Znam tych ludzi, sympatycznych i mądrych i żał mi szalenie, że aczkolwiek w większości młodzi, pewnie już długo nie pociągną. Może kilku uratuje życie, ale ci ze specjalistów przemienią się (dla uratowania przed zawalem) w wędrownych gawędziarzy, którzy, jak Cygan z niedźwiedziem, będą wędrować z kilkoma starymi wykładami.

Przychodzę ja więc zapraszać z wykładem takiego człowieka, a on wyciąga kalendarz i wylicza: że w poniedziałek ma cały dzień wykłady na KUL-u, we wtorek konferencję dla studentów w kościele Św. Kazimierza na Grzegórkach w Krakowie, w środę w Rzeszowie, w czwartek w seminarium swojej diecezji i u oo. dolorystów w Białej Podlaskiej, w piątek i sobotę prowadzi jakiś tam tydzień w Gdańsku, a w niedzielę mówi kazanie u cystersów w Nowej Hucie. Jeśli jest moim przyjacielem, po godzinie głowienia się i wertowania kalendarza godzi się przyjechać do mnie w połowie maja na godzinę 18, pod warunkiem, że zdąży na pociąg o 18,47 do Lublina.

Tu należy dodać, że tajemnica powodzenia tych właśnie ludzi leży w ich rzeczywistej pracy naukowej i ciągłym studiowaniu: piszą artykuły do czasopism naukowych, rozdziały do zbiorowych ksiązek, wydają własne książki i skrypty, tłumaczą z obcych języków, redagują książki dla „Znaku” itd., itd....

Są i inni. Wspaniali. Znani z publikacji, świetni wykładowcy, ale do nich się nie przychodzi. To znaczy czasem przyjdzie ten lub inny, jeszcze nie wtajemniczony. Uprzejmi, mili, poważni. Podejmą gościa kawą, wyrażą zrozumienie dla prowadzonej działalności — i odmówią. I u nich bywałem. Wychodziłem nawet bez pretensji. Rozumiem ich; nie napieram. Rozumiem, że to co robią, na dłuższą metę ważniejsze jest od doraźnej potrzeby mojego niewielkiego audytorium, które uparcie domaga się kompetencji i ucieka przed dyletantami.

Mówi się dziś: „przerost specjalizacji”, „potrzeba syntezy” itd., że to niedobre i jak temu zaradzić (temu brakowi syntezy, koordynacji i orientacji w całości). To prawda. Ale specjalizacja jest faktem. Ona zrodziła szacunek dla kompetencji i zapotrzebowanie na kompetentnych.

Organizatorowi udało się sprowadzić kompetentnego. Przyjechał, wygłosił odczyt, odpowiedział na pytania. Odjechał. Czasem coś się nie udaje. Kompetentny przyjedzie, a na sali kilka zaledwie osób. Organizatora szlag trafia, bo rozpoznaje stały zestaw żelaznych słuchaczy, którzy potrafią przez X lat pogłębiać swoją wiedzę bez względu na to, czy będzie to wykład o subtelności prze-

mian ekonomicznych w Wielkiej Brytanii w XVII wieku, o silnikach wysokoprężnych, dojrzeniu seksualnym czy rodzajach literackich w Księdze Hioba. Na szczęście wśród żelaznych słuchaczy są żelaźni dyskutanci, a że głupich pytań nie ma, kompetentny zapala się w trakcie odpowiadania na najbardziej nieprawdopodobne pytania i wieczór uznaje się za udany. Potem rozpoczyna się polowanie na następnego kompetentnego.

Wniosek: szanować czas i siły tych kilkunastu (może kilkadziesiąt) specjalistów, którzy chcą „się udzielać”. Motyw: na dłużej ich starczy. Sposób? Znam środowisko, do którego raz w miesiącu przyjeżdża z wykładem-konwersatorium profesor uniwersytetu. Profesor wyznacza lekturę. Uczestnicy spotykają się co tydzień i przygotowują wyznaczoną lekturę (wspólne czytanie, referowanie). W ten sposób wykład profesora trafia na grunt przygotowany.

Kiedyś poprosiłem pewnego wybitnego profesora o cykl popularnych wykładów z zakresu dogmatyki. Chodziło o wygłoszenie ich w kościele. Profesor odpowiedział, że to przekracza jego możliwości: „... przekładać język dogmatu na język kerygmy... Nie, to zbyt wielka odpowiedzialność”. I odmówił.

Wiem, że są środowiska naukowe skupione przy pewnych katedrach pewnych katolickich uczelni, gdzie prace popularyzacyjne pracowników naukowych są bardzo źle widziane.

Postuluję: specjaliści od filozofii, teologii, Biblii — frontem do mas. Bo taka łączność jest bardzo dobra dla obu stron. Dla „mas” — gdyż odpowiada słusznemu postulatowi kompetencji. A trudno dziwić się nieufności, jaką budzi wiadomość, że jeden i ten sam, znany i osłuchany od lat ksiądz będzie głosił wykłady z różnych specjalistycznych dyscyplin wiedzy religijnej.

Dla naukowców — bo to daje im możliwość konfrontacji swej wiedzy i dorobku z żywym człowiekiem, to nie to samo, co kontakt ze studentem na własnej uczelni, gdzie sytuacja profesor — student nie sprzyja ostrej konfrontacji. Student mimo woli stara się odpowiedzieć życzeniom profesora. Zupełnie inaczej wygląda to wtedy, gdy słuchacze mówią „z wolnej stopy”.

Co więcej, powszechnie wiadomo, że umiejętność popularyzacji jest najwyższym sprawdzianem kompetencji.

Sprawa kompetencji i specjalizacji to nie tylko sprawa wykładowców i popularyzatorów. Coraz wyraźniej rozwija się u nas tzw. duszpasterstwo specjalistyczne. I nowy problem: skąd brać duszpasterzy specjalistów. Problem bywa rozwiązywany różnie. Znam w tej dziedzinie kilka zdumiewających przypadków, zdumiewających tak zainteresowanego duszpasterza, jak i patrzących z boku. Nie o przypadki jednak chodzi, ale o problem. Problem niezbędnej specjalizacji duszpasterskiej księży, specjalizacji wiejskiej, miejskiej i bardziej szczegółowej. Oczywiście obok czy raczej przy założeniu ogólnej formacji kapłańskiej.

Istnieje obawa: taki ksiądz-specjalista będzie mało dyspozycyjny, możliwość przesuwania go będzie w pewnym stopniu ograniczona. Będzie. Ale to już takie czasy. Nawet w wojsku dowództwo liczy się z faktem, że z doskonałego oficera marynarki będzie niewielki pożytek w lotnictwie. Za tę cenę można mieć przynajmniej dobrych oficerów marynarki i lotnictwa.

Wiem, takich specjalistów tworzy samo życie, sytuacje itd., ono tworzy, bo co ma robić? Lecz pozostaje pytanie, czy jeśli się na potrzeby życia zamyka oczy — nie szkoda czasu i sił, zużywanych często do torowania utorowanych ścieżek i wyważania dawno otwartych drzwi?

Dawniej nazywało się to „kołędą”. Dziś coraz częściej mówi się „wizyta duszpasterska”. Wszystko co poniżej — dotyczy wielkiego miasta.

Dzwonek. Wszystkie mieszkania były zawiadomione i ksiądz wie, do których drzwi ma nie dzwonić.

Pomoc domowa oznajmia, że pani nie ma, nie przyszła jeszcze z pracy.

Więc znów dzwonek: tu oczekują. Mieszkanie „kołchozowe”, z jednego korytarzyka wchodzi się do kilku pokoi-mieszkań. Pierwsze drzwi: stylowe meble, obrazy, książki, woda święcona, kropidło.

Modlitwa o błogosławieństwo wszystkich mieszkańców tego domu. Rozmowa. Prezentacja dzieci, wnuków — pytanie o lekcje religii.

A potem: czy państwo nie chcieliby czegoś powiedzieć nam, księżom z waszej parafii. Czego od nas się spodziewacie, o co macie żal, co byście chcieli ... To dla nas nie było okazja stanąć tak oko w oko ze słuchaczami kazań, z tymi, dla których pracujemy.

Rozmowa jednak nie idzie tym torem. Opowiadanie o dawnych proboszczach, o księdzu-krewniaku, jakieś wspomnienie wojenne pana domu — cokolwiek obojętnego — z kulturą i taktem. Tak mi miło ... Mam obrazki — dziękujemy, to będzie dla naszej gosposi. A tu, proszę — skromna ofiara ... Co, że nie? Księżom jest ciężko ... I niezmierne zdumienie: więc po co ten tu przyszedł?

Za ścianą na ogół wiejsko. Obrazy z palmami zatkniętymi z tyłu, lekko podkolorowane ślubne zdjęcie, łożo wymoszczone piramidą poduszek.

Tu rozmowa schodzi natychmiast na sprawy najbardziej osobiste, własne i całej — co gorsza — kamienicy. Aż trudno powstrzymać ten potok słów, informacji, zwierzeń i żalów. Dobrze, jeśli można coś doradzić, pomóc obiecać...

Znów pieniądze, znów tłumaczenie, że było przecież ogłoszone z ambony, że nie... I smutne zdziwienie: nic nie jadł, nic nie wziął?... Choć jest tak już od kilkunastu lat.

Na schodach stoi „pomoc domowa” znana z pierwszego

mieszkania: „Pani już przyszła. Kazała to księdzu podać...” Trzeba przykrość przełknąć i uprzejmie wytłumaczyć gospo-
sposi, że nie, i dzwonić do następnych drzwi.

Twarze znane z kościoła, widziane w tłoku z wysokości ambony, stają się twarzami realnych ludzi. Widziane znów w kościele będą twarzami znajomych.

Trudno bujać w obłokach na kazaniu, znając ich sprawę z bliska. Wiele drzwi, wiele rozmów.

Czasem telewizor pracuje na pełnych obrotach, czasem dyskretnie powstrzyma ktoś księdza, który z rozpędem kroczy, by kropić dalsze pokoje — tam nie, on nie chciał się z księdzem spotkać.

Z rozmów o kolędzie: po co to właściwie jest? Wpada ksiądz, pośpiesznie kropi mieszkanie odmawiając modlitwy. Chwilę mówi o tym, że ma jeszcze 45 mieszkań obejmujących — i wybiega.

Z innej rozmowy o kolędzie. Ksiądz wchodził, pokropił mieszkanie siadał, mówił kilka dowcipów (w każdym mieszkaniu zresztą te same — sprawdzono) i siedział dalej.

Mówi ktoś inny: nie zapraszam księdza z kolędą, bo gdy przyjdzie, sytuacja jest zawsze jakaś sztuczna. Ma się wrażenie, że ksiądz nie bardzo wie, o czym rozmawiać — my też nie wiemy.

I już nie o kolędzie, ale o czymś bardzo podobnym.

Biskup jednej z diecezji ma zwyczaj w czasie wizytacji parafii odwiedzać chorych. W mieście robi to bez żadnego zewnętrznego „wystroju”. Bierze z parafii spis chorych, którymi opiekuje się parafia — i sam odwiedza ich w ciągu kilku dni.

Warto porozmawiać z tymi ludźmi — starymi, schorowanymi, często samotnymi.

Szuka się sposobów kontaktu księży z opinią społeczną... Dawniej nazywało się to kolędą, dziś coraz częściej mówi się „wizyta duszpasterska” — oby.

Reportaż z Seminarium Śląskiego

Od „świata” odgradzają jedynie duże, oszklone drzwi. Wystarczy nacisnąć klamkę i zejść po szerokich schodach, by znaleźć się w ruchliwym centrum miasta.

Seminarium duchowne... ale darmo byś tu szukał muru, który trzeba przeskakiwać, nie ma też sklepionych korytarzy ani snujących się po nich w mroku zastraszonych, bladych postaci, przybranych w sukienki duchowne. Nie ma zresztą prawie wcale ludzi chodzących w sutanach, bo większość wykładowców nosi ubranie i księżowski kołnierzyk, klerycy chyba też w większości chodzą ubrani „po cywilnemu”, inni, podobnie jak profesorowie, albo w ciemnych koszulkach typu „polo”, z koloratką. Tylko idąc do miasta, gwoli uszanowania wiekowej i czcigodnej tradycji, wkładają sutanny.

Gmach jest przepelniony. Co roku zgłasza się siedemdziesięciu, osiemdziesięciu, osiemdziesięciu pięciu. Zbyt wielu, jak na możliwości budynku. W niektórych pokojach stoją piętrowe łóżka. W poprzednim roku zgłosiło się osiemdziesięciu, przyjęto ponad pięćdziesięciu, w ostatnim roku z osiemdziesięciu sześciu — dwudziestu dziewięciu nie przyjęto.

Mówił mi ktoś, że w okresie, kiedy przychodzą podania o przyjęcie, rektor dosłownie całe dni spędza nad rozłożonymi papierami kandydatów. Trzeba przebrnąć przez warstwę proboszczowskich opinii (który to proboszcz nie chce mieć księdza ze swojej parafii?), świadectw i zaświadczeń, trzeba odcyfrować choć trochę prawdy o człowieku, którego „ulizane” zdjęcie leży na stole, trzeba podjąć taką decyzję, która nie zmarnuje czyjegoś pięknego zapachu i dobrej woli. Kiedy kandydaci zgłaszają się osobiście, rektor, zna już ich wszystkich na pamięć, identyfikuje twarze z tymi poznanymi z fotografii. Nie jest to uczelnia jak inne, to pewne. Ale jednak uczelnia; w praktyce dużą rolę grają w decyzji o przyjęciu zdolności kandydata. W ubiegłym roku szkolnym przyjęto dwunastu celujących, czterdziestu dwu dobrych, pięciu dostatecznych (oceny na świa-

dectwie maturalnym). Wymagana jest matura ogólnokształcąca. Po technikum przyjmuje się tylko bardzo dobrych i dobrych. Zdarzają się oczywiście wyjątki.

Ale liczby to nie wszystko. Za nimi kryją się żywi ludzie. Jest tu ich blisko dwustu, a w tej wielkiej grupie małe, nieformalne i formalne grupki. Zresztą podział na formalne i nieformalne jest w praktyce trudny do przeprowadzenia. Z nieformalnych wytworzyły się formalne, formalne mają wiele cech małych grup nieformalnych. Formalnymi zespołami są poszczególne lata studiów. Każdy rok wyłania swego „duktora” to jest przedstawiciela (i chyba przywódcę). Niezależnie od kursów (lat) istnieją i wciąż powstają grupy hobbistów, takie jak grupy konwersacji angielskiej i francuskiej, zainteresowanych misjami, kaznodziejstwem, turystyką, fotografią, filatelistyką, zagadnieniami kultury, sztuki, muzyki, zespoły redakcyjne, szczególnie aktywny zespół charytatywny itp.

Któryś z wychowawców powiedział mi, że sprawą, o którą szczególnie im chodzi obecnie, jest to, by wychowawcy i profesorowie seminarium tworzyli rozumiejącą się, zgraną ekipę. Wyrazem tego jest codzienna Msza koncelebrowana profesorów. To jest dla nich. Ta Msza św. odprawiana jest w oratorium, podczas gdy dla kleryków odprawia się w kaplicy Msza nie koncelebrowana (koncelebrowana dla kleryków jest w niedzielę).

— Jak tu u nas jest? Co cieszy, co złości? Co należałoby zmienić? Co się zmienia?

W niewielkich pokoikach, w których mieszkają po dwóch lub po kilku (na niższych latach), zjawiała się kawa, czasem jakiś placek przysłany z domu i zaczynała się dyskusja. Stopniowo tworzył się obraz.

Przed wszystkim nie chcą, żeby wszystko było określone regulaminem. — Nawet jeśli rozumiemy i akceptujemy samą treść przepisu — mówią — po co zaraz przepis? Od czterech lat (mówią ci z czwartego roku) wiele się tu zmieniło. Istniał tradycyjny dystans: władza — my. Rektor powiedział — i koniec, cisza. Ale od kilku lat jest rzeczywisty dialog. Początkowo „władza” była zaskoczona. Ale słuchali, co mówimy, poszli na rękę. Do wielu spraw dali się przekonać, a teraz uważają to za swoje osiągnięcia. Zapytuję: — To znaczy, że „wychowaliście” sobie wychowaw-

ców? Rozmówca poważnie potwierdza i po chwili namysłu dodaje z uśmiechem: — No, my i Sobór. Zapytywani o formy dialogu wszyscy wymieniają przede wszystkim przeprowadzoną przed rokiem ankietę na temat sytuacji w seminarium. Wyraźnie wpłynęła ona na nowy, kształtowany w duchu Soboru styl życia itp. Po pierwszym semestrze rektor przedyskutował z klerykami wyniki eksperymentu. Obok ankiety wszyscy wymieniają „Naszą Myśl”. Niby drobiazg, gazetka ścienna, ale tu z całą swobodą (bez cenzury ze strony przełożonych) można publicznie się wypowiadać o aktualnych problemach społeczności seminaryjnej. Jeśli jakiś artykuł ruszy czytelników, redakcja organizuje publiczną dyskusję, której wyniki (i postulaty) przedstawiane są później rektorowi. Przykładowo kilka takich problemów: odpowiedzialność, wolność, dojrzałość; wykłady obowiązkowe czy fakultatywne? wstawanie od stołu wspólne czy indywidualne? (przy okazji tego problemu — informuje mnie redaktor — przedyskutowano wiele ważnych, ogólnych problemów życia seminarium). Podobną do „Naszej Myśli” funkcję spełnia seminaryjny radiowęzeł, tak zwane „sem-radio”.

Kiedy rozmawiałem z przełożonymi, często słyszałem: „eksperyment”, „poszukiwania”, „próba”, „ryzyko zaufania”. To samo, nieco inaczej formułując, mówili klerycy. Ale znamienne: często jedna i ta sama rzecz dla wychowawcy była nieco ryzykownym eksperymentem; dla kleryka starszego roku czymś koniecznym, co musiało być wprowadzone; dla zaczynających w tym roku studia — czymś zupełnie oczywistym.

Tu wynotować wypada te zjawiska które moi rozmówcy wskazywali jako pozytywne przejawy zachodzących zmian. A więc przede wszystkim różne formy dochodzenia do głosu opinii publicznej. Obok tych, o których wyżej, wymieniano spotkania rektora z duktorem, utworzenie instytucji opiekunów poszczególnych lat. Funkcja ta nie ma nic wspólnego z „nadzorem”. Z opiekunem omawia się problemy kursu, jemu można powiedzieć wszystko, jego obowiązkuje dyskrecja. Nie powtarza dalej tego, co wie. W praktykach religijnych (sprawa tu bardzo ważna) wprowadza się coraz większą swobodę. Istnieje możliwość swobodnego wyjścia na Mszę do którego się chce kościoła w mieście (oczywiście zachęca się wszystkich do udziału

we wspólnej Mszy św. seminaryjnej), praktyki takie jak na przykład rozmyślanie już nie zawsze są związane z obowiązkiem wspólnego gromadzenia się w kaplicy. Powstał też zwyczaj zbierania się od czasu do czasu mniejszych grup na „własną” Mszę, odprawianą dla tej grupy w którejś z sal wykładowych.

Niektórzy klerycy zbierają się w mniejszych grupkach na wspólne rozmyślanie, w czasie którego uczestnicy dzielą się swoimi przemyśleniami. Istnieje duża swoboda wychodzenia poza teren seminarium. W niektóre dni w czasie przeznaczonym na wypoczynek wolno wychodzić bez żadnych ograniczeń, klerycy ostatniego, VI roku, nie są nawet ograniczeni czasem.

W czytelni dostępna jest cała polska prasa, nie wyłączając „Argumentów”, „Zeszytów Argumentów”, „Faktów i Myśli”. Ostatnio powstała nowa gazetka ścienna „Propozycje”, prezentująca w bardzo inteligentny sposób najnowsze numery „Polityki”, „Kultury”, „Argumentów” i innych tygodników.

Okolo pięćdziesięciu kleryków stale pomaga w prowadzonej przez parafię, na terenie której znajduje się seminarium, pracy charytatywnej: opiekują się chorymi, niewidomymi i innymi potrzebującymi. Praca ta to materiał do osobnego reportażu.

W rozmowach, rzecz jasna, wiele miejsca zajęło „reformowanie” seminarium. Moje wypytywania stały się okazją do kilku ostrych dyskusji. Taka dyskusja wybuchła na przykład na temat obowiązku uczestniczenia w wykładach. Zasadniczym argumentem obrońcy obowiązkowego uczestniczenia (bo i taki się znalazł) było to, że „nie można od władzy zbyt dużo naraz wymagać”. Na temat studiów trudno mi wiele pisać. Nie miałem okazji słuchać wykładów. Podstępnie spytałem miłego puzatego słuchacza pierwszego roku, czy nie uważa, że seminarium to takie duchowne technikum? Bardzo się na to obruszył, powiedział, że „pozwoli sobie posłużyć się notatkami” i pokazał mi zeszyt z propedeutyki teologii. Każdy wykład uzupełniany jest wykazem świętych lektur (obowiązkowych i fakultatywnych), tematy zaś wychodzą na spotkanie tym problemom, z którymi taki przychodzący do seminarium człowiek musiał się spotkać. Istnieje zresztą stale możliwość zgłaszania zapotrzebowań

na omówienie interesujących problemów. Zażartą dyskusję stoczono też na temat wprowadzenia systemu seminariów naukowych. Kleryk, który przeniósł się tu ze studiów na uniwersytecie, ubolewał, że takich seminariów nie ma na pierwszym i drugim roku. Inny twierdził, że przecież można na wykładach o wszystko pytać, że seminaρια są na starszych latach, na to otrzymał natychmiastową replikę, że tak mówi, bo nigdy prawdziwego seminarium, takiego z czytaniem oryginalnych tekstów, nie widział.

O problemach seminarium można z ks. rektorem rozmawiać godzinami. To jest jego wielka pasja życia. Zresztą nie tylko jego. Wszyscy wychowawcy, w większości młodzi, uparcie szukają sposobów na to, by z ich uczelni wychodzili ludzie jakoś przemienieni i dojrzałi, dobrze uformowani intelektualnie, a jednocześnie rozumiejący tych, do których idą.

Nie wiem, czy tak jest we wszystkich seminariach, wiem, że oglądałem jedno z ciekawszych w Polsce. Wiem też, że ani rektor, ani wychowawcy nie są bynajmniej z siebie zadowoleni.

Był właśnie wtorek przed Popielcem i obchodzono „ostatki”. W jadalni rektor i wychowawcy musieli ustąpić ze swych prezydialnych miejsc i zmieszać się z klerykami. Prezydowali: klerycki rektor, wicerektor i cały zarząd. Jednodniowa władza wśród gromkiego śmiechu odczytała swój manifest. Myślałem sobie, że kiedy oni zasiądą już na poważnie na tych miejscach, będą mieli dużo łatwiejsze zadanie. Wiele dróg będzie przetartych i niejedno doświadczenie zakończone.

Postscriptum:

Reportaż z Seminarium Śląskiego napisałem w 1968 roku. U wielu zainteresowanych osób wywołał on oburzenie, zwłaszcza zdanie o tym, że klerycy wychowali sobie przełożonych. W jednym z seminariów z wyłożonego w czytelni kleryckiej „Tygodnika” został skrzętnie wycięty. Dziś wiele opisanych spraw nikogo nie dziwi. Są zwyczajne. I w seminarium opisywanym z pewnością nastąpiło wiele zmian. Z tych, o których wiem, godna szczególnej uwagi jest praktyka wysyłania kleryków w połowie studiów na rok do pracy. Pracują jako robotnicy fizyczni. To jest za-

sada. Mogłoby się zdawać, że to luksus, że przecież znają środowisko, z którego tak niedawno wyszli, z którym utrzymują żywy kontakt. Ale tak nie jest. Inaczej wygląda świat widziany oczyma chłopaka-maturzysty, inaczej widziany oczyma kleryka, który wie, że do tych właśnie ludzi przyjdzie za kilka lat mówić im o Panu Bogu. Inaczej widzi świat kleryk — gość wakacyjny, inaczej kleryk — robotnik, kolega z zakładu pracy.

Reportaż z 1968 roku zamieszczam w książce jako dokument, który może posłużyć do konfrontacji wczorajszego z dzisiejszym.

Zakonnicy — przypomina Sobór — mają dawać świadectwo miłości przez życie we wspólnotach zakonnych. Czy tylko przez to? A wspólnota księdza i tych, do których mówi z ambony, z którymi rozmawia w konfesjonale, z którymi odprawia Mszę św.?

Rozmowy, które wygrzebuje się z pamięci, kiedy wiadomo, że dalszego ciągu nie będzie.

Po siedemdziesięciu pięciu latach życia zmarł ksiądz Józef Daszuta. Ktoś życzliwy, diakon-opiekun chorego zanotował ostatnie rozmowy. Ksiądz wiedział, że to nadchodzi koniec. Był chory na serce, ciężko chory. O śmierci mówił spokojnie i po prostu, tym swoim wileńskim akcentem. Pochodził z Sokółki, chudy, ze spadającą na oczy grzywą siwych włosów, zawsze czynny, coś naprawiający: zegarki, dachy, ludzkie wnętrza.

Życzliwa ręka zanotowała rozmowy z ostatnich dni: „Ojciec opowiadał mi o swoim dzieciństwie: — Byłem biednym pastuszkim, pasłem gęsi, a Bóg powołał mnie na swego sługę. Służyłem Panu Bogu, jak umiałem. Nic wielkiego nie zrobiłem. Ale ufam, że Pan Bóg będzie dla mnie miłosierny.”

Inna notatka: „Zapytałem, dlaczego ojciec tak od rana się uśmiecha. Odpowiedział: Cieszę się, że niedługo stanę przed moim Bogiem.” Kiedy indziej: „Kochany, daj mi zejść z tego świata. Wy mnie tu sztucznie podtrzymujecie, a niech się dzieje wola Boska. Czeka mnie dziś coś pięknego... Dajcie Panu Bogu swobodę działania, niech On robi co chce.”

Ktoś inny spisał życie ojca Józefa: zmieściło się na jednej stronie maszynopisu. Wszystko?... kiedy się urodził, gdzie do szkół uczęszczał, że do zakonnego zgromadzenia wstąpił, że ukończył wyższe studia prawnicze w Polsce, a potem jeszcze w Rzymie. Było i wyliczenie placówek, na jakich pracował, niewiele: pięć — sześć. Kilka funkcji zakonnych i jeszcze, że kochał liturgię i śpiew.

Siedemdziesiąt pięć lat życia... Pogrzeb starego księdza Józefa ściągnął tłum ludzi.

I drugi pogrzeb. Kilka miesięcy później, ksiądz Kazi-

mierza Śliwy — miał czterdzieści jeden lat. Na cmentarzu było już ciemno, padał deszcz. Jednak i ten grób otaczał tłum. W kościele również był tłum, choć kościół daleko od centrum miasta. Każdy z przemawiających mimowolnie chciał zmarłego oczyścić ze zwykłości.

Zaraz w początkach choroby prosił lekarza: — proszę powiedzieć mi prawdę; ostatecznie jestem księdzem, chcę wiedzieć, na co jestem chory, na co umrę, jeśli aż tak źle.

Nie jest chyba lekko człowiekowi, kiedy usłyszy, że wyrok został podpisany, że złośliwy nowotwór. Wiedział od początku. Nie mówił o tym niemal z nikim i bardzo nie chciał, żeby o tym mówili inni.

Przeglądał fotografie. Kolejno, z różnych lat, z coraz innymi gromadami uczniów, w górach na nartach, z wyciągowym rowerem znów w górach...

— Kiedy się dowiedział, bez słowa poszedł do kaplicy i więcej o tym mowy nie było. Tylko od tamtej rozmowy częściej zaglądał do innych chorych, pytając, czy czegoś nie potrzebują. W ostatnim okresie tak go bolało, że krzyczał z bólu. W autobusie opowiada ktoś z przyjaciół, który rozmawiał z nim kilka dni temu:

— Mówił wciąż o tym, że chciałby jeszcze komuś w czymś pomóc, coś dobrego zrobić. Pytał o wspólnych znajomych, o których wiedział, że nie najlepiej radzą sobie w życiu ...

— O, nie, umierać nie chciał. Szukał lekarzy, lekarstw. A jednak godził się chętnie, kiedy proszono go, by ofiarował to, co przeżywa, w różnych intencjach, głównie za kolegę, którego drogi kapłaństwa bardzo się poplątały.

Myślę o jednej śmierci i o drugiej. Myślę o umierających księżach. W większości diecezji są specjalne domy dla starych księży, domy księży emerytów. Zwykle mało kto tam zagląda. Młodzi nie znają. Nawet jeżeli wiedzą, że był kiedyś taki ksiądz, nie przyjdzie im na myśl, że gdzieś jeszcze jest, że żyje. Starsi nie mają czasu, sił, ochoty. Podobno są to smutne domy. Mówią starsi księża, że wolą zostać w parafii i tam przy aktualnym młodym księdzu dożywać swoich lat... Więc samotność? Obydwie śmierci, o których wyżej, zdają się podpowiadać odpowiedź przeczącą. Jest bowiem chyba więź, sięgająca (jak wierzymy), dalej niż grób, więź z tymi, dla kogo i za kogo.

Gospodarz mieszkania, gdzie to piszę, Tadeusz, student któregoś roku polonistyki, pyta, o czym piszę.

— Chcę napisać o tym, czy ksiądz jest samotny, czy nie, jak to z tym jest.

Tadeusz ma odpowiedź natychmiast: Oczywiście, że samotność. To leży w istocie sytuacji księdza. Samotności nie ma, kiedy jest wymiana, dawanie i branie. Ksiądz, jeśli naprawdę jest księdzem z prawdziwego zdarzenia, tylko może dawać. Zawsze daje.

Czułem, że coś w tej odpowiedzi jest nie tak. Dopiero na drugi dzień, w pociągu, olśniła mnie myśl: a sama możliwość dawania? „Jesteś potrzebny”, skierowane do księdza: czy to nie jest dar, stale brany? To może jest podstawa, by na pytanie „o samotność” odpowiedzieć: nie.

„Instytuty nastawione całkowicie na kontemplację, tak że ich członkowie w odosobnieniu i milczeniu, w ustawicznej modlitwie i chętnie podejmowanej pokucie zajmują się jedynie Bogiem, pozostają zawsze wyborną częścią w Mistycznym Ciele Chrystusa (...), bowiem składają Bogu doskonałą ofiarę chwały (...), ludowi Bożemu przez swą świętość dodają blasku, pociągają go przykładem i przyczyniają się do jego wzrostu dzięki tajemniczej płodności apostołskiej”. Tak konstytucja soborowa o dostosowanej odnowie życia zakonnego.

Długi kamienny mur, za murem przyzółka jesienna zieleń klasztornego ogrodu. Spiętrzone budynki klasztorne z kościołem, gotyckim, lecz niezbyt wielkim i nie przytłaczającym swą niebosiężnością, może także dzięki barokowemu wystrojowi wnętrza. I jeszcze siedemset pięćdziesiąt lat historii od położenia fundamentów klasztoru, przepełnione katakumby grobowcowe pod darnią kościelnego cmentarza, w których spoczywa całe miasto umarłych zakonnic (imiona zakonne i rodowe można przeczytać na nagrobnych cegiełkach w ścianach podziemnego korytarza, tylko trzeba najpierw odkopać darń przykrywającą wejście do podziemi). I przeplatająca się z historią legenda wpisana w mury i malowidła klasztorne: o przemawiającym krucyfiksie, o cudownym przeniesieniu materiałów przygotowanych na budowę, o bocianach, które przysłała Opatrzność, by zniszczyły wszystkie złośliwe płazy gnieźdzące się w miejscu, gdzie miał z woli Nieba stanąć klasztor.

Deski osłaniające wejście do krypty trzeba zdejmować ostrożnie, po jednej. Potem kilkanaście stromych schodków w dół i stoimy przed grobem świątobliwych fundatorów. („...W szczególnych potrzebach klasztoru i w dzień św. Klemensa idzie całe Zgromadzenie do grobu Bł. Fundatorów naszych i tam odmawia koronkę...” Z księgi *Zwyczaje klasztoru staniąteckiego*.)

W mroku patrzymy na mały sarkofag, który zawiera zebrane z dawnych grobów prochy czterech osób. Spoczywa tu Klemens z rodu Jaksów Świebodziców herbu

Gryf, hrabia na Ruszczy i Klimontowie, wojewoda opolski (około 1228), potem kasztelan bytomski i od 1238 roku kasztelan krakowski, główny fundator staniąteckiego klasztoru, pod który fundamenty zaczął kłaść w 1216 roku. Padł w bitwie pod Chmielnikiem cięty w głowę tatarską szablą 18 marca 1241 roku. Wraz ze szczątkami męża pochowano żonę, Raclawę (Rościslawę), pochodzącą ponoć z rodu ruskich książąt Rościslawiczów, o której ksiądz Józef Werbski w dziele *Zwierciadło matronom polskim albo żywoty pobożnych panien, matron i wdów polskich* (1697) pisze: „Była to Białogłowa barzo wstydliva y nabożna, miłosierne uczynki wielce maiąca. Ta z Małżonkiem swoim maiąc obszerne Maiętności, a nie maiąc potomka męzkiej płci okrom iedney Córki imieniem Wizenny, która w młodości Swey w bojaźni Bożey świątobliwie postępowala, a w stan Małżeński, urody będąc piekney gdy ią chciano wydać, zezwolić nie chciała; zaczym Rościslawa powodem y radą była pobożnemu Małżonkowi swemu, aby wszystką Maiętność swoje wraz z Córką swoją, ponieważ żywot świątobliwy Paniński sobie obrała, Panu Bogu na cześć y na chwałę wiecznie oddali”.

Z rodzicami spoczywa tu i sama Wizenna, pierwsza ksieni staniąteckiego klasztoru, matka fundatorka, która po pięćdziesięciu latach przełożęstwa zmarła 28 grudnia 1289, zostawiając w klasztorze sto zakonnic, i to polskiego pochodzenia, gdyż obcych mniszek klasztor w Staniątkach nie sprowadzał. Wreszcie wraz z trójką fundatorów pochowany jest Dojutrek, zmarły po kilku zaledwie dniach życia brat Wizenny.

Najpierw były pertraktacje poprzez kraty, gdy nie widziało się twarzy rozmawiającej z nami zakonnicy. Kiedy przekroczyłem próg klauzury (na mocy specjalnego zezwolenia udzielonego z racji wielkiego jubileuszu 750-lecia klasztoru), trochę podświadomie oczekiwałem czegoś, co zapiera dech, strasznie tajemniczego i niezwykłego. Początkowo przesuwalimy się przez korytarze o niebotycznych sklepieniach i krętych schodach, niemal na palcach, nie bardzo wiedząc, co wypada i można fotografować, co notować. Siedem godzin wędrowaliśmy po klasztorze, rozmawialiśmy z Matką ksienią i siostrą Anzelmą, które cierpliwie oprowadzały nas po zakamarkach klasztoru i odpowiadały na (nie zawsze, przynajmy, specjalnie

mądrze) pytania. Kiedy po wyjściu zamknęły się za nami okute drzwi klauzury, wyniosłem poczucie... zwyczajności tego, co widzieliśmy, zwyczajności tego niezwykłego życia wśród przesiąkniętych historią murów.

„...Takim trybem przesuwa się dzień każdy” — stwierdza odwieczny podręcznik zwyczajów klasztoru po podaniu szczegółowego rozkładu dnia.

W Regule św. o. Benedykta, wydanej „z dostosowaniem dla PP. Benedyktynek w Staniątkach” przeczytałem: „Żadna z nich się nie wzbrania taczać wspólnie zawić, do czego niech je Westyarka wezwie lub zadzwoni na nie w refektarski dzwonek...”

— Proszę siostry, co to znaczy? O co chodzi w tym zleceniu?

Stoimy z siostrą Anzelmą, naszym cierpliwym cicerone, pod ogromną lipą w ogrodzie klasztornym, co go kiedyś jeszcze biskup Żaluski zakładał na włoską modłę. Ogród od tamtych czasów bardzo się zmienił, miejsce kwietników zajęły kapusta i ziemniaki. Otoczenie jednak jest niemal takie, jak przed laty. W tym otoczeniu łatwo słucha się opowiadań o przeszłości, łatwo wyobrazić sobie, jak to niegdyś mogło wyglądać. Siostra Anzelma wyjaśnia, że podkreślenie, by żadna nie wzbraniała się przed owym tajemniczym zajęciem, odnosi się do sióstr pierwszego chóru. Siostry pierwszochórowe miały obowiązek odmawiania w chórze (a właściwie śpiewania) długiego, łacińskiego oficjum. Czas poświęcały modlitwie i takim zajęciom, jak haftowanie czy przepisywanie ksiąg. Siostry drugiego chóru gospodarowały w klasztorze, kierując pracą służby i same wykonując niektóre prace fizyczne.

Na głowach noszono misternie układane welony-zawicia. Zawić tych się nie prasowało, lecz w pogodny dzień siostry zbierały się w ogrodzie i tam odbywało się owo „taczanie”. Dwie siostry chwytaly zawicie za rogi, w środek wkładano ciężką, marmurową kulę i tak trzeba było poruszać welonem, by kula nie wypadła, lecz tacząc się wyprasowała materiał.

Dziś zawić się nie tacza i w ogóle ich nie ma. Tylko na portretach dawnych ksieni można oglądać strój, który zastąpiony został o wiele prostszym. Chociaż nie tacza się zawić, wszystko wydaje się w tym klasztorze przesiąknięte tradycją. Na wstępie księgi zwyczajów klasztoru stanią-

teckiego czytamy: „Aby nasz prastare, bo od fundacji prawie wprowadzone, a na chlubę poprzednich pokoleń przez siedem wieków w całości nam przekazane zwyczaje nadal bez zmian się utrzymały, streszczamy je tu w najogólniejszych zarysach”... Gdy w bibliotece w pocie czoła ustawiamy do sfotografowania oprawne w drzewo i skórę tomisko, zatytułowane *Księga Wielkanocna napisana na Tyńcu przez Księży Benedyktynów za przełożęństwa Panny Ksieni Doroty Strzeniawskiej. Rok 1536*, dowiadujemy się od siostry Anzelmy, że tego egzemplarza (przepisywanego oczywiście ręcznie) używano w chórze jeszcze za jej czasów, bo do 1937 roku. Siostry na śpiewanie antyfon wychodziły ze stall i podchodziły do pulpitu, pomocnica kantorki, nowicjuszka, pracownice przekładała karty księgi, wybierając wśród labiryntu zakładek, odnośników i skrótów odpowiednie miejsca, co bynajmniej nie było łatwe.

Wśród tekstów i rubryk pisanych po łacinie od czasu do czasu odkrywam ściągaczki: pod łacińskim napisem dopisane inną, mniej wprawną ręką: „to na nieszpór bywa”, a w *Cancyonale Pyosnek, rozmaitych a nabożnych* (1569) dopisek: „*Pluviam congruentem* znaczy o Deszcz, a *serenitatem* o Pogodę”... Cóż, nic dziwnego, łacina język trudny, pomyłki zaś mogły mieć fatalne skutki nawet hydrometeorologiczne.

Siedem godzin to bardzo mało. Kilka chwil w chórze zakonnym, którego zakratowane okna wychodzą na kościół. Siostry śpiewają brewiarz, głęboko skłaniają się na *Gloria Patri*, siadają i znów wstają, podchodzą do pulpitu z lekcjonarzem i wracają na miejsca, a Adam Bujak tuż obok stalli ksieni z aparatem na statywie wystawia na straszliwe próby zdolność skupienia się zakonnicy. Zasłonięty filarem, oglądam tylną część chóru. I tu są stalle, ale obecnie puste. Sióstr jest w klasztorze trzydzieści, dwie postulanki, dwie nowicjuszki, jedna profeska po ślubach czasowych. Nad każdym miejscem malunek z budującym napisem. W ogóle napisów w klasztorze jest dużo, wyjątków z Reguły i Pisma św. dostosowanych do miejsca. Przy wejściu do chóru tablica ogłoszeń. „Marysia prosi o modlitwę za b. ciężko chorego ojca, którego dziś są imieniny” — czytam na jednej z przypiętych kartek. Inne to informacje liturgiczne.

Znowu wędrujemy po korytarzach. Wysokie, jasne,

bardzo piękne. Na ścianach dużo obrazów. Nie ma czasu na oglądanie wszystkich. Jeden z korytarzy obwieszony jest wielkimi malowidłami przedstawiającymi historię Opactwa Tynieckiego. Szereg obrazków barwnie ukazuje przejścia tutejszego klasztoru w 1914 roku. Siostry rozesłane przez księnię z zagrożonego klasztoru wyruszają z tobołkami w świat. Matka ksieni, Kazimiera Hilaria (przyjmowała do klasztoru naszą przewodniczkę siostrę Anzelmę) w opackim kołpaku na welonie broni przed rekwirującymi żołnierzami dobytku klasztorowego... Pociskiem rozwalony korytarz, zwłoki dwóch jezuitów, którzy wtedy polegli itd. itd.

Ponieważ mamy w dobrym świetle sfotografować barokowy pastorał ksieni, kołpak, pierścień, piękny opacki krzyż i rękawiczki opackie — wędrujemy po klasztorze z tymi wszystkimi insygniami. Od czasu do czasu mijamy siostry, cichutko przesuujące się po korytarzach. Pozdrwiają nas milcząco bardzo pięknym, jak gdzieś wyczytałem, staropolskim ukłonem (może widok pastorału budzi ten respekt?). Kołpak z lisiego (chyba, bo zapomniałem się upewnić) futerka jest oznaką władzy ksieni Staniątek. Zwyczaj ten wywodzi się od Wizenny, której swój kołpak włożyła matka, gdy Wizenna obejmowała władzę w klasztorze. Siostry, które spotykamy, zajęte są pracą. Wszystkie milczą. Rozmawiać wolno tylko w czasie rekreacji. Pracują w domu, w kuchni, w ogrodzie, w gospodarstwie. Jedna z nich, staruszka, maluje z zapałem w swej celi pobożne obrazy. Fotografujemy ją przy pracy, robiąc przy okazji straszne zamieszanie w celi, bo do światła trzeba wszystko inaczej, niż jest zwykle, poustawić. Siostra mówi, że lubi jasne, jaskrawe, wesołe kolory i że tak namalowała nawet Ogrójec. Rzeczywiście w celi jest bardzo kolorowo.

Adam fotografuje siostry w kapitułarzu, sali, w której odbywają się ich różne zebrania oraz kapitule, na których siostry oskarżają się z zewnętrznych przewinień przeciw Regule (np. łamanie milczenia, zniszczenie czegoś itp). I jeszcze fotografie starych obrazów i płaskorzeźby z Matką Boską.

Refektarz jest taki jasny i wesoły, że zaraz przypomina mi się śliczny przepis, który poleca: „W największe Święta Roku (...) w imieniu Ksieni, Sekretarka częstuje zakon-

nice wśród obiadu winem, a nadane hasło przez Przeoryszę zgromadzenie całe powstaje i pije zdrowie Ksieni...”

Cała dolna część klasztoru jest obita z tynku. Siostry wydały skuteczną, jak już można zauważyć, walkę grzybowi, który zaatakował budynek. Jeszcze mury muszą podoschnąć i będzie można na nowo kłaść tynk. W klasztorze widać sporo rozpoczętych, a także zakończonych prac konserwatorskich. Z podziwem słuchamy o pracach, jakie siostry podjęły i podejmują, by zabezpieczyć zabytkowe malowidła, rzeźby i cały budynek. Dumam sobie, że ta wspaniała spuścizna po minionej świetności materialnej zakonu jest bardzo kłopotliwa. Pytam Matkę ksieni, czy nie uważa, że gdyby teraz tworzyło się nowe fundacje, należałoby budować niewielkie domki? Ksieni jest zdecydowanie przeciwnego zdania. Uzasadnia je bardzo przekonująco. Gromada ludzi, nawet dość świątobliwych, zamkniętych na całe życie w ciasnym pomieszczeniu, nieustannie wpadająca na siebie, bez możliwości zupełnej samotności i szerszego oddechu... nie. Przypomina mi się Sartre'a *Przy drzwiach zamkniętych*, gdzie piekielność piekła polegała niemal na tym, co proponowałem przed chwilą. Tył, że tamci skazani byli na wieczność, a tu tylko do śmierci.

Jesteśmy w sklepionej sali na niskim piętrze. Na ścianach położyłem fotografie pierwszych maturzystek. Klasztor prowadził różne szkoły od samego początku. W początkach oddawano panny na wychowanie i to nawet dziewczynki trzy- i czteroletnie. Przechowały się konspekty lekcyjne szkoły dla „panien z dobrych rodzin” (XVIII wiek): „Wykład o tem, co to jest geografia. Czy jest potrzebna? Jednym potrzebna, drugim niepożyteczna i wygodna. Niektóre zdobiąca, jako Damy. Bez tey umiejętności, ani Historii umieć, ani Gazet rozumieć, ani dyskursu z rozumnymi ludźmi prowadzić nie można...”

Szkoła funkcjonowała jeszcze po wojnie. Z biegiem lat i potrzeb z *Collegium Nobilium* przemieniła się w średnią szkołę gospodarczą, a następnie w gimnazjum i liceum ogólnokształcące typu humanistycznego. Ksieni wyjaśnia, jak godzono charakter zakonu kontemplacyjnego z prowadzeniem szkoły i internatu. Tylko pewne zakonnice były wyznaczone do tej pracy. Inne nie wchodziły na teren szkoły ani nie stykały się z uczennicami. Uczące zaś mu-

siały wypełniać wszystkie obowiązki chórowe, nie wyłączając modlitw nocnych, co zresztą, jako przekraczające już zupełnie siły, zostało z czasem zniesione.

Opisywać można by bez końca. Adam zrobił przeszło sześćdziesiąt zdjęć, a ja usiłuję uchwycić specyfikę tego zdumiewającego miejsca.

Prawie siłą wyciągam Adama. Jest już późno. Niemal cały dzień zabraliśmy siostrom, niemal cały dzień łaziliśmy, chyba bardzo, jak na tutejsze obyczaje, głośno po klasztorze, coraz bardziej ośmieleni, żeby nie powiedzieć zadowoleni.

Zrozpaczony przeglądam notatki. Zwracam się nieśmiało do Matki ksieni:

— Proszę mi powiedzieć, co można by napisać takiego „reklamowego”, takiego, co może kogoś by przyciągnęło?

Ksieni w zamyśleniu kręci przecząco głową. Nie, tu nic takiego nie ma.

Tak ktoś mi już kiedyś tłumaczył, również przełożona klauzurowego ścisłego zakonu. Powiedziała:

— Wiesz, tu przychodzi wiele osób. Zostają te, które szukają tylko Boga. Tu nie jest zacisze, do którego można się schować przed ludźmi, jakiś azyl. Tu życie jest ciężkie. Jeżeli radosne, to tylko radością, jaką daje On.

— Więc żadnej reklamy? — upewniam się na wszelki wypadek.

— Żadnej — odpowiada jeszcze raz ksieni.

Pada drobny deszcz, jest szaro i mokro. Do Krakowa tylko dwadzieścia jeden kilometrów. Na szosie zwykły ruch; samochody, ludzie, wszyscy się spieszą. W Staniątkach, jak niemal bez przerwy przez ponad siedem wieków, przesunął się zwykłym trybem jeszcze jeden dzień.

Uporczywie rozmyślam nad pytaniem, które z całą pewnością po przeczytaniu tych notatek o najstarszym w Polsce zamkniętym klasztorze panien benedyktynek padnie: po co?

Wiem, że nie po to, by prowadzić szkołę, nie po to, by hodować kury czy śliwki (którymi zagryzam to pisanie), nie po to, by wykonywać artystyczne hafty i remontować cudowne stare budynki klasztorne, nawet nie po to, by śpiewać *Officium divinum*...

Ale po to, żeby być znakiem, który liczy się bardziej niż gadanina, znakiem, że można zatracić się w Panu Bo-

gu, tylko w Nim, i być szczęśliwym, nie uciec, nie zwario-
wać...

I jeszcze po to, jak przypominał Sobór, by utrzymać
równowagę modlitewną w świecie. I dla tych cichych
zakonnice, by odnalazły swoją duszę, którą zatraciły...
Zresztą lepiej spytajcie Matki ksieni. Zaręczam, że wie,
choć nie miałem odwagi spytać.

Status religiosus (...) in omnibus in honore habendus est — stan zakonny ma być czczony przez wszystkich... (Kodeks Prawa Kanonicznego, kan. 487). Akurat.

W braku lepszego miejsca na „duchowną rozmowę” siedzimy w wielkim samoobsługowym barze. Rozmówczyni (III rok WSE) głośno zastanawia się nad stanem równowagi psychicznej własnej swej siostry:

— Chyba zwariowała — konkluduje. — Teraz, po maturze, do... karmelitanek. Żeby zakochała się, wyszła za mąż, poszła na filozofię, wszystko jedno. Ale tam?

Bar, tłum ludzi, gwar, śmiechy, za oknem afisze filmowe, duże, kolorowe.

— Do karmelitanek. I jeszcze się cieszy.

Notuję w pamięci: „chyba zwariowała” i przebiegam myślą znajomych psychiatrów.

List jest gęsto zapisany pismem o ostro zakończonych literach. Tak pisała moja babka, tak pisze wiele kobiet z tamtego pokolenia. Energicznie, zdecydowanie.

Autorka listu donosi, że absolutnie nie wierzy w „powołanie” zakonne swej wnuczki: „Chowając ją od dziecka przez piętnaście lat zawsze musiałam inspirować jej pobożność w modlitwie, w chodzeniu do kościoła itp. Ma dopiero dwadzieścia lat. Jest wspaniałą dziewczyną, zdolną, wysportowaną, kochającą dzieci, świetnie prowadzącą świetlicę (...) Teraz przerwała studia i poszła do klasztoru. Czy wolno takie dwudziestoletnie dziecko wiązać na całe życie ślubami?”

Oczywiście, że nie wolno. Nikogo nie wolno wiązać ślubami na całe życie. Jest co prawda jeszcze jedna możliwość: ktoś może zechcieć sam się nimi związać. Po namyśle, z rozważą, nie od razu rzecz jasna: na całe życie. Najpierw nowicjat. Potem śluby roczne, potem znów na rok i znów na rok, i znów. Po roku można odejść. Wiele osób z tej możliwości korzysta.

To jest zresztą problem w tym wypadku uboczny, problem decyzji, które wpływają na całe życie. Istnieje on też przy wyborze studiów, pracy, męża, żony. Na dobrą sprawę decyzja wstąpienia do klasztoru jest o wiele mniej ryzy-

kowna niż dotyczy małżeństwa sakramentalnego: tu nie ma „ślubów rocznych”. Ma to swoje uzasadnienie, ale elementu ryzyka nie umniejsza.

Najbardziej dręczy żal, że ktoś odchodzi.

I pytanie — jaki to właściwie ma sens? Po co?

Żal. Istnieje jakieś, nie zawsze uświadomione, przeświadczenie, że wejście do klasztoru, to „grób za życia”.

Zresztą co tu mówić, same ceremonie zdają się to czasem sugerować.

Pojechałem zobaczyć, czy rzeczywiście „zwariowała”. Trafiłem na uroczyste wejście za klauzurę. Jeśli wytrwa — to nigdy już stamtąd nie wyjdzie na Boży świat.

Nastrój pożegnania u drzwi klauzury miał w sobie wiele z atmosfery eksportacji nieboszczyka. Wszyscy szlochali. Zamykające się okute wrzeciędzie klauzury trzasnęły jak trumienne wieko. Nastrój popsuła sama „nieboszczka”, która ukazała się po chwili w rozmównicy, wprowadzie za kratą, ale roześmiana od ucha do ucha.

Może rzeczywiście zwariowała?...

Wejście do klasztoru byłoby może i grobowe, gdyby zatrażnięcie furty oznaczało przejście w świat niepotrzebności.

Już może nie mówmy o znaczeniu zakonów kontemplacyjnych jako takich, pisano o tym wiele. Nie mówmy też o roli, jaką na polu miłosierdzia spełniają szarytki, franciszkanki z Lasek i inne zakony. I nawet o owej „modlitewnej równowadze”, w jakiej prawdopodobnie utrzymuje się świat dzięki zakonom.

Chodzi mi o dawanie świadectwa. Myślę, że ci ludzie są przede wszystkim potrzebni po to, żeby dawać świadectwo. Bo niezależnie od tego, czy prowadzą leprosorium, szpital, szwalnię, sierociniec czy cokolwiek innego — czy biegają po mieście od jednego potrzebującego pomocy chorego do drugiego, czy też siedzą za murami — zawsze dają świadectwo. A raczej same są świadectwem, dowodem, że „można i tak”, że życie, którego sensowność w kategoriach czysto ludzkich racji jest w swych ostatecznych założeniach może i nie do obronienia — ma swoje inne, już nie tylko „czysto ludzkie” racje. I że mimo to (a może właśnie dzięki temu) można w nim, w takim właśnie życiu — być szczęśliwym i znajdować sens. Ci ludzie są dowodem, że będąc człowiekiem wolnym i normalnym, taką drogę też

można wybrać; że i taka treść może wypełnić całe życie ludzkie.

Patrzę na zakonnicę idącą ulicą, przy której mieszkam. Wspominam siostry, które widziałem na Uniwersytecie Lubelskim (filozofia, socjologia, psychologia, historia, polonistyka, filologie obce) i staje mi przed oczyma *Mniszka* z wiersza Różewicza:

Przez śnieg idzie mniszka
w czarnym habicie
podnosi wysoko nogi
i zapada po kolana
w biały puch
śmieje się
(.....)
Jednak jest ona naczyniem duchowym
mimo że tak pięknie
śmieje się
czerwonymi szerokimi ustami.

Oczywiście że tak, pod warunkiem, że „naczynie duchowe” znaczy „świadectwo” i że nie „mimo że tak pięknie śmieje się”, ale właśnie „dlatego, że...”

IV

**HISTORIE,
KTÓRE MOGŁY SIĘ NIE WYDARZYĆ**

Autorem książki jest największy alpinista świata, fenomen górski, człowiek o legendarnej odwadze, samotny wspinacz, który nie zna pojęcia „niemożliwe”, Walter Bonatti. Książka nosi tytuł: *Moje góry*. Bonatti pisze:

„Nigdy nie podjąłbym decyzji przejścia Pilastro Rosso di Brouillard, gdybym wiedział, że zgotuje mi tragiczny niemal los. Z drugiej strony nie pragnąłbym tego dokonać, gdyby filar nie był tak piękny, romantyczny i tajemniczy. Może to się wydawać dziwne, ale właśnie między tymi skrajnymi stwierdzeniami zawarta jest istota alpinizmu...” Gdzie indziej: „Urzeczenie filarem Walkera na północnej ścianie Grandes Jorasses to — jak wiem z własnego doświadczenia — cudowne, ale jednocześnie przytłaczające uczucie dla każdego alpinisty, a coś dopiero dla młodzieńckiego chłopca, jakim byłem w 1949 roku. Sama myśl, że muszę wejść aż tam, na górę, aby odzyskać spokój ducha, była dla mnie wprost niesamowita...”

Książka chwilami niemalże przypomina styl przewodnika taternickiego, tyle w niej opisów technicznych, informacji o stopniu trudności poszczególnych odcinków opisywanych dróg, o sposobach rozwiązywania trudnych problemów alpinistycznych, a jednocześnie, chyba dzięki niezwykle zaangażowaniu autora, wciąga ona czytelnika w dziwny świat konieczności chodzenia, konieczności walki. Bonatti nie dlatego musi chodzić, że jest zawodowym przewodnikiem alpejskim, lecz dlatego został przewodnikiem, bo wiedział, że musi chodzić. Kiedy nie ma klientów, idzie sam.

Świat dziwnych konieczności... W zamykającym książkę opisie tragicznej wyprawy na centralny filar Fresnay, opisując czwartą, straszną noc, Bonatti notuje słowa Oggioniego, swojego przyjaciela. Siedząc skulony, przemoczony do kości w małym namiociku uczeponym na wysokości 4500 metrów, w sytuacji niemal bez wyjścia, Oggioni opowiada o Portofino, nigdy tam nie był:

— My, alpiniści, jesteście jednak idioci... tyle jest pięknych rzeczy w świecie, a my pakujemy się w takie sytuacje...

Następna beznadziejna no, gorsza jeszcze od poprzedniej: „Oggioni mówi mi: — Złożmy obietnicę, że jeśli uda nam się wyjść z tego cało, zapomnimy w ogóle, że istnieje filar. Odpowiadam, że dobrze...”

Oggioni nie wyszedł cało, zmarł z wyczerpania podczas morderczego wycofywania się z nieszczęsnego filaru.

Pali papierosa za papierosem. Mimo siwych włosów jest w niej coś bardzo młodzieńczego. Miała dwóch synów. Młodszy ukochany, zginął parę lat temu w górach. Mógł nie zginąć. Przypadek. Pamiętam, czym dla niej była tamta śmierć. Sama przyznaje: — To cud, że nie zwario- wałam wtedy. Wiem, że to nie jest przesada.

Starszy syn niedawno miał wypadek. Też w górach: poleciał. Nie z własnej winy. To był bardzo poważny wypadek. Potem długie miesiące walki najpierw o życie, potem, żeby nie był kaleką, długa kuracja rehabilitacyjna... Ona ciężko to przechorowała. Dosłownie, bez żadnej prze- nośni. Jest poważnie chora na serce.

— Proszę powiedzieć — zwraca się do mnie — czy mam prawo żądać, by ze względu na mnie przestał cho- dzić? Ja wiem, że to jego największa pasja. Jego żona prze- żywa te wyjazdy w góry podobnie jak ja. Rozmawiałam z nią, uważa, że takiego żądania nie ma prawa mu sta- wiać, że ja też nie mam...

— Czy on ma prawo trzymać mnie i żonę w stanie cią- głego lęku? A jest nadzwyczaj dobry. Po tym wypadku wiele i serdecznie ze mną rozmawiał. Wiedział, na co czekam, ale ani razu nie powiedział, że rezygnuje z chodze- nia. O tym nie było mowy. Dziś jest już zupełnie zdrowy, więc z lękiem czekamy. Ale nie wiem, czy mam prawo ża- dać, czy nie?

Powiedziałem, że nie ma prawa żądać, że to przekra- cza granice obowiązków wynikających ze sprawiedliwości, tego zaś, co wynika z miłości, nie można żądać. Można się spodziewać... Ale czy na pewno tak?...

Jadalnia schroniska jest pełna ludzi. Przeważają bar- dzo młodzi ludzie z bardzo rzadkimi brodami *in spe*, dłu- gości około dwu centymetrów. Choć mieszkają w schroni- sku lub tuż obok, w sąsiednim budynku, przychodzą do ja- dalni w ciężkich, taternickich buciskach, flanelowych ko- szulach grubych skarpetach, czasem w swetrach, mimo

panującego skwaru. Zamiast pasków do spodni używają taternickich pętli, co wygląda niewątpliwie bardzo bojowo.

W przyczepionej na sznurku obok drzwi do schroniska „Książce wyjść”, która ma w razie ewentualnej akcji ratunkowej dostarczyć koniecznych informacji, wpisują w rubryce „droga powrotu”: „normalną drogą” w rubryce „godzina wyjścia”: jedenasta, dwunasta, nawet czternasta. Ktoś z GOPR-u nie wytrzymał i napisał dużymi literami przez całą stronę: że „normalna” to nie nie znaczy, bo na kilka możliwych, którą uznać za normalną? — wychodzenie zaś o tak późnych godzinach jest lekkomyślnym narażaniem się i że to sprzeczne z zasadami oraz że o takim stylu chodzenia będą zawiadamiane zainteresowane koła Klubu Wysokogórskiego.

Powszechnie wiadomo, że nie są rzadkością wypadki zabierania jako partnera na wspinaczkę przez ludzi, którzy sami dopiero zaczynają chodzić, osób zupełnie „zielonych”.

Kiedyś wieczorem w tejże jadalni podszedł do mnie chłopczek lat osiemnastu — dwudziestu (jak się potem okazało, z niewielkim stażem taternickim) i poprosił o pożyczanie na chwilę przewodnika Paryskiego, który trzymałem w ręku. Po kilkunastu minutach zwrócił mi książkę. Zapytany, gdzie się wybiera, wymienił poważną, dość skomplikowaną drogę o skali częściowo nadzwyczaj trudnej. Kiedy zapytaliśmy, czy przepisał sobie opis drogi, powiedział, że mniej więcej zapamiętał.

Dopiero po dłuższym namawianiu, by jednak przepisał sobie, bo w razie — dajmy na to — mgły będzie zdany wyłącznie na teoretyczną znajomość terenu, niezupełnie zdaje się przekonany, wziął jeszcze raz przewodnik i zrobił notatki.

Bonatti we wstępie do swojej książki zaprzecza twierdzeniom, że „alpiniści zaślubili śmierć”, że alpinizm jest równoznaczny z szaloną lekkomyślnością itp. Tak nie jest tylko wtedy — pisze — „jeśli idzie się w góry po sumiennym przygotowaniu i jeśli przestrzega się odpowiednich zasad ostrożności...” Napisał to człowiek, który wielokrotnie stwierdza, że tylko drobiazgowa znajomość topografii uratowała mu życie, któremu w samotnych wspinaczkach wiele godzin pochłonął czaso- i pracochłonny system autoasekuracji, który umiał wielokrotnie wycofywać się, nawet spod samego niemal szczytu, kiedy zaszła tego potrze-

ba, jak w przypadku wyprawy na Gerro Torre w Kordylierach Patagońskich w 1958 roku.

Psychologowie i psychiatrzy łamią sobie głowę nad rozszyfrowaniem tej dziwnej siły, która pcha ludzi na wspinaczkę. Jest wiele na ten temat teorii. Jakiś amerykański psychiatra na przykład dopatruje się w tym utajonego kompleksu winy... Bonatti pisze: wspinaczka „jest przede wszystkim walką i wewnętrznym zmaganiem, głębokim przeżyciem duchowym, którego wspaniałym i doskonałym tłem są góry. Dlatego alpinista godzi się na trud, cierpienie, niedostatek, które niemal zawsze towarzyszą mu w drodze na szczyt, jako na warunki hartujące jego siłę i charakter. Poza tym w atmosferze walki, w obliczu trudności, nieznanego, tysiąca niebezpieczeństw, jakie kryją w sobie góry, alpinista okazuje się takim, jaki jest naprawdę, odkrywając z bezlitosną szczerością przed sobą i innymi swoje wady i zalety...”

Czy człowiek ma do tego prawo? Wiele jest rzeczy, do których mamy prawo. Nasze prawa jednak nie są jedynymi prawami na świecie. Myśląc tylko o swoich, można nie zauważyć, że narusza się cudze, nawet tak subtelne, jak te wynikające z miłości. A jeśli bronię praw tatarnictwa, to tatarnictwa z zachowaniem zasad. Wszystkich.

HISTORIA, KTÓRA MOGŁA SIĘ NIE WYDARZYĆ

To dziwne, że można tak stać i patrzeć na dom, i wiedzieć, że tego domu już nie ma. Nie ma go, choć stoi przed tobą jeszcze niezupełnie wykończony, z oknami pięterka zabitymi deskami, z poszarzałymi firankami, które widzisz przez dawno nie myte szyby; stoi dobrze, po gospodarsku pomyślany, z garażem, do którego prowadzi wygodny wjazd, ze schowkiem pod schodami, z obszernymi suterrenami, których okna zabezpieczono kratami z mocnego płaskownika. Koło domu bujnie rośnie trawa, a dalej buduje się nowe osiedle szarych bloków mieszkalnych, bo dzielnica, choć położona daleko od centrum miasta, rozwija się i ma przed sobą wielką przyszłość. A ten dom z nieotylnkowanymi, ceglanyimi ścianami ma teraz tylko przeszłość. Ta przeszłość staje przede mną, kiedy patrzę na zasnutę pajęczynami okna i chodzę zarośniętymi ścieżkami wokół domu.

Wiem, oczywiście, że kiedyś ktoś tu znów zamieszka. Może Halina wyjdzie za mąż. Widziałem ją niedawno w mojej dzielnicy. Szła z chłopakiem pod rękę. Wyglądali na zakochanych. A może dom zostanie sprzedany i wybitą szybę w wejściowych drzwiach wprawi ktoś, kto nie będzie nic wiedział o tamtych strasznych wypadkach. Tak czy inaczej, to już nie będzie ten sam dom. Myśl, która przyświecała budowie garażu i składziku pod schodami, pokoi, korytarza, piwnic, urwała się, nim zdążyła przyoblec ostateczny kształt wykończonego domu. A przecież jeśli ludzie stawiają dom, to znaczy, że chcą dalej żyć, że żyją wychyleni ku przyszłości.

I tu mogła być przyszłość. Dobra, jasna. Bo historia, którą opowiadam, jest historią niepotrzebnej tragedii.

Mówi Elżbieta, lat czternaście:

— Dnia poprzedzającego wypadek rodzice wrócili późno wieczorem. Wysłałam do sieni otworzyć im drzwi. Pierwsza weszła mama, za nią szedł ojciec. Przeklinał matkę. W pewnym momencie przycisnął ją do ściany, chwycił za szyję i zaczął dusić. Wciąż przeklinał, odgrażał się, że ją zabije, bo była na niego w milicji. Mama krzy-

czala i wtedy nadbiegła moja siostra, ma siedemnaście lat. Wybiegła ona na ganek i wzywała pomocy, ale było już późno, nikt się nie zjawił. Szarpanina trwała nadal. Wtedy otworzyłam drzwi i wypchnęliśmy ojca na pole. Czy był pijany? Chyba nie, w każdym razie nie bardzo, no, tyle, że dałyśmy mu radę. Zamknąwszy drzwi poszliśmy z mamą do pokoju. Pokój też zamknęliśmy na klucz. Wtedy rozległ się brzęk. To ojciec wybił szybę w drzwiach wejściowych i otworzył drzwi kluczem, który był od wewnątrz. Z pokoju słyszałyśmy, że tato schodzi do piwnicy, skąd przynosi siekiere. Słysząc było, jak w pokoju obok stawia ją opierając o ścianę.

Halina:

— Kiedy usłyszałam charakterystyczny brzęk siekiery stawianej w sąsiednim pokoju i zgrzyt klucza, powiedziałam do mamy: on na pewno siekiere przyniósł, na co mama odpowiedziała, żebyśmy bzdur nie opowiadały i spały.

Rano o 5,30 obudziła je matka. Była ubrana do wyjścia. Poszła do kuchni po zapasowe klucze. Wyjście na ganek było zamknięte i klucza w zamku nie było.

Halina:

— Stojąc przed lustrem zobaczyłam przez otwarte drzwi wychodzącego z pokoju ojca. Był w spodenkach gimnastycznych i koszuli. Szedł bezszelestnie, boso. W rękach trzymał siekiere. Czułam, że nastąpi coś złego. Nie byłam zdolna się ruszyć. Wtedy Elżbietka zawołała do mamy, by uważała, bo ojciec idzie z siekiere.

Dalsze wypadki toczą się szybko. Młodsza córka biegnie za ojcem do kuchni. Widzi go, jak stoi z siekiere nad matką, która myje ręce w zmywaku. Zawraca i sprowadza siostrę. Nikt nic nie mówi. Wszystko odbywa się w zupełnym milczeniu.

Halina:

— Kiedy wpadłam do kuchni, ojciec stał nad matką z siekiere w ręku. Po chwili matka jakoś się wyswobodziła i szła w kierunku kredensu. Wtedy chwyciłam maszynkę gazową i rzuciłam nią w ojca. Dostał w głowę. Zachwiał się, lecz zdążył jeszcze zamachnąć się siekiere i uderzył matkę obuchem w okolice skroni. Rozglądałam się, czym tu jeszcze w ojca rzucić, kiedy zobaczyłam, że chwieje się i osuwa na ziemię, chyba pod ciężarem matki. Wypadła

mu siekiera. Nie zdążyłam jednak jej chwycić. Ojciec uprzedził mnie. Popatrzył na mnie i na siostrę, wyczułam, że zaraz nas zaatakują. Uciekłam do pokoju, przystawiłam krzesło do okna i wyskoczyłam. Za mną skoczyła moja siostra. Już stojąc na oknie obejrzała się. Ojciec biegł z siekierą. Widziała, że potknął się o zwinięty na podłodze dywan i zatrzymał na chwilę. Wtedy skoczyła.

Nadbiegła pomoc. Robotnicy idący do pracy otoczyli dom, żeby nie można było zeń uciec. Nadjechała milicja, pogotowie. Wyważono drzwi.

Halina:

— Zobaczyłam mamę w kuchni na podłodze. Nachyliłam się. Była zmasakrowana (siedem tłuczonych ran — przyp. mój). Wtedy był przykry moment. Usłyszałam charknięcie i zauważyłam ciało ojca. Leżał pokrwawiony. Dobięgam do niego i zaczęłam kopać go po twarzy. Ojciec poruszał oczyma, ale nic nie mówił. Widziałam, że krwawił z lewej ręki.

*

Tęga kobieta podnosi się znad rabatek. Po deszczu róże wyglądają ślicznie. Kobieta wyciera w fartuch ręce ubrudzone ziemią. Patrzy w stronę sąsiedniego, cichego domu. — Tak, proszę pana, bardzo byliśmy tu wszyscy zaskoczeni. Bliżej to ja ich nie znałam. Dzień dobry, dzień dobry, i tyle. Kiedyś byli u nas. Zawsze chodzili razem, zgodnie, ładnie ubrani... A jej to szkoda. Dobra była kobieta. Jego też szkoda... Jak on mógł?... Bo i u nas różnie bywa, jak to w małżeństwie, pan wie, ale mój mąż wtedy powiedział, że on by nigdy czegoś takiego nie zrobił...

Na korytarzu w gmachu sądu podszedł do mnie mężczyzna. Znałem go z sali rozpraw. To był ktoś z rodziny zamordowanej. Reagował impulsywnie. Wybiegał ostentacyjnie z sali, czasem głośno protestował. Powiada do mnie: — Panie, czego oni z nim tak się cackają? Zabił czy nie zabił? Nad czym jeszcze tu się zastanawiać?...

A jednak...

Sześć dni trwała rozprawa, przesłuchano ogromną ilość świadków przedtem przeprowadzono wszystkie możliwe badania lekarskie i psychiatryczne.

Ludzie zeznawali niechętnie. Słyszało się o jakichś pogroźkach. Byli tacy, którzy w czasie zeznań plakali. Czasem z sali dobiegało uciszanie. Krewniacy uciszali zeznającego: — Tss... Po co o tych rzeczach mówić? Czuło się, że rodzina zmarłej to mocny klan. Niemal wszyscy z branży mięsnej. Jakaś kobieta zeznając rozplakała się: — „Bałam się, wysoki sędzie, zresztą w ogóle boję się zakończenia tej sprawy i na myśl o wyjściu na wolność oskarżonego (mówi o nim „pan”) doznaję lęku. Boję się bardzo.” Ale większość obecnych na sali to krewni zamordowanej. Czują dążenie do tego, by zeznania wypadły jak najbardziej obciążająco. Widać to także w zeznaniach starszej córki. Sędzia usiłuje ten front przełamać.

Oskarżony. Wątpy mężczyzna ze spadającym na oczy kosmykiem włosów. Słucha uważnie, niespokojnie. Czasem zrywa się, zadaje jakieś pytanie, stawia zarzuty, nieraz zupełnie nieprawdopodobne, czasem usiłuje złorzeczyć: „Życzę ci, żebyś całe życie...” — sąd mu przerywa. Siada zrezygnowany, by za chwilę znów się zerwać, szeptać do ucha obrońcy, protestować, pytać.

Pochodzi z wioski w Białostockiem. W domu było ich siedmioro. On jest piątym dzieckiem. Rodziców miał dobrych, spokojnych, zapracowanych. Dzieciństwo wspomina jako „nie za bardzo dobre”. „Bo była bieda” — wyjaśnia. Wspomina jakieś kłopoty w szkole. Stronił od kolegów. Nie pamięta, by miał przyjaciół. Po ukończeniu siedmiu klas przenosi się do siostry, do niedalekiego miasteczka. Tam uczy się u szwagra zawodu rzeźnickiego. Potem pracuje jako rzeźnik w Szczecinie, później jako robotnik w „Mostostalu”. Wysłany przez firmę do miasta na drugim końcu Polski spotyka tam swą przyszłą żonę. Biorą ślub po krótkiej znajomości. Żona pracuje w zakładach mięsnych. I on przenosi się do zakładów. Najpierw jest zatrudniony jako robotnik, później, kiedy ukończył kurs szoferski — jako kierowca. Potem zmienia ustawicznie miejsca pracy. Jakiś czas jeździ taksówką. Żona jest ekspedientką, później kierowniczką w sklepie mięsnym. Początkowo mieszkają u teściów. Podejmują budowę własnego domu, jednego z bogatszych gospodarzy we wsi. On sam go domu, do którego wprowadzają się trzy lata przed zabójstwem. Rodzina, do której wszedł, jest bogata. Powszechnie wiadomo, że dom budowany jest głównie z pieniędzy

do małżeństwa wniósł jedynie świadomość swego „lepszego” pochodzenia. Takie jak on nazwisko nosi rodzina hrabiowska, on sam pochodzi ze szlachty zagrodowej. Żona była kobietą energiczną, umiała dobrze organizować życie i była rzeczywistą głową rodziny. Ona wypłacała robotnikom, ona kupiła mężowi futro z piżmaków i złoty zegarek, ona zajmowała się wychowaniem i wyposażeniem córek, ona chodziła na wywiadówki. W pracy miała dobrą pozycję, posuwała się w hierarchii stanowisk, nie zmieniała pracy ani razu. Mąż był raczej niedorajdą. Pił, zmieniał pracę, wpadał co chwila w konflikty z prawem. Był osiem razy karany: wypadek samochodowy, w którym zginął człowiek, znęcanie się nad żoną, nad rodziną, awantury, chuligaństwo. Od kilku lat zdręczał żonę podejrzeniami o zdradę. Śledził ją, denerwował się jej późnymi powrotami do domu. Ostatnia sprawa, zawarta w aktach milicyjnych, to wniesione przez żonę oskarżenie o kradzież kosztowności, które ukrywała w piwnicy. Mąż znikł z domu. Dochodziły wieści, że pije, że szasta pieniędzmi. Przesłał pracować. Wtedy odkryła, że w skrytce brak kosztowności. Wartość ich oceniała na 35 tysięcy złotych. On do tej kradzieży absolutnie się nie przyznaje, lecz nie bardzo umie wyjaśnić pochodzenie pieniędzy. Odnalazł się w dniu poprzedzającym fatalny poranek. To właśnie zgłoszenie na milicję było powodem awantury, kiedy wrócili razem do domu.

Mówi siostra oskarżonego:

— Przyjechałam do brata niedługo po ich ślubie. Tego dnia bratowa wróciła późno. Brat pytał, skąd wróciła. Powiedziała, że była u krawcowej. Wtedy brat się strasznie zdenerwował. Dosłownie zaczął coś mówić do swojej żony, ale tak niewyraźnie, że nie można było zrozumieć.

Kiedyś, już znacznie później, moja była bratowa przyszła do mnie i powiedziała: natychmiast masz się udać i swego brata zabrać sobie do szpitala. Załatwiłam więc wszystko w szpitalu i pojechałam po brata. Umyłam go, leżał w brudnej pościeli, jak nie człowiek, brudny. Umyłam, od tego chyba siostra jest, obcięłam paznokcie u nóg i rąk. Przyjechało pogotowie i zabrało brata do szpitala. Byłam tam przy prześwietleniu, to było silne przeziębienie.

nie płuc. Siostra, która prześwietlała, dziwiła się, że człowiek w takim stanie znajdował się w domu.

Wysoki sędzie. Wiem, że moja bratowa nie żyła zgodnie z mężem. Dlaczego? Dlatego, że mój brat kochał swoją żonę i był o nią bardzo zazdrosny. Oczywiście, że miał powody. Jak najbardziej...

Tu następuje opowieść o różnych znajomych zamordowanej, opowiadanie o faktach, świadczących rzekomo o jej niewierności.

— Wysoki sędzie, ja sobie zdaję sprawę, że mój brat zabił żonę, matkę, kobietę, ale jako mężczyzna nie umiał się bić. Kiedy się żenił ze swoją żoną, był młodym chłopcem nie karanym, wódki nie pił, papierosów nie palił. Dopiero wszystko nastąpiło, kiedy się ożenił. Dlatego, wysoki sędzie, że mój brat pracował jako kierowca i żona ciągle od niego czegoś chciała: a to przewieź drutu, a to piasku, a to żwiru i tak dalej. Jej było zawsze mało pieniędzy. Zaczął się budować jeden brat, drugi brat. Wyraźnie do mnie powiedziała, że nie może zostać w tyle. Wtedy brat spotkał się z nieprzyjemnościami. Za to właśnie siedział.

I dalej opowiada, jak brat z więzienia prosił ją o sprawdzenie wiadomości, jakie otrzymał o żonie. Przytacza sytuacje, które mogą stwarzać podstawy do podejrzeń.

Brat zaczął pić dopiero, kiedy ludzie mu wciąż mówili, że żona go zdradza. Chciałam dać go na leczenie, ale bratowa sprzeciwiła się. Mówiły razem ze starszą córką, że co ludzie powiedzą, że wariata z niego zrobili.

Mówi siostra zamordowanej:

— Przez szesnaście lat mieszkaliśmy pod jednym dachem. Jak się ożenił, to przyszedł do nas. Po jednej stronie ja mieszkałam, po drugiej oni z mamą. Klócili się od początku. O co chodziło? Raz jak ojciec do niego przyjechał od Białegostoku, to on przyszedł pijany o jedenastej w nocy. To ojciec mu powiada: dziecko, zmiłuj się, do pijaków pójdiesz. Ale on swoje robił. Pił od samego początku. Przychodził co drugi dzień pijany. Czy się dziećmi interesował? Kiedy poszedł się upić, to dzieci pod domem siedziały. Raz wygrażał siostrze, to wezwałam milicję. Milicja przyjechała, wchodzi, a oni leżą razem na tapczanie.

Kazał jej, że niby takie zgodne małżeństwo. I też bił siostrę. Raz wchodzi, a on ją pięścią bije o, w tę głowę. Ja krzyczę, co tu się dzieje, co wy robicie? Dopiero ta starsza, Halinka, wzięła stołek i ujęła się za matką. On oglądął się za Halinką, a siostra uciekła i poszła do pracy. Raz kiedy siostra była w ciąży, oboje przyszli z pracy i on wziął sagan z wodą. Tata mówi do niego: skądś ty przyszedł? Sam przynieś sobie wody. To on chwycił tate pod gardło. Siostra narobiła krzyk, kwik, ja przyleciałam, brat Jasiek i my dopiero go wyciągli do pokoju do siostry. Siostra go za głowę, a on cały dygotał. Siostra go głaśka po głowie, czule po imieniu przemawia, a on cukier ze stołu na podłogę — chrust, kasetkę z golidłami — chrust, mięso — chrust. Wszystko, wszystko. Jedna miazga. Czy był pijany, wtedy nie pamiętam, ale pewnie był. On awantury robił zresztą, czy był pijany, czy trzeźwy. Żeby siostrze zarzucał zdradę, nigdy nie słyszałam. W ich domu byłam dwa razy. Ale raz przychodzi do mnie Halinka i powiada: ciociu, u nas jest taka maltretacja. Tata codziennie przychodzi pijany i oświadczył, że mnie musi porąbać. A ja na to: co ty dziecko mówisz, jak on cię może porąbać?... A co do siostry, to nikt do niej nigdy nie przychodził. Kiedy mąż siedział w więzieniu, to nawet jeszcze wcześniej wracała do domu. Żeby takie historie... nie, nigdy na świecie.

Zeznają koledzy oskarżonego. Tacy kumple od kieliszka. Mówią o tym, jak przyprowadzali do domu pijanego, jak go żona nie chciała wpuścić do domu, jak biła, a potem leżącego kopała, jak sekundowała jej w tym starsza córka (młodsza płakała widząc żalorny stan ojca). Ta młodsza, mówią znajomkowie, to była nawet za ojcem. On ją bardzo lubił, nazywał Kajtusiem.

Zeznają znajomi jednej i drugiej strony. Opowiadają, jak ona ciemnymi okularami zasłaniała podbite przez męża oko, jak na niego się użalała, drudzy mówią, jak on pokazywał posiniaczone plecy mówiąc, że to żona z córkami tak go urządziły. Mówią sąsiedzi o krzykach, jakie nieraz słyszeli, o wzywaniu milicji, mówią o późnym wracaniu żony, która prosiła przygodnych znajomych, by z nią weszli razem do domu, bo obawia się reakcji męża, mówią, jak on wyczekiwał na żonę przed domem, jak odrzuciła

kiedyś jego pomoc, kiedy chciał pomóc nieść dwie ciężkie teczki, które dźwigała od tramwaju. Pracownica mięsnego sklepu reznaje, że do jej obowiązków ustalonych raz na zawsze należało chowanie odważników i noży, kiedy mąż pani kierowniczkii odwiedzał sklep.

A oskarżony? W czasie badania psychiatrycznego uważa się nad sobą:

— Córki były źle nastawione do mnie. Wszystko to przez matkę. Odnosiły się tak, jak żona się odnosiła. Żona, kiedy jej zabrakło pieniędzy, posyłała mnie: idź do inżyniera, pożycz. Pożyczałem, a żona potem: idź ty, Ukraincze, ty dziadu, nic tu nie masz, wszystko moje. Wróciłem do domu, to im nieraz placków tartych utarłem. Dziś nic, tylko pijak, pijak! Niech ich Bóg pokarze za moją krzywdę, którą oni mi zrobili wcześniej. Człowiek nie powinien tutaj być, człowiek powinien pracować, żyć. Mojej winy może troszkę było, może to, że wódkę piłem. Poza tym żadnej mojej winy nie było. Chciała mnie skończyć, to skończyła. Mnie też jej żal. Nie wiem, co mi do głowy strzeliło, lepiej było iść w świat, gdzie oczy poniosą...

Psychiatrzy odrzucili ewentualność psychozy. Nie przyjęli urojeń u oskarżonego, przyjęli natomiast jako niewątpliwy chroniczny alkoholizm. Wiele cech charakteru i sposobów zachowania, zwłaszcza pejoratywnych — stwierdzili biegli — odnieść można do przewlekłego alkoholizmu. Do przewlekłego alkoholizmu odnieśli również zmiany, jakie wykazało badanie EEG w mózgu. Biegli wykazali, że oskarżony stale przeżywał poczucie krzywdy i niedowartościowania. Kompensował je czasem aktami agresji i nainwnymi wyobrażeniami o swym rzekomo lepszym pochodzeniu. Wszędzie natrafiał na jednolity front przeciwko sobie. Przyniesienie siekiery, jeśli faktycznie miało miejsce, mogło być manifestacją, próbą szantażu. Takie historie (między innymi z nożem) zdarzały się już uprzednio. Wiedziała o tym żona, która nawet na ostrzeżenie córki nie zareagowała, myjąc spokojnie ręce pod kranem.

Biegli przyjęli, obszernie rzecz dokumentując, że oskarżony działał w stanie bardzo silnego spiętrzenia afektywnego. Znajdując się w bardzo trudnej sytuacji, wobec perspektywy jeszcze jednego pobytu w więzieniu, w poczuciu krzywdy i bezsilności mógł myśleć o zabiciu

żony. Od zamiaru do czynu, i to takiego, jest jednak daleka droga. Z dokumentacji lekarskiej wiadomo, że zadał żonie siedem gwałtownych ciosów, a następnie usiłował siebie pozbawić życia przez głębokie nacięcie lewego przedramienia (uszkodzenie tętnicy i ścięgna). Ślady krwi niemal we wszystkich pokojach przemawiają za niepokojem ruchowym. Biegli uznali znaczne ograniczenie zdolności rozumienia czynu i możliwości kierowania swoim postępowaniem u oskarżonego w chwili popełniania przestępstwa.

Sąd uznał okoliczności wskazane przez biegłych za łagodzące i skazał oskarżonego na trzynaście lat więzienia.

Powiedziałem na wstępie, że historia ta mogła się nie wydarzyć. I tu można zacząć wymieniać różne „gdyby”.

Halina w śledztwie powiedziała, że gdyby matka nie wybaczyła ostatniego wypadku znęcania się nad rodziną, ojciec by siedział i wszystko byłoby dobrze. Ale — powiada Halina — matka czasem była taka dziwna.

Któryś z krewniaków powiedział mi: — Gdyby ona z nim się rozeszła, on zszedłby na psy, ale nie byłoby tej tragedii. Cóż, chodziło jej o dobro córek, no, bo jakże córki rozwodników? I o sprawy majątkowe. No i взгляд religijny.

Biegły, psychiatra, która zajmuje się między innymi rehabilitacją alkoholików: — Gdyby go oddano jednak na leczenie, tak jak chciała siostra, pewnie do tego wszystkiego by nie doszło. Ale na to się nie zgodziły żona i córka.

W oficjalnych zeznaniach mówiono, że chodziło znów o córkę. Kto zechce żenić się z córką człowieka leczonego w szpitalu wariatów? I co ludzie powiedzą, że wariata z niego zrobiła? W prywatnej rozmowie ktoś z jej krewnych wyjaśnił mi, że chodziło także o to, że po takiej kuracji, na „wariackich papierach” będzie mógł robić wszystko i nie będzie na niego sposobu. I jeszcze jedno „gdyby”. Kiedyś pijanego przyprowadzili koledzy do domu i gdy leżącego na progu, nieprzytomnego męża żona z córką zaczęły okładać razami i kopać, kolega, który go przyprowadził, powiedział z właściwą pijakom precyzją: — Proszę pani, to nie jest bydło, to nie jest przedmiot, to nie jest pies. To jest człowiek. Tak nie można.

Bo wytrzymałość psychiczna człowieka ma swoje granice, nawet jeśli sam jest sprawcą zła, którego nie może

unięć. Wreszcie coś się załamuje i poniżony przez siebie i przez wszystkich człowiek zdolny jest do wszystkiego. To nie jest usprawiedliwienie, to tylko jeszcze jedno „gdyby”.

Odchodziłem od pustego domu zarośniętego trawą i myślałem o tym, jak straszliwe wnętrze ukazał on światu. Ale ta straszliwość narastała tam z dnia na dzień, od lat. Ten dom ukazał swe wnętrze. A inne? W ilu narasta jakaś tragedia, sankcjonowana przez najbliższe otoczenie, tuszowana pozorami poprawności przed obcymi, żeby dopiero ostatnim epizodem wstrząsnąć opinię publiczną, wzbudzić sensację, przerażenie — i prawdopodobnie jeszcze raz niczego nie nauczyć?

„Czy są jeszcze jakieś pytania?” Przewodniczący prezyduje w kręgu osób siedzących wokół zestawionych stolików. Kawa, kwiaty — akurat jest Dzień Kobiet...

Młody człowiek, który właśnie otrzymał prawo głosu, mówi, że przed paru dniami spotkał kolegę X. Chodzili razem po mieście, poszli na kawę. X wyszedł ze szpitala zasadniczo wyleczony. Potem załamał się. Teraz znów chodzi (dobrowolnie) do przychodni na Limanowskiego, bierze anticol... Ale X jest w złej sytuacji. Jest sam. — Gdybyś miał więcej czasu — mówił do kolegi — częściej byśmy mogli razem skoczyć gdzieś na kawę, do kina, pogadać. A tak... wszyscy naokoło piją.

Kolega X słuchał uważnie o zebraniach, pracach grupy. Prosił, że jeśli może, to on by chciał też przychodzić, należeć. Czy może?

Przeglądam pierwszy numer wydanego właśnie przez grupę organu. Numer — jak w „stopce” informuje redakcja — wykonany „techniką benedyktyńską”, na maszynie do pisania i ręcznie zdobiony, jest świetny. Znać znajomość sztuki dziennikarskiej. Przeglądam jednak numer zwłaszcza dlatego, by jak najmniej krępować tych, którzy mówią. Bo mówią przeważnie o sobie i to w ten sposób, w jaki mówi się wśród przyjaciół, gdzie nie ma potrzeby udawania, gdzie wszyscy znają swoje słabości, nikt nie dziwi się niczemu, a sukces jednego inni uważają za wspólne dobro.

Kobierzyn, szpital-przystań, często jedyna nadzieja dla człowieka, który nie miał siły unieść swego losu, dla którego utrzymanie wewnętrznej równowagi okazało się ponad siły. Kobierzyn — nazwa budząca na dumnych gębach głupi uśmiech, ale też u wielu uczucie wdzięczności.

Oddział VIIa — rehabilitacyjny. Grupa urzędowo nazywa się grupą psychoterapii społecznej. Sympatyczni panowie wokół zsuniętych stolików z kawą i ciastkami, to ludzie, których wódka wyrzuciła za nawias normalnego życia. Teraz odbywają trudną drogę powrotną — jak ktoś tu powiedział — na drugi brzeg...

Oddział rehabilitacyjny to nie tylko oni — oni są tu

niemal gośćmi. Niezależnie bowiem od tej grupy istnieje w Kobierzynie regularny oddział odwykowy. Doktor Madejska, z której inicjatywy powstała grupa, wyjaśnia: chodzi o to, by dotrzeć tam, gdzie jest przyczyna nałogu, i o to także, by wychodzącego zabezpieczyć przed załamaniem.

Na zebranie dzisiejsze — i tak jest w każdy czwartek — zaproszeni są goście: stąd panie, żony członków grupy. Zaprasza się czasem kogoś z rady zakładowej itp. zainteresowanych. Drugie spotkanie, bez gości, odbywa się też co tydzień.

Przewodniczący kolejno udziela głosu wszystkim uczestnikom kręgu. Zaczynam stopniowo rozumieć. To oni są dla siebie nawzajem lekarzami. Nikomu tu nie wystarczy, że sam przedostał się na drugi brzeg. „Nikt nie jest samotną wyspą”. Przynajmniej tu. Część grupy to pacjenci, którzy wyszli — ale na każde spotkanie przyjeżdżają z Krakowa lub spoza miasta. Reszta — to przebywający obecnie w szpitalu regularni pacjenci VII a. Kto jest kto — nie rozróżnisz.

Mówi pan z wąsikami. Czuje się dobrze, jakoś się trzyma, zażywa co ma zażywać, przy świadku. I jeszcze chce dodać, że trudno spotkać takich dobrych ludzi, jakich tu spotkał, takich, którzy zajęliby się człowiekiem, zaopiekowali.

Lekarka krótko relacjonuje mi sprawę pana z wąsikiem. Właściwie powinien jeszcze być w szpitalu, ale drugi pacjent, już zwolniony, właściciel dużego gospodarstwa, przyjął go do swego domu.

Mówi żona gospodarza (przyjechali we troje szarą „warszawą”, która minęła mnie w bramie zakładu): — Trzymają się obaj dobrze, a mąż czasem robi takie wieczorne „posiaduszki”. Mnie też każe siedzieć. Rozmawiamy wtedy o tych właśnie sprawach.

Mówi gospodarz: — On u nas może zostać, jak długo zechce. Pracy jest dość (oczywiście nadal za pracę będą płacił), a jego to już uważamy za członka rodziny.

Mówi pani doktor: — Nie zgadzam się z tym, żeby został u was. On musi wrócić do domu, ma żonę, dzieci. Musi wrócić do normalnej pracy.

I jeszcze wyjaśnienie dla mnie, niezorientowanego, że wypuszcza się ze szpitala dopiero wtedy, gdy wychodzący

ma zapewnioną pracę. Powstał „łańcuch ludzi dobrej woli” — ludzi, którzy pomagają w jej znalezieniu. To jest ważne. Inaczej katastrofa niemal pewna.

Mówią inni. Kogoś bolała głowa. Ktoś nie może spać, ktoś inny był na imieninach — nie pił. Każdy ma prawo pytać mówiącego. Więc pytają: nie ciągnęło pana? czy w pracy nie idzie gorzej? co pan robi z wolnym czasem? Ktoś mówi o dawnym członku grupy, którego małżeństwo „rozleciało się” — ale znów się zeszli po wyleczeniu męża. Więc wniosek: zaprosić oboje na najbliższe spotkanie. I zaraz dyskusja schodzi na tych, którzy „wymknęli się bezszmerowo”. Jak ich odzyskać?

Tu mur niemal nie do przebicia; jeśli rodzina nie wyśtąpi o przymusowe leczenie... Może jeszcze rada zakładowa — droga sądowa...

Stopniowo odkrywam mechanizmy działające w tej niezwykłej społeczności. Dr Madejska mówiła mi kiedyś, że psychoterapia polega właściwie tylko na gadaniu. Ale istnieje gadanie i gadanie. Ludzie ci zobaczyli, że nie mogą być sami, że samotność i pustka to powrót do tego, od czego chcą odejść. A więc muszą być razem. Budują „grupę”, która jest otwarta tak dla tych, którzy aktualnie są w szpitalu, jak i dla tych, co wyszli. Myślą o założeniu klubu w mieście, żeby było bliżej. Myślą jeden o drugim. Na zebraniu rozmawiało się bardzo rzeczowo. Nikt nie mówił wzniosłych słów — a wszystko to było... wzniosłe. Bo terapia ta stawia na „lepszą część” w człowieku. Cała organizacja wzajemnej pomocy ma na celu podparcie „chcenia”, które jest silniejsze od nałogu. I najwspanialsze, że to daje rezultaty. Mówili serdecznie o dr Madejskiej, że gdyby nie ona — to nic by z tego wszystkiego nie było. Lekarka broniła się: to oni są ważni — ona jest tylko członkiem grupy. Z dumą mówili, że kiedy z oddziału odwykowego dziesięciu wychodzi na przepustkę — pięciu wraca pijanych; a od nich dziesięciu wraca trzeźwych. A najserdeczniej mówili o tym, że człowiek wychodzący ze szpitala nie ma poczucia, że jego los nikogo nie obchodzi: wyszedłeś, cześć, koniec...

Można by jeszcze o organizowaniu wolnego czasu, o wybieczkach, rewiach mody, planowanej „sesji wyjazdowej” grupy — o współpracy z radami zakładowymi i innymi ludźmi dobrej woli.

Można — ale najważniejsze jest to, że tu nikt nie jest samotną wyspą, że znaleźli się drudzy — właśnie ci, którzy byli potrzebni.

I jeszcze na wyraźną prośbę jednego z rozmówców: — Ludzie, zmieńcie swoje myślenie o Kobierzynie i ludziach, którzy wracają „z tamtego brzegu”. Wrócili i są — są bogatsi o doświadczenia drogi powrotnej, często potrzebna im jest pomoc, a łatwo zepchnąć ich z tego brzegu, na który z wielkim trudem wrócili.

Parę lat temu przed jednym z sądów wojewódzkich toczył się proces kilku chłopców. Zastrzelili człowieka — nie dlatego, że mieli coś przeciwko niemu. Tyle, że posiadał rzecz, która akurat była im potrzebna. Nic nie pomogło, że przed fatalnym strzałem zdążył jeszcze krzyknąć: „nie strzelajcie, nic nie mam”. Miał, więc strzelili. Cała historia zresztą była jakimś przerażającym rzutowaniem fantazji na rzeczywistość. Planowali dokładnie ucieczkę skradzionym samochodem, widzieli siebie na wirażach szosy, widzieli mknącą pogoń i siebie ostrzeliwujących się, a nie pomyśleli o tym, że ani jeden z paczki nie umie prowadzić samochodu. Wszystkich chłopców dokładnie badano, poddano ich pilnej obserwacji psychiatrycznej. Biegli, jak doniosła prasa, nie stwierdzili podstaw do zastosowania artykułów 17 lub 18 kk, które odwołują się do całkowitej lub częściowej niezdolności rozumienia popełnionych czynów oraz zdolności kierowania nimi. Racją, dla której nie zastosowano najsurowszego wymiaru kary, było co innego. Wszyscy chłopcy należący do owej grupy przestępczej mieli w zasadzie podobną sytuację rodzinną. Ojcowie: błyskawiczne kariery z dość średnich pozycji społecznych. W nowej sytuacji żonom daje się do zrozumienia, że stanowią rodzaj kompromitującego balastu. W kilku przypadkach pojawiają się inne, „odpowiednie do nowej pozycji” kobiety. Żony odpłacają za pogardliwy stosunek mężów podobną monetą, traktują mężów jako cwaniaków. Awantury, sceny zazdrości itd.

Narodowe Stowarzyszenie Zdrowia Psychicznego w Stanach Zjednoczonych sformułowało krótko najistotniejsze potrzeby dziecka w okresie jego rozwoju. Dzieci potrzebują przede wszystkim miłości. Każde dziecko musi odczuwać, że rodzice cieszą się nim, że jest „chciane”, że jest dla kogoś bardzo ważne, że ma koło siebie ludzi, których bardzo obchodzi to, co się z nim dzieje. Akceptacji: dziecku potrzebna jest wiara, że rodzice je lubią takim, jakie jest, bezinteresownie, nie tylko wtedy, gdy postępuje zgodnie z ich poglądami na to, jakie „powinno być”. Dziecko musi mieć przeświadczenie, że jest lubiane zawsze,

także wtedy, gdy dorosli nie aprobują jakiegos jego czynu czy zachowania, i że nie potrzebuje obawiać się czy tłumić niczego, co jest w nim „inne”, jego własne. **Ochrony:** dziecko musi czuć, że rodzice zapewniają mu bezpieczeństwo, że w sytuacjach trudnych, budzących obawę, zawsze gotowi są mu pomóc. **Niezależności:** dziecku potrzebna jest świadomość, że rodzice chcą by dorosło, że aprobują jego próby mierzenia się z coraz to nowymi sytuacjami, że wierzą w jego zdolności dania sobie rady samodzielnie i na własną rękę. **Wiary:** każde dziecko potrzebuje zespołu norm moralnych, według których ma się żyć. **Kierunku:** dziecku potrzebna jest pomoc i przyjacielska rada w przyswajaniu sobie sztuki postępowania z rzeczami i ludźmi. Wzorem tej sztuki jest dla niego stale postępowanie rodziców. **Dozoru:** każde dziecko musi widzieć, że istnieją granice tego, co mu wolno robić i że rodzice stale utrzymują je wewnątrz tych granic.

Analizując problemy chuligaństwa, przestępczości nieletnich itp. w tzw. dołach społecznych, Czesław Czapów i Stanisław Manturzewski w książce *Niebezpieczne ulice* pisali za wiedeńskim autorem prof. Baumgärtelem: „Warunki współczesnego życia coraz bardziej redukują do minimum możliwości oddziaływania środowiska rodzinnego na dziecko, choćby tylko z powodu zawodowej pracy rodziców. Należy się więc natychmiast zająć rozbudową przedszkoli, świetlic, szkół i kolonii wakacyjnych. Równocześnie jednak utworzenie poradni dla rodziców i wychowawców jest życiową koniecznością... Cokolwiek dziś oszczędzi się w tej dziedzinie, po kilku latach będzie kosztowało stokrotnie więcej.”

Jeśli się uświadomi jak dalece wszyscy rodzice są w tej dziedzinie samoukami, stosującymi w różny sposób te metody, jakimi sami byli wychowywani, oraz złożoność sprawy, trudno się nie zgodzić ze wspomnianymi autorami, kiedy stwierdzają: „Psychologa i pedagoga należy — naszym zdaniem — wzywać równie śpiesznie, jak wzywa się lekarza, gdy grozi komuś śmierć lub kalectwo. I rzecz jasna, muszą być tacy psychologowie i pedagodzy, którzy na to wezwanie zareagują”.

To było pisane w 1960 roku. Jak sytuacja wygląda dziś, o tym warto porozmawiać z psychologami i pedagogami, choćby z tymi, którzy pracują w poradniach.

Kraków żyje sprawą Kota. W Sądzie Wojewódzkim toczy się proces. Oskarżony, po bokach milicjanci z paskami pod brodą, prokuratorzy, obrońcy, powództwo cywilne, biegli, pełne ławy prasowe, sala nabita po brzegi, a przed gmachem sądu stale grupki ludzi, których milicjanci przepędzają tak, że tłumek gromadzi się dalej, aż u wylotu Senackiej.

6 maja Sąd zakończył przesłuchiwanie oskarżonego. Wcześniej w ciągu długiego śledztwa zebrano wiele materiałów. Lista świadków zawiera 69 nazwisk; akta sprawy to kilka opasłych tomów. Przez kilka dni trwały zeznania Karola Kota, który odpowiadał na setki pytań sędziów, prokuratorów, obrońców, pełnomocników, stron poszkodowanych i biegłych.

Historia w zasadzie zaczyna się wtedy, gdy Karol Kot ma lat piętnaście (obecnie ma dwadzieścia jeden). Będąc na wakacjach w Lubniu, chodził (w ciągu miesiąca był sześć do ośmiu razy) do odległej o sześć kilometrów rzeźni w Pcimiu. Tam przyglądał się zabijaniu zwierząt, pił krew. Mówi: — fascynował mnie sam moment zabijania. Może i widok krwi... Na pytanie, czy ćwiartowanie zabitego bydła robiło na nim wrażenie, odpowiada, że nie: „przecież to było martwe”. Agonia zwierząt też go nie interesowała. Nigdy nie studiował specjalnie układu nerwowego, nie ciekawiło go, gdzie są miejsca szczególnie wrażliwe na ból. Fascynuje go jedynie — jak mówi — układ krwionośny i serce.

Na pytanie, czy pamięta wcześniejsze fakty, które ujawniły w nim te dziwne fascynacje, opowiada po długim zastanowieniu, że gdy miał sześć — siedem lat, widział, jak koło rzeźni miejskiej przeganiano przeznaczzone na ubój prosiaki... „i one tak kwiczały”.

— No tak, ale tam krwi nie było.

— Nie.

— Więc co?

— No, ten kwik prosiaków... To nie było przyjemne...

Potem było znęcanie się nad zwierzętami. Sąd zebrał sporą ilość faktów, siostrzyczka z wakacji pisze do domu:

„Lolek dziś znów zbił mnie i koty”. Przebijanie żab, kre-
tów, pomoc w zarzynaniu drobiu, w uboju cielaka (miał
wtedy piętnaście lat) itd. O wszystkich tych historiach
Kot opowiada dokładnie, czasem gestem pokazuje sposób
wbijania noża. Kiedy jako kilkunastoletni chłopak brał
udział w ćwiartowaniu konia, wysmarował sobie krwią
ręce do łokci. Sędzia: Czy to sprawiło oskarżonemu przy-
jemność? Oskarżony: — Oczywiście.

Dalsze etapy: podpalanie budynków, zamachy z nożem
na ludzi, przygotowywanie i podkładanie trucizn, potem
znów powrót do noża. W międzyczasie planowanie (i tylko
planowanie) orgii erotyczno-sadystycznych (o czym zezna-
wał przy drzwiach zamkniętych).

— Czy podpalając oskarżony chciał, żeby spalili się lu-
dzie?

— Niekoniecznie. Chodziło mi o to, żeby niszczyć. O lu-
dzi raczej nie.

— A gdyby się spalili i ludzie?

— To by się spalili.

Po podpaleniu kilka chwil patrzył w płomień, po czym
wybiegał przed budynek, czekając na rozszerzenie się po-
żaru (nigdy zresztą do tego nie doszło).

Dużo energii wkładał w preparowanie trucizn. To spra-
wiało mu przyjemność. Najpierw eksperymentował małymi
dawkami na koledze i na sobie, żeby wiedzieć, jakie doz-
nania ma człowiek otruty (sędzia: — A gdyby organizm
kolegi okazał się za mało odporny albo dawka za duża?
Kot: — Umarłby i już).

Potem zużytkowuje przygotowane trucizny podrzuca-
jąc je w butelkach z piwem na klatkach schodowych, wsy-
pując do butelek z napojami rozstawionych na stolikach
w restauracjach itp. Obok przygotowywania, przyjemność
i odprężenie znajduje w wyobrażaniu sobie skutków tego,
co zrobił. Między innymi zostawił truciznę (w butelce
z porterem) u swojej koleżanki E. — Czy wiedział, że E.
lubi porter? — Nie. — Czy wiedział, że otruje właśnie
E.? — Nie. — Czy oskarżony wolałby, żeby truciznę wy-
piła E.? — Oczywiście. — A jeśli ktoś inny? — Jeśli ktoś
inny ... to trudno.

Ani z E., ani z jej rodziną nie był skłócony. E. raczej
lubił.

Historia z nożem: ze starannie i z pasją kolekcjonowa-

nego zbioru noży („po prosu lubię kolekcjonować”) do zabijania wybierał nóż według kryteriów estetycznych. Na pytanie, co decydowało o wyborze tego czy innego noża, odpowiada: — Przede wszystkim to, że był ładny. Ale i to, że przydatny też. Zewnętrznie one bardzo ładnie były zbudowane i były solidne.

Wewnętrzna konieczność zabijania, zadawania bólu była coraz głębsza. (Twierdzi: — Mogłem się powstrzymać, lecz wolałem zabijać). Kiedy sędzia prosi, by powiedział, czy wśród znajomych dziewcząt oprócz siostry i kuzynki, była jakaś (sędzia podkreśla, że nie chodzi mu o nazwisko), która nie wchodziła w zakres morderczych planów... po długim namyśle stwierdza, że chyba nie, w każdym razie nie przypomina sobie. Na pytanie, czemu myślał o zabójstwie dziewczyny X czy Y, odpowiada. — Bo mi się podobała...

Stopniowo z gąszcza zeznań wyłania się obraz człowieka, który w ciągu ostatnich pięciu lat żył we własnym strasznym świecie. Ileż tego jest ... Jeśli nie torturuje zwierząt, to studiuje atlas anatomiczny i podręcznik medycyny sądowej, gdy widzi, że zamachy z nożem mogą być niebezpieczne, przygotowuje i podrzuca trucizny. Kolekcjonuje, przerabia, projektuje noże. Zeszyty pokrywa rysunkami gilotyn, noży, zdeformowanych twarzy, czaszek itp. Chodzi po mieście z nożem w wewnętrznej kieszeni marynarki, zachodzi do kościołów, gdzie modli się — jak mówi — a jednocześnie szuka możliwości zabijania. Nawet jedyna osoba, w stosunku do której jest szczerzy, którą lubi, która okazuje mu niezachwianą życzliwość, jest przedmiotem szczegółowego planu zabójstwa, w którym kwestia ewentualnego dobijania i usunięcia zwłok jest przemyślana z przerażającą precyzją.

Przed budynkiem sądu stoi tłumek ludzi. Na ulicach słyszy się rozmowy. Po co ten proces — tyle trudu! Zabić i już. Powiesić. Krew za krew! Przypominają potworną scenę mordowania jedenastoletniego Leszka, któremu Kot tak długo wymierzał razy nożem, jak długo w dziecku tliła się iskierka życia. Przypominają precyzyjnie przemyślany napad na Małgosię ...

Kiedy nastąpiło nasilenie działalności tajemniczego zabójcy, w Krakowie zapanowała panika. Milicja wzmogła energię, by złapać winnego. Nie dawało to jednak rezul-

tatu. Odkryto go dopiero dzięki dziewczynie. Mówił jej o sobie niemal wszystko. Studentka, koleżanka z sekcji strzeleckiej klubu. Jej opowiadał swoje makabryczne tajemnice, a ona ... nie wierzyła? ... miała nadzieję sprowadzić go ze złej drogi? ... bała się naruszyć zaufanie?...

Napisała do mnie w tym czasie: „Powiedziałam i możliwe, że sprowadziłam na niego karę śmierci, ale przecież nie mogłam nie mówić. Jeżeli bym nie ujawniła, mordowałby dalej... Jego matka jest teraz w szpitalu po szoku nerwowym, jaki ją spotkał. Ona nie wiedziała tego, co ja wiem i zwracała się do mnie jako do jedynej osoby, która może pomóc: «Przecież pani go zna, to dobry chłopiec...» Ciekawa jest reakcja ludzi, którzy go znali dawniej i którym zależało na jego zwolnieniu z więzienia. Teraz wyrzekają się go zupełnie: «morderca, przyniósł wstyd rodzinie i całej sekcji, nie mamy z nim nic wspólnego...» A co znaczy przynieść wstyd? Jak można nie współczuć takiemu człowiekowi?

Usłyszałam kiedyś, że matka zamordowanego przez Karola chłopca odgrażała się, że sama zabiłaby tym nożem matkę, która wychowała takiego mordercę (piszę to, co słyszałam od ludzi), a obie te matki są do siebie podobne...”

Kot zapytany o stany przygnębienia, które towarzyszyły nie doprowadzonym zresztą do skutku zamiarom i poczynaniom samobójczym, prosi, żeby go o to nie pytać: — Po co ktoś ma o tym wiedzieć, to moja prywatna sprawa.

Z aktu oskarżenia: „W wyniku trwających 3 miesiące badań biegli psychiatrzy, w osobach dyrektora szpitala lek. med. Andrzeja Różyckiego i ordynatora tegoż szpitala dr med. Zdzisławy Truszczyńskiej, wydali obszerną, uzasadnioną opinię, w świetle której Karol Kot jest wprawdzie osobnikiem o nieprawidłowych cechach osobowości, jednak nie stwierdzono u niego choroby psychicznej, niedorozwoju umysłowego lub innych zakłóceń czynności psychicznych. W związku z tym — zdaniem biegłych — Karol Kot był, zarówno w chwili wykonywania zarzuconych mu czynów, jak i obecnie, w pełni poczytalny.

W tym stanie sprawy zachodzą pełne podstawy do przyjęcia, że Karol Kot jest całkiem odpowiedzialny za popełnione czyny, które wyczerpuje znamiona zarzuconych mu aktem oskarżenia przestępstw (...) Niespotykany zakres

i charakter zbrodniczej działalności Karola Kota stwarzają niezwykle groźną sytuację dla bezpieczeństwa publicznego — w pełni uzasadnione zastosowanie w stosunku do niego szczególnie surowej represji.”

Rozmawiam z psychiatrą dr M., która zna dokładnie materiały z przeprowadzonych obserwacji. Jest do nich ustosunkowana krytycznie. Podnosi wartość ogromnego materiału faktograficznego — krytykuje niejasności opinii. Wyjaśnia: wszyscy muszą się zgodzić, że Kot nie jest chory psychicznie. Jednak psychiatria obok chorób psychicznych (psychozy, nerwica itd.) zajmuje się psychopatiami. Psychopatia ma miejsce wtedy, gdy ustrój psychiczny odbiega od normy i gdy obserwuje się zmiany w zakresie popędów i instynktów, uczuć wyższych i temperamentu przy niezaburzonych funkcjach intelektu. Psychopatia rozwija się na podłożu stałych, wrodzonych predyspozycji psychicznych, a rozwój jej pozostaje w znacznej zależności od działania zewnętrznego, jak środowisko, wychowanie itp. Rozpiętość w nasileniu cech psychopatycznych jest oczywiście olbrzymia, począwszy od osobników subnormalnych, znakomicie utrzymujących się w życiu społecznym, a skończywszy na osobowości przestępczej, popadającej ustawicznie w konflikty z prawem. Odchylenia od normy są niekiedy tak dalekie, szczególnie w dziedzinie popędów, że jakkolwiek rozeznanie czynu istnieje, to kierowanie swoim postępowaniem staje się niemożliwe. Popęd pojawia się z taką siłą, że psychopata nie może nie przetworzyć go w czyn.

Dr M. jest dobrym psychiatrą — wielokrotnie występowała jako biegły w głośnych procesach. Dr M. twierdzi, że jest w stanie wykazać sądowi, iż Karol Kot jest psychopatą w tak wielkim stopniu, że o ile miał pełną świadomość czynów (inteligencja ponadprzeciętna), to nie był w stanie nimi kierować.

Jedynie sprawiedliwa według jej hipotezy decyzja — to dożywotnia izolacja Kota w zamkniętym zakładzie i szukanie sposobów jakiegoś rozładowania jego napięć psychopatycznych.

Napisałem powyższy tekst w czasie trwania procesu, nie ukazał się on jednak w druku, gdyż Redakcja „Ty-

godnika" uznała, że byłoby to wywieranie nacisku na decyzję sądu. Wtedy zakończyłem artykuł w ten sposób:

„Napisałem to wszystko dla tych, którzy popełniają zasadniczy błąd odnoszenia czynów Kota do własnej psychiki.

Domyślając się pobudek jego czynów i mechanizmów psychicznych zachodzących w nim, odpowiadają właściwie na pytanie, czym oni sami kierowaliby się w takich sytuacjach. Tymczasem świat dążeń, pokus i problemów tego człowieka jest zupełnie inny. Psychiczenie zdrowy — jak mówimy — normalny człowiek nie jest w stanie wyobraźnią przeniknąć świata, w którym najmłodsza sfera, sfera uczuć wyższych i wartościowania moralnego jest schorzała.

Napisałem to dla tych, którzy myślą, że łatwo jest sądzić drugiego człowieka, żeby nie zdziwili się, jeżeli sąd pracujący z godną podziwu skrupulatnością wyda inny wyrok niż oni.

Inną sprawą jest pytanie, co dla Kota byłoby lepsze? Pytanie, jakie będzie jego życie, jeśli zostanie mu ono darowane?”

Rozprawa toczyła się długo. Ostatecznie zakończyła się w Sądzie Najwyższym. Powołano dwa zespoły biegłych, którzy godzili się co do tego, że Karol Kot jest człowiekiem o cechach psychopatycznych, rozmaicie oceniali jednak zdolność kierowania przez niego własnymi czynami.

Po kilku miesiącach prasa doniosła w lakonicznej notatce:

„Wyrokiem Sądu Najwyższego z dnia 11 marca Karol Kot skazany został łącznie na karę śmierci z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze... Rada Państwa nie skorzystała wobec Karola Kota z prawa łaski. Wyrok został wykonany.”

Proces Karola Kota był ewenementem niezwykłym. Uczestniczyłem niemal we wszystkich rozprawach, przeczytałem chyba wszystko, co z jego okazji napisano w prasie.

Wydaje mi się, że proces ten jest okazją do ważkich przemyśleń. Pomijając odwieczną dyskusję nad stosowaniem kary śmierci w ogóle, aktualny jest problem stosowania jej w poszczególnych przypadkach.

W trakcie obrony Karola Kota padło określenie „eutanazja prawna”... W jakim stopniu uzasadniony jest argument za karaniem śmiercią tego typu ludzi co Kot, oparty na obawie, co stanie się, jeśli psychopata jakimś sposobem wydobędzie się na wolność?

Oczywiście, rozumowanie typu: „ktoś, kto popełniał takie zbrodnie, nie może być normalny” należy odrzucić. Jednak wątpliwości dotyczące zdolności kierowania czynami przez oskarżonego nie zostały w tym procesie definitywnie rozwiązane. Profesor psychiatrii Spett omawiając przed sądem przypadek Kota, przyznawał, że w wielu przypadkach psychiatria nie dysponuje argumentacją absolutnie pewną, powiedział między innymi: „wstydę się za psychiatrię”. Nie znam się na psychiatrii tak dalece, by opowiadać się za słusznością opinii profesora Spetta, który twierdził, że Kot nie posiadał pełnej zdolności kierowania własnymi czynami, czy za opinią biegłych zajmujących stanowisko przeciwne. Laickim okiem widziałem jedynie tę przerażającą niezgodność wśród kompetentnych. Wiadomo, że tego rodzaju procesy mają niemal charakter sporów fachowych z dziedziny psychiatrii. Wyrok należy do sądu. Tak musi być. Zgrozą napęła jednak myśl, że być może za parę lat psychiatria będzie dysponowała większymi niż dziś możliwościami diagnozy i że w świetle nowych osiągnięć *casus* Kota nie będzie już przedstawiał wątpliwości. Psychiatryczne materiały procesu bynajmniej nie dają pewności, że pewność ta będzie po stronie doktora Różyckiego i doktor Truszczyńskiej. I wobec tego braku pewności... wyrok śmierci.

Biegły sądowy stoi za tą samą balustradką, za którą stawali świadkowie, a jeszcze wcześniej — oskarżony. Biegli podtrzymują pierwotną opinię: Karol Kot rozumiał znaczenie swych czynów i miał możliwość kierowania nimi. Art. 17 i 18 kk nie mają zastosowania. To jednak jeszcze nie wszystko. Lekarz powołując się na zjazd psychiatrów sądowych w 1952 roku w Lyonie, który obradował nad problemem odpowiedzialności psychopatów, przypomina, że dla pełności orzeczenia obok samego stwierdzenia poczytalności lub niepoczytalności należy zająć się również i etiologią zjawiska. Kot — przypomina lekarz — przez całe życie był frustrowany. W dzieciństwie błędy wychowawcze: niedopuszczanie do zabawy z innymi dziećmi, faworyzowanie młodszej siostry, nienagradzanie itp. Później stała samotność. Otoczenie traktuje go niechętnie, nie ma przyjaciół, a wymieniani często przez świadków-kolegów „przyjaciele” nieustannie zeń pokpiwali. Kot — mówi lekarz — nie spotkał nigdy życzliwie wyciągniętej dłoni, a kiedy wreszcie spotkał kogoś, kto tę dłoń do niego wyciągnął, było już za późno. Kot znajdując się w permanentnym stanie agresji kompensacyjnej nie musiał sobie zdawać sprawy z tych powiązań przyczynowych. Odnajduję w notatkach z zeznań Danuty W.: „Karol kiedyś powiedział: — Będę zabijał, bo ludzie są źli. Będę się mścił. Mam kompleks. Będę zabijał za każde złe słowo, za każde szyderstwo”.

Tak, rzecz mniej upraszczając, naświetlają sprawę biegli psychiatrzy. Jedno tylko jest w tej chwili pewne, to mianowicie, że granice normalności są bardzo nieostre. Czy Kot był zdolny do kierowania własnymi czynami? Czy nie był zdolny?... Znajoma Pani Docent psycholog ostrzega przed wdawaniem się w szczegóły specjalistyczne przy pisaniu o tym. Niemal zawsze wychodzą wtedy żalodne bzdury.

Najpierw trzeba czekać w ciemnym korytarzu pełniącym funkcję poczekalni. Jest koło godziny 11. W kolejce siedem osób. Ojciec, a częściej matka i dziecko. Ktoś zaczepnie pyta mnie: — Co, pan bez dziecka? Podejmuję wą-

tek z nadzieją, że czegoś o nich się dowiem. Owszem, niektórzy włączają się do bagatelnej, przeplatanej żartami rozmowy, niech jednak rozmowa zejdzie na jakieś własne ich sprawy, natychmiast urywa się... Pewnie. Tu jest poradnia zdrowia psychicznego. Każdy jakby się trochę wstydił, że tu jest. Trudno nawet o coś pytać.

Ta poradnia, to właściwie jeden pokój w dużej ogólnej przychodni lekarskiej dla dzieci. W pokoiku zmęczona, miła Pani. Po najsolenniejszych zapewnieniach, że „ja tylko na chwilę i że tylko o kilka spraw chcę zapytać, krótko i treściwie”, Pani Doktor prosi, żebym usiadł.

Więc najpierw, czy rodzice przyprowadzają dzieci przejawiające zanik lub braki życia uczuciowego? Pani w białym kitlu uśmiecha się — to na pewno w związku ze sprawą Kota. Wszyscy teraz o tym. Więc tak, przyprowadzają, choć raczej rzadko. Teraz zresztą, w czasie trwania procesu, ilość tego rodzaju pacjentów wyraźnie wzrosła. Proces obudził chyba wrażliwość rodziców na te sprawy. (Nareszcie wiem, jaki jest pożytek ze sprawozdań prasowych z procesu.) Pojawiają się i naśladowcy Kota, pacjenci o zainteresowaniach nożowniczych. Zresztą — tłumaczy Pani Doktor — to nie jest przesada, kiedy mówi się o wpływie filmów w rodzaju „M — jak morderca”. Każdy tego typu film wyświetlany w telewizji odczuwamy natychmiast i u nas. Tu jest zresztą jeden z punktów spornych między rodzicami a nami. Tata musi patrzeć w telewizor i twierdzi, że „nic tam takiego nie ma” i ani rusz nie chce zrozumieć, że wątki kryminalne mogą być wcale nie mniej szkodliwe niż erotyczne. Filmy te niektóre dzieci przyprowadzają o nerwice lękowe, u innych wyzwalają nadmierną agresywność.

— Czy pacjentów przyprowadzają sami rodzice, z własnej i nieprzymuszonej woli, czy też przychodzą raczej z inicjatywy szkoły? Czy rodzice szukają przeważnie rady na to, że dziecko ma złe stopnie, czy są i inne powody? Więc jednak i rodzice z własnej inicjatywy też, choć dzieci skierowane przez szkołę przeważają. Obok kłopotów w nauce najczęściej podawane są takie powody przyjścia: bije młodsze rodzeństwo, nie mogę się z nim (z nią) dogadać, ucieka z domu... — A znęcanie się nad zwierzętami? Pani Doktor kiwa głową: za bardzo przejmuje się książdz prasowymi sprawozdaniami z procesu. W pewnym wieku

jakieś przejawy znechania się są zupełnie normalne. Dziecko rozbiera samochodzik, żeby dowiedzieć się, co jest w środku, rozbiera i muchę.

A możliwości terapii? Problemy wynikające z konieczności współpracy z domem. Czasem spotykamy się z wielkim zrozumieniem, ale czasem... lepiej nie mówić.

I już ostatnie pytanie: czy zdaniem Pani Doktor można napisać, że za mała jest wrażliwość rodziców i w ogóle społeczeństwa na te sprawy, że większość tych, którzy powinni tu znajdować pomoc i opiekę, wcale do poradni nie trafia? O tym chyba nie pisze się u nas.

Pani Doktor w odpowiedzi wylicza: — Przyjeliśmy od stycznia do kwietnia ponad 900 pacjentów. Od kwietnia do dziś (jeszcze nie jest to dokładnie zliczone) ponad 300. (Obliczam szybko: około 10 osób dziennie. Badania psychiatryczne, długie, męczące, trudne.) Wystąpiliśmy o powiększenie poradni. Poradni jest za mało, za mały jest zasięg ich możliwości. Wrażliwość także w społeczeństwie mała, choć coraz większa.

Ktoś wpada do gabinetu i robi awanturę: „Bez dziecka przyszedł, tak długo siedzi” itd. Patrę na zegarek: upłynęło pięć minut. Pani Doktor uśmiecha się znów: — Widzi ksiądz, to są nasi rodzice. Na szczęście nie wszyscy.

Tamta była przychodnią dla miasta Krakowa. Teraz siedzę w natłoczonej rodzicami i dziećmi poczekalni dla województwa krakowskiego. Jedne dzieciaki siedzą spokojnie przy rodzicach, inne szaleją na schodach i ku rozpaczcy nawołujących je zjeżdżają po poręczy na złamanie karku, inne snują się sennie po korytarzu między natłoczonymi ludźmi. Nie brak i niemowlaków na rękach. W niewielkim budynku na Limanowskiego tłoczą się dwie przychodnie: na parterze dla dorosłych, na piętrze dla dzieci. Na wyższym piętrze znajduje się ośrodek psychiatrii społecznej. Nastrój zupełnie inny niż w tamtej pierwszej poczekalni. Tu wystarczy tylko zagadnąć i natychmiast, trochę tak jak w pociągu, można dowiedzieć się wszystkiego o niedolach rozmówców. Że tu ciasno? Panie, trzeba było być w zeszłym tygodniu, aż czarno było. Dziś, to jeszcze nic. Później dowiaduję się, że planowany jest na któryś tam rok nowy budynek w Prokocimiu, że w obecnym działają trzy gabinety lekarskie, pracuje ośmiu psychologów, że jest lekarz specjalista od leczenia wad wymowy

dysponujący gabinetem wyposażonym w aparat „echo”, że jest sala terapii ruchowej i specjalista w tej dziedzinie.

I znów szukanie ludzi bez uczuć, i znów rozmowy. — Czy do waszej przychodni docierają potencjalni następcy Kota? Odpowiedź jest stanowczo przecząca. Jeżeli gdzieś należy ich szukać, to nie w kartotekach naszej przychodni. Jeżeli tacy trafiają, to wyjątkowo i z innych przyczyn. Przyprawdzają ich np. jako nadmiernie pobudliwych. Do nas najczęściej trafiają produkty „wspaniałej wiedzy medycznej”, która potrafi zagrożone gdzieś na samym początku życia dziecko uratować, ale nie potrafi uchronić go od uszkodzeń. A zresztą, ksiądz pyta o niedomogi życia uczuciowego. Moim zdaniem — mówi Pani Doktor — dziś takie niedomogi uważa się po prostu za zjawisko normalne. Dziś liczy się tylko intelekt, „żebyś szkołę dobrze skończył i do czegoś w życiu doszedł” — oto wytyczne. Ileż tragedii rodzi się z nieposkromionych ambicji rodzicielskich „musisz zdać”, „musisz mieć same piątki” itd. Szkoła zaś niestety bywa często wielkim urzędem.

A dom? Najczęściej przyczyną zaburzeń w życiu uczuciowym są zakłócenia w sferze międzyludzkiej. Zakłócenia pozornie mało znaczące. Wystarczy, jak w pewnym konkretnym przypadku, ojciec nękający córkę codziennym, dokonywanym w dokuczliwy sposób sprawdzaniem lekcji. Jeśli rzecz dzieje się w tzw. porządnym domu, najczęstszą reakcją jest u chłopców kradzież, u dziewcząt puszczanie się. A jeszcze, gdy ojciec zupełnie obojętny albo alkoholik... A gdy ojca nie ma...

I tu także rozmowa schodzi na wzory, jakie młodzież czerpie z filmów i książek. Padają tytuły książek, filmów i przedstawień.

W całym województwie krakowskim jest pięć przychodni zdrowia psychicznego dla dzieci. Skierowują do nich miejscowi lekarze lub szkoły. Istnieją także dość liczne poradnie wychowawcze TPD.

Pytam jeszcze, czy to dużo, czy mało? Przecież psychologię obecnie kończy stosunkowo dużo ludzi. Okazuje się, że jednak bardzo mało. Odczuwa się wielki brak psychologów. Większość idzie do przemysłu. Wciąż potrzeba wykwalifikowanych wychowawców do sanatoriów dla dzieci nerwicznych, potrzeba ludzi do przychodni, potrzeba nowych

przychodni. Judymów dziś mało, a przemysł, wiadomo, to nie „oświata” czy służba zdrowia... Płaci.

Na drugim piętrze Psychiatria Społeczna. Miła pani magister Krystyna powiedziała mi masę ciekawych rzeczy, zrobiłem wiele notatek. Tu tylko słówko na czym rzecz polega. Na zjeździe psychiatrów polskich w Lublinie w 1963 roku Tadeusz Pańkowski, Zenomena Płużek, Boguchwał Winid przedstawili wyniki swoich prac. Chodziło o ustalenie, ilu pacjentów psychiatrycznych zgłasza się w określonym czasie do psychiatrów i neurologów. Badania przeprowadzono w 1962 roku. W wyniku tych badań powstała mapa nasileń schorzeń psychicznych w Krakowie, ustalono szereg zależności, poczyniono szereg ustaleń. Wynikła także konieczność osobnego zajęcia się zjawiskami alkoholizmu i samobójstw. Tymi ostatnimi zajęto się ze szczególną dokładnością.

Badania powtórzono w 1966 roku. Pani Krystyna pokazała mi wykresy, których wymowa jest przerażająca. Przeraża rekordowej długości słupek obrazujący ilość samobójstw w grupie wieku 15—19 lat. Ostatnie (te z 1966 roku) badania wskazują, że słupek nadal rośnie. Badający uwzględniają jedynie te wypadki, w których nie zachodzi najmniejszy cień wątpliwości, że mają do czynienia z samobójstwem. Gdyby zostały włączone przypadki wątpliwe, różne zatrucia gazem, przedawkowania leków itp. Kraków w tym względzie pobiliby światowe rekordy.

Badania — mówi ktoś z Ośrodka Psychiatrii Społecznej — wskazują na konieczność akcji zaradczej. Mówi się już o stworzeniu sieci poradni psychologicznych; do psychiatriy na zasadzie dawnych nawyków myślowych nikomu nie pilno, zresztą wiele spraw nie leży w gestii psychiatriy, lecz psychologa. Weszliśmy w epokę nowych problemów i nowej psychologii.

— Jest jeszcze jedna ważna sprawa — dodaje rozmówca — to rola księży. Do waszych konfesjonałów przychodzi mnóstwo ludzi, którzy męczą się z sobą, wy się z nimi męczycie i nic z tego nie wychodzi. Księża muszą znać podstawowe elementy nowoczesnej psychologii oraz mieć zaplecze psychologów-fachowców, którzy przyszliby z pomocą wtedy, gdy „mocne postanowienie poprawy” nie wystarcza.

...zaczynamy żyć coraz
 samotniej
 odległość od człowieka do
 rośnie pod neonami
 w przeludnionych miastach
 ocierając się o siebie do krwi
 żyjemy jak na wyspie...

(Tadeusz Różewicz)

„Jako zasadę przyjęliśmy, że nie powinni dyżurować lekarze. Ludzie się lekarzy boją. Zresztą, większość spraw to, jak się okazało, sprawy ludzkie, nie lekarskie. I stąd moja rola kierownicza. Było nas sześć osób: prawnik, czterech lekarzy i ja. Jako architekt uważałem, że to jest zgodne z moim zawodem: budowanie. Trzeba było całą tę organizację kleić, ustawiać, liczyć się z tym, że jeden zepsuje, drugi pomoże. Budować trzeba było. Myślałem: zbuduję, to się wycofam. Niech prowadzą fachowcy. Jacy? Psychologowie? No, może i psychologowie też, ale, moim zdaniem, powinien to prowadzić filozof. Przecież zwykle chodzi o filozoficzne naświetlenie sprawy, żeby człowiekowi który mówi, że coś jest czarne, pokazać, że jest białe. Bo człowiek załamany widzi często wszystkie okoliczności inaczej, niż one są w rzeczywistości. Pokazać jak naprawdę jest, to jedna z naszych funkcji... Ale okazało się, że tych fachowców nie ma. Jak to się mówi: nie ma frajerów na darmową robotę. Wysocy specjaliści? Owszem, ale oni trzysta złotych za godzinę. Stąd kłopot. Takiej organizacji jak nasza nie ma nigdzie na całym świecie. Szczególnie jeśli chodzi o kierowanie. Zwykle prowadzą to lekarze — tak, rzecz jasna jasna że za wynagrodzeniem. Na przykład w Bydgoszczy i Toruniu lekarze dyżurujący przy telefonie w pogotowiu, w Poznaniu założono placówkę psychiatryczną. A za granicą? No, choćby to, na czym my się wzorujemy: Chad Varah jest duchownym anglikańskim — ma jakąś pensję, a władze duchowne specjalnie dały mu jako teren pracy duszpasterskiej samo City Londynu. Tam przecież nikt nie mieszka, są same banki i urzędy, więc i obowią-

ków duszpasterskich nie ma. Jemu pomagają bezinteresownie ludzie dobrej woli, ale on sam nie ma innej roboty. My musimy ten ciężar rozkładać na wszystkich. Ludzie są zalanani, każdy pracuje po godzinach, każdy ma swoje kłopoty. A to jest praca społeczna czystej wody, bo te inne prace społeczne, mówiąc między nami, często niosą korzyści polityczne, materialne, zawodowe i inne. Nawet w Czerwonym Krzyżu, w Opiece Społecznej ludzie pracują za pieniądze. U nas rzadko się zdarza, żeby ktoś podziękował. Dwa listy przysły, raz ja sam dostałem kwiatki, ale na ogół ludzie są tak zatroskani, że nie mają nawet siły myśleć o dziękowaniu.”

ZYCIORYS AP

W czerwcu 1967 miał do Gdańska przyjechać Chad Varah i w związku z tym ukazał się w prasie artykuł o jego akcji anonimowych poradni telefonicznych w Londynie dla ludzi załamanych, samobójców. Pisano też o tym, że profesor Kielanowski poddał myśl zorganizowania w Gdańsku czegoś podobnego. Ze statystyk wynika, że Gdańsk ma jedno z przodujących miejsc w ilości samobójstw w Polsce. Informowano, że odbędzie się w redakcji „Głosu Wybrzeża” zebranie i kto zainteresowany — może przyjść. Na tym zebraniu powstał komitet. Potem było drugie zebranie w Akademii Medycznej, już z udziałem Chad Varaha. Komitet od czerwca do października załatwił formalności organizacyjne, lokal, telefon. Lokal odstąpił na popołudniowe i nocne dyżury Czerwony Krzyż, a ktoś, kto miał łatwy do zapamiętania numer telefonu 31-00-00, zgodził się na odstąpienie go drogą zamiany. I urodził się AP — Anonimowy Przyjaciel. Do Anonimowego Przyjaciela można dzwonić codziennie od 16 do 5 rano, od 16 do 20 można przychodzić osobiście, potem zostaje telefon.

MOWI SZEF

Telefonowali od razu. Prawidłowość jest taka, że pierwsze dwa, trzy dni po artykule jest nawał. Na przykład 7 lutego 1967 roku ukazał się artykuł w „Dzienniku Bałtyckim” — to była niedziela, a „Dziennik” jest jedynym lokalnym pismem wychodzącym w tym dniu. Przez kilka dni mieliśmy po trzydzieści — czterdzieści telefonów na

dyżur to znaczy siedemdziesiąt telefonów na dobę, kolejki ludzi na korytarzu. Dyżurująca mnie wezwała, przyszedłem, potem druga zmiana, jeszcze kogoś wezwałem, a więc cztery osoby... Czuliśmy, że nie damy rady — człowiek wychodzi, głowa mu pęka, każdy ma po kilka spraw na głowie, obiecało się pomoc, za każdą sprawą trzeba chodzić tygodniami. Po nocach nie spałem. Bywało, budzę się i myślę, co z tym, co z tamtym? Pomyślałem, że powinna być jakaś anonimowa przyjaciółka dla mnie, która by mnie pocieszała... Mają do mnie pretensje — kto? no, prasa i wszyscy, że nie chcę udzielać wywiadów, że nie chcę reklamy w gazetach. A ja twierdzę, że jak będzie nas co najmniej 200 osób, wtedy będziemy mogli pomyśleć o reklamie. Dyżurujących osiemdziesięciu — stu (sześćdziesiąt dwa dyżury miesięcznie, a trzeba brać pod uwagę urlopy, wyjazdy itd.). Drugie tyle osób potrzeba do załatwiania różnych spraw. Dziś jest około osiemdziesięciu dyżurujących, no i konsultanci-specjaliści. Konsultanci: tabliczka oprawiona w celuloid: „W razie nagłej potrzeby udzielenia pomocy doraźnej dzwonić ... tu podany numer telefonu szefa. Dzwonić o każdej porze dnia i nocy”. Dalej numery telefonów i nazwiska dwóch prawników. „W sprawach kosmetycznych dzwonić...”. „Alkoholików kierować ...”. Psychiatrzy, seksuolog. Wszyscy pracują bezinteresownie.

TELEFONY

Do tej pory ciągnie się moja pierwsza sprawa anonimowa. Przyszłam wówczas na dyżur i zastałam notatkę w tym kalendarzu: „...przyjdzie taki pan”. Patrząc, nazwisko znajome. Ledwie przeczytałam notatkę i zdążyłam uświadomić sobie, że to jest mój uczeń, pukanie do drzwi i on wchodzi z tą swoją anonimową sprawą. Sporo czasu trzeba było, by mu do głowy włożyć, że to jest inna płaszczyna, a tamta szkolna — inna. I okazało się, że mnie życie z nim jeszcze kilka razy zetknęło. Ostatni raz w Bieszczadach. Dziwna historia...

Był taki przygnębiony kolejarz. Miał po całym ciele mnóstwo powgryzanych odrobinek sadzy, węgielków itp. Miał się żenić. Daliśmy mu adres tego gabinetu kosmetycz-

negu. Oczyszcili go i było wszystko w porządku. Przestał rozpaczać.

Skierowanie do psychiatrii? — Tak, to sprawa trudna. Wyjaśniam wtedy, że lekarz ma prawo interweniować w zakładzie pracy, że może dać odpowiednie zwolnienie. Tak to się jakoś robi, na własne wyczucie, jak kto umie. Czasem matki, które zgłaszają się w sprawie dzieci, biorą to na siebie.

Co robimy z kłopotami materialnymi? Przyjęliśmy zasadę, że materialnych nie załatwiamy. Były zresztą od początku tylko cztery sprawy tego typu. Kiedyś jedna pani przyszła prosząc o pożyczanie pięciu tysięcy złotych, bo jest w takiej a takiej sytuacji. Czy pożyczaliśmy? — nie. Po pierwsze, bo skąd? Po drugie (może by i ktoś mógł pożyczyć), wydawało nam się to nienormalne. Człowiek pracuje i nie ma przyjaciół, od których mógłby pożyczyć? Musiał już zdrowo nakręcić w życiu.

Telefon od młodego mężczyzny. Jeśli ktoś mu natychmiast nie pomoże, to nad ranem będą dwa trupy. Żona uciekła, zostawiła go z małym dzieckiem, on nie wie, co począć itd... Podał nazwisko i adres. Późny wieczór, koło dwudziestej trzeciej. Dyżurny natychmiast dzwoni do szefa. Szef wsiada w „syrenkę” i jedzie. Szuka, ale adres niedokładny (rzecz się dzieła pod Gdańskiem). Smętny chodzi, szuka. Spotyka księdza, który jak się potem okazało — też tam szedł, bo on i ksiądz prosił, gdy ten chodził po kołędzie — ale ksiądz nie przyszedł zaraz, tylko później. Opowiada szef: — Coś mnie zaraz tknęło. Mówię: — my idziemy chyba w jednej sprawie. Ksiądz nie bardzo chciał mówić, więc proszę tylko, by zapytał, czy człowiek, do którego idzie, nie dzwonił do Czerwonego Krzyża. Otwiera mężczyzna. Dzwonił. No — to jesteśmy w domu. Najpierw ja porozmawiałem, potem zostawiłem księdza, tak że obydwaj spełniliśmy ten obowiązek. Ksiądz bardziej po duszpastersku, ja bardziej praktycznie. Wziąłem dziecko. Mówię: — Daj pan dziecko (żeby się człowiek uspokoił). Moja matka w domu zdziwiona, dwunasta w nocy, a ja z dzieckiem. Odciążyłem go w tym strasznym napięciu. Mówię: Śpij pan teraz spokojnie, wszystko załatwimy. Już wiedział, że ktoś chce mu pomóc. Potem odszukałem żonę, namówiłem na leczenie, odpoczynek.

Jakoś nie dzwonił więcej, myślę sobie — to dobrze, bo

już nie mam siły. Aż tu po dwóch miesiącach dzwoni. Zapraszają mnie. I co? Ona zupełnie wyzdrowiała, odpoczęła. Przedtem mówiła: ja z nim nie będę żyła, nie będę absolutnie, teraz normalna, dobra rodzina... Takim prostym ludzkim gestem uratowaliśmy rodzinę, dziecko...

Telefony, telefony, telefony, sprawy wielkie i małe, tragiczne i śmieszne. Więc jeszcze proszę powiedzieć o takich zwykłych — nie specjalnych.

NA PRZYKŁAD DZIS

Godzina 17. Głuchy telefon — ktoś dzwoni — chwilę czeka, potem przeprosza, odkłada słuchawkę. My już wiemy, że kilka głuchych telefonów to może być zapowiedź jakiejś poważnej sprawy.

17.25. Dzwoni pan, że jest samotny, chciałby dłużej porozmawiać, ale nie przez telefon. Nakłaniam do rozmowy, on zapowiada, że jednak zjawi się osobiście przed dwunastą. Nie przyszedł...

Dziewiętnastoletnia dziewczyna poznała chłopca z poprawczaka, spotyka się z nim, kiedy on wychodzi na przepustkę. Matka zabrania kategorycznie. Chłopiec przychodzi, wyczekuje pod bramą...

Zapłakana kobieta. Najpierw przeprosza, że ona nie popełniła samobójstwa (jakoś się utarło, że Anonimowy Przyjaciel jest dla samobójców, i takie przeprosiny nie należą do rzadkości). Uciekł z domu piętnastoletni syn. Uciekał już kilka razy, sprowadzała go milicja. Nie chce się uczyć, wagaruje, zmienia szkoły. Nie umie podać motywów ucieczki syna, lecz zdradza się, że mąż groził mu jakąś wyimaginowaną szkołą więzienną...

Po trzech godzinach znów dzwoni — syn się odnalazł. Jest w opłakanym stanie, ale jest. Bardzo dziękuje za rady. Przejmuję sprawę w swoje ręce. Tak, jestem nauczycielką, jestem kuratorem przy sądzie dla nieletnich. Jutro będę rozmawiała z chłopcem. Zobaczymy.

Potem jest taki telefon: usłyszałam tylko dwa słowa „proszę pani...” i zakłócenia na linii. Ktoś nas rozłączył. To było powiedziane tak raczej niewesoło, i to mnie martwi. Kto przerwał tę rozmowę?...

Dzwoni mężczyzna, chce wygrać w Toto-Lotka, prosi

o podanie numerów do skreślenia. Podają kilka liczb, zastrzegając sobie procent od wygranej. Zgadza się chętnie.

„Wyglupy”? No, są, choć niezbyt częste. Mamy zasadę, żeby zawsze odpowiadać poważnie, nawet wtedy, gdy podejrzewamy, że nabiera nas ktoś znajomy (to się niemal nie trafia). Bywa, że od wyglupu przechodzi rozmówca do sprawy poważnej czy wręcz tragicznej.

R. i K. mieli takiego, który im odegrał cały seans, że właśnie popełnia samobójstwo, przecina sobie żyły, kolejne czynności, to, tamto i w końcu zaczyna jęczeć do słuchawki, a potem irytuje się:

— No i co pan na to, dlaczego pan nic nie robi, ja do gazety napiszę, posadzili pana, żeby pan ratował, a pan nic...

POŁOWA SPRAW TO SPRAWY POWAZNE...

Obliczyliśmy, że połowa spraw to poważne sprawy (wszystkich do połowy grudnia 1968 — 2338), inne to albo głuche telefony, albo błahe informacje, albo kawały.

Kobieta z dziesięciomiesięcznym dzieckiem. — Wszyscy — powiada — na mnie nalatują. Mąż ma rodzinę — więc teściowa itd... A ja taka biedna, nieszczęśliwa, wychowana w domu dziecka. Tu — nawiasem mówiąc — zarysowuje się pewna prawidłowość: kobiety wychowane w domu dziecka mają kompleks, że są skazane na niepowodzenie życiowe. Mieliśmy takich w ciągu roku z piętnaście. Najpierw płacze. Mówię — niech pani przyjdzie. Przyszła. Powiada: mąż grozi mi rozwodem, grozi, że zabierze dziecko, zabiera dziecko ze żłobka do teściowej, grozi, że zabierze mieszkanie. Pytam: czemu pani w to wszystko wierzy? Telefonuję do radcy prawnego, niech pani słucha.

Okazało się, że jeśli ona się nie zgodzi, dziecka nie zabiorą (chyba, że głodzi, deprawuje itp.). Mieszkanie jest na połowę. — Ale jak podziela? — Dadzą wam dwa małe. — Aha. Dziecka nie może zabierać ze żłobka; niech pani jedzie do sądu dla nieletnich, mamy tam swojego konsultanta. Żłobek dostanie z sądu odpowiednie pismo.

Wyjeżdża na delegację. — Pomożemy pani uzyskać dla dziecka żłobek tygodniowy.

— Rozwód? Jak pani chce, może pani się zgodzić, jeśli nie, nie dostanie rozwodu.

— Ja się zgodzę.

— Nie szkodzi, niech go pani raz nastraszy... — Kobieta płacze, ale już zaczyna się uśmiechać. Widzi, że sytuacja nie jest bez wyjścia, a ona się czuła jak ktoś, kto tonie i musi utonąć. A trzeba się bronić. Powiada: — Ale ja jestem sama, a tam cała rodzina.

— Proszę pani, przyszła pani do nas, nas jest sto osób; co to rodzina? Chce pani zobaczyć? Wyszła uśmiechając się.

Inna historia — nawet teraz chodzę tym zmartwiony. Dzwonił mężczyzna, jest głuchy na jedno ucho. Kompleks: pochodzi ze wsi, matka niepiśmienna. Jakoś maturę zdał. — Od siedmiu lat to ja nie widzę sensu życia. — I jeszcze: — Panie, czego wy się upieracie, żeby ratować cudze życie? Na co ja: — Panie, my się nie upieramy. Przecież panu nie mówimy, żebyć pan koniecznie żył. Chcesz, to rób pan swoje. (Tak mówię, bo jak zobaczy, że my na siłę, może nastąpić jakaś reakcja przeciwna.) Przez telefon wydawało mi się, że jest zupełnym kaleką. Mówię — niech jedzie w rodzinne strony, bo tutaj trudno o pracę. Potem przyszedł. Pytam: był pan u psychiatry? Był. Bierze pan lekarstwa? Nie, nie ma pieniędzy. Jak to? Bo on tylko tysiąc złotych zarabia, to nie starczy na życie. Tysiąc złotych na życie nie wystarcza? Przecież ludzie rodziny muszą utrzymać w Polsce za tysiąc złotych. Papierosa coraz to nowego zapala. — A jak pan wydaje? Przecież do baru muszę pójść na śniadanie, kolację, na obiad. — A nie może pan — pytam — herbaty sobie w domu zrobić? — Taki niezaradny. Już nie trzyma siebie w garści, tak się rozlaź.

Dlatego, że takie dzieciństwo. Przekonany, że jest zupełnie nieszczęśliwy, głuchy na to jedno ucho. Ja mówię: — Człowieku, ja jestem ślepy na jedno oko. I rzeczywiście, czy z tego powodu mam się poddawać?

On mówi, że rzuca pracę, bo ciężka. Pracuje jako robotnik. Ledwie go ubłagałem, żeby nie rzucał jednej pracy, zanim nie znajdzie następnej. Pod koniec rozmowy byłem właściwie pewny, że jemu leczenie psychiatryczne jest niepotrzebne, tylko że rzeczywiście kłopoty na niego spadają. On, człowiek po maturze, nie umie sobie poradzić i pracuje jako robotnik — w dodatku brygadzysta mówi, że mu krew z nosa leci. Słaby. Już uśmiecha się, dobrze, to już to dla pana zrobię, tylko niech pan mi jakąś lepszą pracę

znajdzie. Pracował jako magazynier dwa lata — nadawał się. Więc to można załatwić — tyle, że jest to kwestia czasu, więc mówię — Niech mi pan da trzy miesiące czasu, to panu znajdę pracę. — Ledwie go ubłagałem, żeby się jakoś trzymał w garści, żeby sobie zorganizował życie, żeby sam sobie śniadania i kolacje robił. I wtedy ten papierek przyszedł: dali mu wymówienie z pracy. On mówi: — Nawet nie powiedzieli za co. — Takie rzeczy dobijają. Jak zadzwonił — pojechałem do niego, dałem mu kilka adresów, gdzie może szukać pracy. Jeszcze kłopoty mieszkaniowe, ale to się dało załatwić. Więc mówię mu: — Już się panu wyjaśnia. — No, mogłem pojechać do tego dyrektora i tak nastraszyć, że on musiałby go zaangażować.

Poszedł w jedno miejsce. Powiada: tam nie ma pracy. Będę jednak musiał sam pójść.

W każdym razie to jest przykład, że człowiekowi trzeba pomóc. Tu pociecha nie wystarcza. Profesor Kielanowski zakładał, że wystarczy pociecha telefoniczna. To jest jednak za mało. Potrzebna jest konkretna pomoc, bo są konkretne problemy.

Boże Narodzenie w zeszłym roku. Dzwoni dyżurująca, że ktoś płacze przez telefon; przyjął bardzo dużo jakichś tam pastylek i trzeba go ratować. Ja dzwonię, słyszę głos ledwie słyszalny, więc mówię: zaraz przyjdę i niech pani otworzy drzwi (bo myślę: przyjadę i nie otworzy). Wezwałem pogotowie (pogotowie ma nasze hasło) i pojechałem. I jaka sytuacja: trzydziestoosmioletnia kobieta pracowała w kiosku inwalidzkim, potem zachorowała. Ma jedną nerkę usuniętą, drugą chorą, więc gdyby wyciąć drugą — umrze, zatem woli żyć z chorą nerką, ale to ją męczy. Starła się o rentę od sierpnia do grudnia, ale w grudniu jej odmówili. Nie ma środków do życia. Przedłożyła zaświadczenia za cztery lata pracy, a trzeba najmniej za pięć lat. Dlaczego nie przedłożyła za ten ostatni rok? Okazało się, że to było oszustwo — pieniądze jej dawano, a z przywilejów kto inny korzystał: z mieszkania i lat pracy (jaki łańcuch — jedno oszustwo i ile kłopotów).

Mówi: — Proszę pana, święta, wszyscy się cieszą, za ścianą słyszę, a ja sama jedna; dwanaście złotych na święta. — Jeść nie ma za co. Brała więc proszki. Najpierw na bóle, ze trzydzieści pastylek elenium, a oprócz tego na serce jakieś krople: całą buteleczkę. Na szczęście organizm

nie przyjął. Lekarz mówi, że gdyby nie to, byłoby za późno. Kiedy myślała że umiera, zadzwoniła do nas. Człowiek dzwoni wtedy, gdy nie ma nadziei, bo tak — to się krępuje, wstyd mu się przyznać, że jest z nim tak źle.

Szereg dni leżała. Poszedłem do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Tam mnie za drzwi wyrzucili. Przekonałem się wtedy, że ona faktycznie nie miała siły za tym chodzić; bo oni: ten papierek nie pasuje, niech pani przyniesie inny... a ona się nie orientuje, dziesięć papierków: raz ten, raz inny. Ja wreszcie sprawę twardo postawiłem: — Nie, proszę pana, pan da teraz ostateczną odpowiedź. — Złożyłem zażalenie do dyrektora. Dyrektor mnie przeprosił...

Myśmy doszli do wniosku, że człowieka załamuje suma różnych takich niepowodzeń. Jedno człowiek zniesie — ale suma, to za dużo... Jeszcze kiedy jest sam...

Teraz, kiedy w Krakowie porządkuję te notatki, jest głęboka noc. W Gdańsku, w małym pokoiku, w którym ledwie mieści się biurko i dwa fotele, ktoś zaparza kawę, by pokonać ogarniające zmęczenie. Może właśnie dzwoni telefon — 31-00-00. Zrozpaczony, borykający się ze swą samotnością człowiek na drugim końcu przewodu już nie jest sam.

Noc z 4 na 5 grudnia. Dochodzi godzina druga. Mróz, około sześciu stopni, śnieg i szron, pełnia. Kiedy o takiej porze po kilku godzinach drogi wśród białych drzew zażółcą się okna schroniska, odczuwa się miłe piknięcie w sercu: dom.

Ciemny mężczyzna o ostrych rysach siedzi, podobnie jak i kilku innych, bez koszuli w nagrzejonej jadalni schroniska na Luboniu. Nazywa się Władysław Mlekodaj, kieruje akcją, do której chcemy się przyłączyć. Rzeczowo informuje: Zaginiony był tu, w schronisku, we wtorek, około godziny trzynastej, czuł się dobrze, zjadł z apetytem posiłek, pytał o drogę do Mszany Dolnej. Od rozpoczęcia akcji (przeciągająca się nieobecność zaginionego, który miał wrócić z wycieczki najpóźniej na środek rano, zaniepokoiła domowników i około jedenastej zawiadomili milicję i GOPR w Rabce) przetrząsnięto wszystkie zejścia z Lubonia do Mszany. Akcję po zapadnięciu zmroku prowadzono przy pochodniach. Każdy ślad na ścieżce był pilnie badany, za każdym odchodzącym od ścieżki schodzono na sam dół. Sprawdzono we wszystkich domach, w których mógł się zaginiony zatrzymać. Na stole w jadalni leżą czekany i lina. Badano strome, oblodzone rynny, którymi spuszcza się drzewo, a które w pierwszym odcinku przypominają ścieżkę, niżej zaś bywają niebezpiecznie podcięte. Właśnie przed chwilą ukończono tę część poszukiwań. Nad kuchenką suszą się wiatrówki i koszule ratowników. Plan dalszej akcji: rano ma dołączyć grupa ratowników z dołu, a więc z tymi, którzy tu są, i z nami, grupą przyjaciół zaginionego, będzie ponad dwudziestu ludzi. Któryś z goprowców pokazuje mi folder *Mszana Dolna*, taki jaki kupił w schronisku zaginiony. Wewnątrz broszurki jest mapka bez zaznaczonych różnic wysokości, co w wyniku może wprowadzić w błędne przekonanie, że do zakopiańskiej szosy najszybciej dostać się można przez Szezebel (869 m. Luboń 1022 m. Zejście z Lubonia i powtórne podchodzenie). Trzeba więc przetrząsnąć drogę na Szezebel. Idziemy na kilka godzin spać. Gospodarz schro-

niska ani słyszeć nie chce o zapłacie za nocleg i herbatę. Przynajmniej w ten sposób chce uczestniczyć w akcji.

Czwartek, 5 grudnia, świt. Jest mróz, niebo bez chmurki, niżej — mgły. Z mgieł sterczy jak wysepka zalesiony szczyt: Szczebel. Kierownik akcji rozdziela ludzi. Powoli, rozbijając się na coraz mniejsze grupki, przeczesujemy dokładnie las. Zejście jest miejscami trudne, stroma, kamienista ścieżka bardzo oblodzona. Pod Luboniem, w jakimś przysiółku, zbieramy się znów wszyscy. Przyjeżdża goprowski łazik z nowymi ludźmi. Choć poprzedniego dnia wypytano wszystkich (jak się zdaje) mieszkańców, czy zaginiony tędy przechodził, przypadkowo trafiamy dopiero dziś na kogoś, kto go widział. Pytał o drogę na Szczebel i poszedł tam, dziarskim krokiem, pogwizdując. Rozciągamy się w długi szereg. Na Szczebel biegnie mnóstwo ścieżek, duktów, droga, szlak turystyczny... Jest śliczna, słoneczna pogoda, taka, jak przed dwoma dniami, we wtorek, kiedy starszy, samotny pan pogwizdując szedł w kierunku zalesionego szczytu.

Pięć wystrzałów z rakiety oznacza koniec akcji. Powoli schodzą się wszyscy, stają w milczeniu coraz ciasniejszym kręgiem. Ktoś rozpoczyna modlitwę.

Zmarł na serce. Nagle, nawet właściwie się nie przewrócił, opadł na kolana i ręce, idąc pod górę i tak został, w pozycji utrwalonej przez mróz.

Siedzimy w dusznej izbie: goprowcy i my. Popijamy grzane piwo z cukrem. Wszyscy są zmęczeni i zmarznięci. Jest duszno i ciemno od dymu. Czekamy, aż milicja załatwi formalności. Rozmawiamy. Mówię goprowcom, że to właściwie nadzwyczajne, że tylu ludzi chciało poświęcić czas i siły dla nieznanego zaginionego (robią to bezinteresownie. „Jesteśmy ochotnikami” — powiedział z naciskiem któryś z nich w rozmowie). Zaprzeczają spokojnie: bardzo zwyczajna rzecz. — Jeśli to można nazwać chlebem, to nasz chleb powszedni. Przychodzi mi myśl, żeby o nich napisać, proszę, by powiedzieli, jak się nazywają. Kiedy dowiadują się, o co chodzi, proszą, żeby — jeśli już pisać — to tylko o grupie GOPR-u z Rabki. Rozmawiamy o ich pracy. O dużym zrozumieniu u ludności miejscowej (rzeczywiście proponowano nam kilka razy posiłek, z którego zresztą nie mieliśmy czasu skorzystać). O tym, że bywa i tak, iż zziębniętym po wielu go-

drzinach poszukiwań ratownikom ledwie raczy się udzielić odpowiedzi przez zamknięte drzwi, i że ma to miejsce właśnie tam, gdzie można by się było spodziewać szczególnej pomocy i zainteresowania, o tym, że w miejscach pracy często patrzy się na tę ich działalność jako na swojego rodzaju wyczyny turystyczne i dużo jest kłopotu z uzyskiwaniem zwolnień z pracy, kiedy trzeba iść na akcję. Dyrektor, według obowiązujących przepisów, może zwolnić, ale nie musi. Stąd potrzeba jakiegoś lepszego prawnego zagwarantowania swobody działania dla GOPR.

Zastanawiam się nad jakimiś ogólniejszymi wnioskami z tego, co przeżyłem. Niby to nic nowego, lecz zawsze porusza bezinteresowny zryw kosztujący wiele sił, dla ratowania człowieka w potrzebie. („Człowiek pewien zstępował z Jerozolimy do Jerycha i wpadł między złoczyńców...”) I pytanie: czy w każdej potrzebie? I pytanie; czy tak pozostanie jeszcze długo? Czy ostoi się instytucja opierająca się na idei przychodzenia z pomocą? Wiadomo, jak w niektórych krajach skomercjalizowane jest ratownictwo. A tu: „...my jesteśmy przecież ochotnicy”.

Poszukiwanym był ksiądz kanonik Józef Stańko, długoletni wychowawca w krakowskim Seminarium Duchownym, w ostatnich latach pracujący przy kościele Św. Anny w Krakowie. Przyjaciół ludzi potrzebujących, dobry człowiek.

V
SAMOTNE WYSPY?

— Przepraszam, może mógłbym pani w czymś pomóc?

Zagadnięta odwraca się wyraźnie niezadowolona. Myślała, że jest już dostatecznie ciemno i późno, żeby nie zwracać na siebie ludzkiej uwagi. Oglądając się niepewnie, przemykała od jednego kosza na odpadki do drugiego, wybierała coś i szybko układała w dużej torbie, która niemal wlecze się po ziemi.

— Dziękuję uprzejmie, jakoś sobie radzę, nie, nie mi nie potrzeba...

Ubrana jest w czarny płaszcz, szalik, beret. Jest bardzo mizerna, blada, siwa.

— Tak, jest mi obecnie dość ciężko, ale jakoś sobie dam radę. Dziękuję, dziękuję bardzo — kończy już nieco łagodniej — to bardzo ładnie z pana strony, ale nie...

Nie wiadomo, jak taką rozmowę podtrzymać.

Jest coś nieprzyzwoitego w wyciąganiu z człowieka czegoś więcej o tym, z czym on się kryje.

Ale co wtedy pozostaje? Uchylić kapelusz i „...no to szczęść Boże, przepraszam, że przeszkadzam”.

Więc mówię ostrożnie i nieśmiało, że to przecież okropne, tak po śmietnikach, że może jednak jakoś uda się zaradzić...

I lody pękają, obronna skorupka nieufności okazuje się bardzo cienka. Teraz stoimy już niemal godzinę w jednym z ruchliwszych punktów Krakowa, w tej chwili pustym i cichym. Opowieść jest długa — o zwykłym życiu, nie bardzo udanym. O tym, jak było przed wojną, o okupacji, o śmierci matki — jedyne go bliskiego człowieka — i o samotności. Jeszcze o niemal zupełnej utracie wzroku, o rozerwaniu, który potrafił na ulicy i potem się okazało, że z jednym okiem już nie się nie da zrobić.

A najgorsze to, że sama. Przerażliwa samotność człowieka wśród ludzi.

— Nie mam absolutnie nikogo. Tylko sąsiadów, z którymi nie mogę dojść do ładu. Cóż, mają chrapkę na moje mieszkanie.

Odmówiła przyjęcia wszelkiej stałej pomocy. Dobrze,

przyjdzie czasem porozmawiać, albo jeśli będzie jej wyjątkowo potrzeba pomocy.

Była raz, może dwa. Potem spotkana przypadkiem, znów, późno wieczorem na Plantach, mówiła, że „przyjdzie jutro...” Nie przyszła.

Przemyka się pewnie wśród zapóźnionych przechodniów od jednego kosza do drugiego.

*

Siostra Zofia wyróżnia niektórych chorych. Zawsze umie zauważyć, kto bezskutecznie patrzy w drzwi w czasie odwiedzin, kto jest najbardziej swarliwy i przykry i dlatego omijany przez salowe, komu dokuczają chorzy.

— Taki jest najbiedniejszy — tłumaczy mi. — Bo proszę powiedzieć samemu: ksiądz na przykład — zawsze wianuszek gości, kwiatki, czekoladki... A ten...

Rozmawiamy z „tym” o siostrach. Stwierdza z przekonaniem:

— Siostra Zofia to taka „podejściowa kobieta”.

*

W naszym zatłoczonym świecie żyje mnóstwo ludzi samotnych. Nikt nie chce być niepotrzebny.

— Do czego możemy się przydać? — pytają samotni starzy ludzie. — Już nie możemy zająć się dziećmi — brak nam sił; nie możemy czytać chorym sąsiadom, bo mamy słabe oczy, mamy duże doświadczenie życiowe, piszemy wspomnienia; lecz nikt nas nie chce drukować. Opowiadamy — nie bardzo chcą nas słuchać. Z naszymi radami nikt się nie liczy.

I nie to jest dla nas najgorsze, że mamy mało pieniędzy, słabe zdrowie, słuch i wzrok. Najcięższe jest to, że jesteśmy samotni.

Pani M. śmieje się, że już nie jest stara, bo przeszła ze starości w długowieczność. Wiem, że kiedy przeczyta to co wyżej, pokręci głową, że coś nie tak. Pani M. jest samotna, chodzi dziś już z trudem, ma słaby wzrok i ręce zreumatyzowane, powykrzywiane. Gdyby Panią M. zapytać, czy jest samotna albo niepotrzebna, byłaby zdumiona. Tyle ma pracy — tłumaczy dla jakiegoś klasztoru książki Mertona, daje lekcje języków (bezpłatnie), śledzi

pilnie, co dzieje się w jej mieście, umie słuchać tych, którzy do niej przychodzą.

Nie można powiedzieć prościutko: człowiek na samotność skazuje się sam, wszystko zależy od tego kim się jest, człowiek dobry, otwarty, którego zainteresowania nie ograniczają się do własnej osoby, zawsze będzie przyciągał przyjaznych bliźnich. Można najwyżej powiedzieć, że bywa i tak, że na samotność człowiek skazał się sam.

Nie można powiedzieć prościutko: za dramat samotności naszych bliźnich odpowiedzialni jesteśmy my i jako odpowiedź na pytanie: czy dramat samotności ludzi starych jest do rozwiązania, odpowiedzieć w tonacji wesołego refrenu piosenki „kochajcie staruszki”, że trzeba zorganizować akcję odwiedzin przez harcerzy i ministrantów. Bo każdy dramat samotności człowieka jest zbyt skomplikowanym splotem spraw najbardziej wewnętrznych i zewnętrznych, czasem zupełnie przypadkowych zbiegów okoliczności, pozornie drobnych. I każdy dramat samotności jest inny. Jedno pewne: wiedza o tym, że obok nas, w świecie, który drży z obawy, że będzie nam za ciasno, za tłoczno w przeludnionych miastach i mniej przeludnionych miasteczkach („wszyscy się tu znają, każdy o każdym wszystko wie...”), w tej chwili kiedy piszę te słowa i kiedy je odczytujecie, umierają, czasem przez długie lata umierają rozpaczliwie samotni — nasi bracia w człowieczeństwie, bo nie mam odwagi napisać „w Chrystusie” — zabrzmiałoby to jak ironia.

Klatka schodowa jest schludna i jasna, jak w setkach innych kamienic w tym mieście. Za oknem spokojna ulica, choć wystarczy przejść kilkadziesiąt metrów i jest się w śródmieściu. Bliżej jeszcze znajduje się kompleks gmachów uniwersytetu i wystarczy trochę wychylić się przez okno, by zobaczyć dobrze znaną mieszkańcom miasta limuzynę rektora, zaparkowaną właśnie tu, bo uniwersytet nie ma wygodnego parkingu.

Najwyższe piętro. Dzwonek ktoś wydlubał, więc trzeba pukać. Najpierw jest ciemny, zagracony korytarzyk, kilkoro drzwi, jedne zamknięte na wielką kłódkę. Mieszkanie składa się z trzech sporych pokoi i dwóch pomieszczeń, z których jedno było kiedyś kuchnią (rozwalony częściowo piec kuchenny), drugie tak zwaną służbówką. W pierwszym pokoju (przechodnim) stoi sześć łóżek ustawionych obok siebie podobnie jak w salach szpitalnych, w drugim cztery, w trzecim trzy. W małych pomieszczeniach po jednym. Razem piętnaście.

A lokatorzy?... Mieszka tu piętnaście starych kobiet, piętnaście zupełnie dla siebie obcych kobiet, z których większość to rencistki, kilka zaś dopracowuje ostatnie lata do renty. Kiedyś było ich osiemnaście. Dwie umarły, jedna podobno wyszła parę miesięcy temu i nie wróciła, więc jest piętnaście.

Ktoś mi powiedział: proszę tam pójść zobaczyć, to jest piekło kobiet. Poszedłem, widziałem. Tak, to jest piekło kobiet. Piętnaście starych, zmęczonych, częściowo chorych kobiet.

W mieszkaniu jest zimno. W jednym pokoju nie pali się nigdy, w dwóch rzadko kiedy. W małych pomieszczeniach też nie. Niektóre kobiety leżą w ubraniu pod kołdrami, głowy mają pookręcane chustkami (— Nie, nie jestem chora, ale zimno, więc najlepiej w łóżku), jedna chora: — Na wszystko jestem chora, proszę księdza, na wszystko — odpowiada oburzona pytaniem o chorobę, raczej niedoubrana, wyskakuje z łóżka i w szlafroku wybiega za mną na korytarz, kiedy wychodzę, by tam szeptem informować

o swoich krywdach. Inne chodzą po pokoju, niektóre wyszły do miasta.

Przekładam jakieś części garderoby z krzesła na najbliższe łóżko, siadam i proszę, by mi powiedziały coś o sobie.

Drogi czytelniku, wybacz, że tego, co słyszałem, nie przekazuję dosłownie, lecz w streszczeniu. Myślę, że sam Ojciec Malachiasz, obrońca brzydkich słów, zgodziłby się ze mną, że nie mogę.

Od wielu lat mieszkają tu razem. Mają siebie zupełnie dość, niektóre wręcz się nienawidzą (naprawdę trudno się dziwić). Spod ścian obwieszonych świętymi obrazkami płynęła do mnie istna lawina złorzeczeń, wymyślań i żalów.

Nie palą w piecu, bo każda woli marznąć niż dopuścić, by za jej pieniądze inne się grzały, gaz wyłączono, bo nikt nie chciał płacić (— Ja tylko podgrzewam, a ona gotuje. I co, ja mam płacić? Nie!). Pod łózkami trzymają małe palniki spirytusowe i na nich podgrzewają jedzenie. Każda gospodaruje na własną rękę. Pod łózkami trzymają garnki, talerze, kubki, zapasy jedzenia. Na krzesłach i poręczach łóżek wiszą części ubrania. Krzesłami odgradza się jedno królestwo od drugiego. Boją się siebie nawzajem (jakaś okropna historia o usypiającym proszku i kradzieży kawałka futrzanego kołnierza).

Było tu kiedyś pogotowie ratunkowe (opowiadają tę historię z takim przejęciem i krzykiem, jakby zdarzyła się dziś w nocy, okazuje się, że było to dwa albo trzy lata temu). Zaczęło się od dyskusji nad problemem, czy są dobrzy ludzie na świecie czy nie. Skończyło się rozbiciem szklanki na głowie tej, która na świecie widzi tylko złych.

Znalazły się tu przed wielu laty, ponoć z inicjatywy „Caritasu”. Miał to być rodzaj pensjonatu dla starych kobiet. One miały wpłacać po trzysta złotych miesięcznie, „Caritas” wyznaczył kierowniczkę. Ale kierowniczka pięć lat temu umarła. Nikt nad całością już nie czuwa. Każda płaci administratorowi miesięcznie około trzydziestu złotych czynszu (160 zł za pokój). Wszystkie mają przydział na to mieszkanie (— Miejsca mamy tyle każda, co nieboszczyk na cmentarzu — stwierdza jedna. Inna obłożyła podłogę koło łóżka kawałkami kartonu: — Tyle mi miejsca wystarczy, czemu więc muszę płacić więcej po śmierci tamtych dwóch? — pyta z oburzeniem.) Nie są w sytuacji

kwalifikującej do domu staców. Ostatecznie mają dach nad głową, mają za co żyć. Zresztą, wbrew temu, co z wielkim przekonaniem — przynajmniej niektóre — twierdziły, wcale nie jestem pewny, czy o domu starców marzą.

Rozmowa z nimi (w jednym z pokoi) to właściwie godzina słuchania wielkiej awantury na sto tematów. Zarzutów i epitetów nie cytuję.

W drugim pokoju pełne niedopowiedzeń danie do zrozumienia gościowi, że nawet bladego pojęcia nie ma o tym, co tu się dzieje, kiedy nikogo obcego nie ma. W trzecim rezygnacja: — Już dwie się wyprowadziły (mowa o zmarłych), reszcie jakoś się nie śpieszy. Czekamy na swoją kolejkę...

I wszędzie ten sam refren wypowiedziany w różnych tonacjach: — Księżę, co tu można pomóc? Milicja próbowała, dała spokój, parafia też, i też przestała się interesować... Trzeba czekać aż powymierają.

I jeszcze o Ojcu świętym, że pomaga Indiom, więc może i im pomoże, wybuduje dom czy coś takiego, o księżach, nie bez zgryźliwości, że tak nagle zaczynają interesować się starymi babami itd.

Ten opis bynajmniej nie jest po to, by zachęcić pana rektora do pożyczania wozu babciom na przejażdżki (murowana awantura o kolejkę i kto jak długo), ale by raz jeszcze przypomnieć tę smutną starą prawdę, że tuż obok, że na naszej klatce schodowej, że w domu mijanym sto razy...

Miałem zamiar iść do administratora, ale okazało się, że umarł przed miesiącem. Zresztą, czego można w tej sprawie chcieć od administratora?

W jednym z pokoi są wyraźnie dwa miejsca wolne. Choć inne łóżka stoją ciasno, te dwa miejsca (po zmarłych) pozostawiono wolne. Podobno pozostała mieszkanka kąta skutecznie zniechęca towarzyszkę do przemeblowania. To wszystko przypomniało mi szarego brata Alberta Chmielowskiego i jego przeprowadzkę do miejskiej ogrzewalni...

*

Przełożona albertynek nie wydawała się zaskoczona moim projektem. Twierdzi co prawda, że wprowadzenie się

siostr niewiele by dało. Powiedziała jednak, że sprawę biorą w swoje ręce. Natychmiast z towarzyszącą siostrą ustaliły, która siostra tym się zajmie, co trzeba zrobić.

Najdziwniejsze: na końcu powiedziała, że bardzo mi dziękują...

List:

„Relacja Księdza z wizyty u piętnastu mieszkających wspólnie kobiet («Rozmowy niedokończone» w „Tygodniku Powszechnym” nr 5 z 4 lutego 1968) zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Zdaje się Ksiądz sugerować, że radykalnym rozwiązaniem byłby dom starców, gdyby te kobiety chciały tam się przenieść i zostały przyjęte. Tak — miałyby tam ciepło i czysto, miałyby także znośne wyżywienie i opiekę lekarską. Ale jeśli chodzi o stronę moralną, o stosunki międzyludzkie, to niestety sprawa wygląda tam podobnie.

Od kilku lat odwiedzam staruszkę w domu dla przewlekłe chorych i na wiele rzeczy się tam napatrzyłam i wielu nasłuchałam. Tam też jest wzajemna wrogość i podejrzliwość. Pensjonariuszki niczego sobie nie pożyczają, niczym się nie dzielą, w niczym sobie nawzajem nie pomagają. Często natomiast kłócą się, »wyzywają« lub na odmianę «nie rozmawiają z sobą», a nieraz dochodzi i do rękoczynów. Poza nielicznymi wyjątkami tkwią też w beznadziejnej bezczynności, choć wiele z nich mogłoby jeszcze wykonywać lepszą i odpowiednią pracę. A przecież mają opiekę sióstr i swego duszpasterza — widocznie i oni nie mogą wpłynąć na poprawę tych stosunków. Wiele wytłumaczyć można sklerozą i zbyt wielkim stłoczeniem pensjonariuszek, ale chyba nie wszystko.

Podobno na starość nasze wady się pogłębiają, ale zło musi tkwić w duszach już wcześniej — i wcześniej, w latach dojrzałych, trzeba chyba starać się je wykorzenić. Nie wydaje mi się, aby główną przyczyną nieporozumień było skąpstwo, to nie jest cecha wybitna charakteru polskiego. Chodzi tu raczej o obawę, aby nie być wykorzystanym, aby nie »wyjść na frajera«, jak się potocznie mówi. Każdy tzw. porządny człowiek, porządny chrześcijanin nie chce wykorzystywać innych, ale nie chce też być wykorzystywany. Rządzi się w życiu poczuciem sprawiedliwości, zapominając o najważniejszym — o miłości. Dotyczy to chyba nas wszystkich, poza jednostkami, które ratując pojęcie człowieczeństwa i chrześcijaństwa dają wspaniałe nieraz przykłady bezinteresownej miłości i poświęcenia. Na ogół... Nie

przychodzi nam do głowy, że nie wystarczy nie kraść i nie oszukiwać, aby być chrześcijaninem. «Jeden drugiego brzemiona noście» — to dla nas nauka zupełnie niezrozumiała.

Z nadmiernego szacunku dla sprawiedliwości kosztem miłości wynikają chyba opory wielu katolików w stosunku do niektórych przypowieści ewangelicznych, np. o zapłacie robotników w winnicy, o synu marnotrawnym czy o radości z odnalezienia jednej ze stu owiec. Dużo tu chyba winy dawnego duszpasterstwa nastawionego na negację, na zwalczanie grzechów i nałogów, a zbyt mały nacisk kładącego na pozytywny aspekt chrześcijaństwa.

Lecz «gdzie kończy się pomoc drugiemu, a zaczyna się popieranie jego wygodnictwa? Gdzie kończy się dobroć, a zaczyna słabość?» — pyta słusznie ks. M.M. («TP» nr 7 z 18 lutego 1968). W każdym razie chyba trzeba sobie ten problem stawiać i nieustannie wybierać.

Może Ksiądz napisze coś o tym w swych «Rozmowach», może w jakiś sposób przyczyni się do lepszego zrozumienia tego problemu, zwłaszcza przez duszpasterzy i katechetów, bo właściwą postawę trzeba kształtować od dziecka i przez całe życie.

A wtedy przy końcu życia może nie będziemy się tak bardzo obawiać, że ktoś skorzysta z naszej pracy, naszego węgla czy naszej kuchenki.

Niezależnie od tego, problemy domów starców czy rencistów należałoby głęboko i generalnie przemyśleć i oprzeć je chyba na innej zasadzie, bo oczekiwanie w gromadzie obcych starych ludzi na śmierć, która jest jedynym możliwym wyjściem, zawsze pozostanie czymś strasznym i nieludzkim.

Pozostawanie ludzi starych i chorych w rodzinach (o ile je mają) też stwarza wiele problemów nie do rozwiązania w obecnych warunkach i nie zawsze jest korzystne tak dla nich, jak i dla całej rodziny, ale to już inna i także wymagająca głębokich przemyśleń i studiów sprawa”.

*

W Dzielnicowej Radzie Narodowej orzekli: „...przypadek niekrytyczny, miejsca w domu starców nie możemy dać. Babcia ma dzieci”.

Fakt: babcia ma dzieci.

Ma dziewięćdziesiąt pięć lat. Dzieci miała dziewięcioro. Trzech synów zabili Niemcy. Teraz od jednej córki dostaje sto złotych, od drugiej pięćdziesiąt. U tej drugiej mieszka. Ma w kuchni żelazne wyrko, pod wyrkiem kufierki. Pościel jest pstrokata od robactwa. Żyje na „własnym garnuszk”. Nawet zapalki musi mieć własne. Kilka miesięcy temu, gdy było ślisko, wiatr przewrócił babcię. Nie mogła wychodzić. Przez te kilka dni nikt nie kupił jej mleka ani pieczywa. Babcia nie ma bielizny na zmianę, ciepłych rzeczy. Chodzi w zdartych filcakah. Niedowidzi.

Ostatnio zachorowała, zżółkła, dostała wymiotów. Tamci wychodząc z domu zabierają klamkę od okna, którego otworzyć nie można. A piecyk gazowy jest nieszczelny i ulatnia się gaz. Rodzina babci wie o tym i zaraz po powrocie z pracy, gdy zaczynają kręcić się po kuchni, wietrzą otwierając okno i drzwi na przestrzał (od czego babcia przeziębiła się i kaszle). Termin umierania dali jej do Wielkanocy — bo ma być remont. Na szybie drzwi zamkniętej części mieszkania wisi różowa sukienka balowa wnuczki-maturzystki, jedynaczki. Zięć nie daje babci grzać jedzenia. — Zdychaj, cholero, jak będziesz żarła, to będziesz dłużej żyła.

Przypadkowe spotkanie. Dobra ręka ujmująca pod ramię na skraju niewyraźnie majaczącej przed niedowidzącymi oczami jezdni, pełnej rozpędzonych samochodów. Ktoś słucha, przejmuje się. Po przejściu przez jezdnię nie wypuszcza ramienia, odprowadza do domu.

Tak zaczęła się historia ratowania babci. („Ksiądz pewnie myśli, że jestem bardzo zamożna? Mąż pracuje na pięć osób, ja mam tylko zaradne ręce... Mam dwie dziewczynki, studentki, daleko w świecie na swoim chlebie i nauce, nie mam innej formy opieki nad nimi. Uczono mnie: gdy dzielisz się tym, czego masz niewiele — Pan Bóg ci drugimi drzwiami wróci — więc to jest interesowność, owo trochę ponad stan świadczenie. Ale mąż nie buntuje się. Nigdyśmy nie mieli bogactwa, dywanu, telewizora. Nie trzęsiemy się nad każdym groszem...”)

Zacząło się przynoszenie garnuszków ciepłej stawy. Znalazła się czysta pościel, bielizna.

Koszula posłużyła jako argument dla parafii: ...Zobaczcie, jaką bieliznę nosi prawie niewidoma babcia —. W parafii dali buty z filcu na skórze. Siostra urszulanka wypro-

siła siennik u swoich władz — uroczyście niosły go obie do autobusu. Stary siennik wraz z menażerią powędrował do śmietnika. Babcia, wykąpana, w czystej pościeli, w poczuciu, że ktoś o niej myśli, poczuła się lepiej...

Wszystkich zabiegów koło babci dokonywano wówczas, gdy nikogo prócz niej nie było w domu. Aż któregoś dnia spotkana na schodach sąsiadka, przyjaciółka babci, ostrzeża: — ...Dziś niebezpiecznie, córka na zwolnieniu. Jest tam i wrzeszczy... — (Ciężka torba, pełna zapasów na dwa dni robi się jeszcze cięższa. Strach. Sąsiadka proponuje, że ona zanieś. Sąsiadka jest ułomna, chodzi o kulach. Trzeba zanieść torbę pod drzwi na trzecim piętrze, potem wycofać się na półpiętro i czekać. Chwila ciszy i wrzask: — Co sobie myślicie. Dość tej żebraniny. Tylko żre i... — Trudno dalej cytować.

Zwolnienie córki potrwa co najmniej trzy dni, babcia bez jedzenia.

W Radzie Narodowej powiedzieli, że wezwą córkę babci jutro na jedenastą. Zagrozili, że kwaterunek zabierze im jeden pokój, jeśli babci będą robili krzywdę. Czternaście lat temu siłą zabrali staruszkę od drugiej córki, żeby dostać większe mieszkanie. — Ależ oni mają głowę, skarbecku — zachwycała się babcia postawieniem sprawy przez DRN.

Babcia opowiada: zięć kiedyś gotował flaki. W kuchni był straszny zaduch. (Babci wyjść nie pozwalają, niczym też nigdy jej nie poczęstują.) Potem zaczął wietrzyć. Staruszka skostniała.

— Czy mogę się już położyć?

— Zdychaj na stojąco, cholero, jeszcze się na Bródnie wyleżysz.

Powiedziała to i, jakby żałując skargi, złożyła ręce jak do pacierza, i gwałtownie, jakby chcąc Pana Boga, siebie i słuchacza przekonać, powiedziała: — Dobrzy są, nie pamiętaj im tego Panie Boże... — Taka to babcia.

*

Może ktoś mnie pomówi, że tymi historiami o babciach nawołuję do niesympatycznej filantropii. Myślę jednak, że istnieje próg możliwości pomagania człowiekowi, którego instytucja przekroczyć nie może. Może przekroczyć dobry człowiek.

Zdzisława S. — głównej postaci tej historii — nigdy w życiu nie widziałem. Zresztą nie jestem wcale pewny, czy to rzeczywiście jest historia z jedną postacią centralną. Bo jest jeszcze rodzina S. — są ludzie z Wydziału Opieki Społecznej PRN w P. A więc pierwszy rozdział historii o nich. Historia będzie miała dalszy ciąg. Jaki?

Najpierw, było to kilka dni temu, ktoś opowiedział mi o spotkaniu ze Zdzisławem S. Na inwalidzkim wózku poruszającym za pomocą „ręcznego kręcenia pedałami” zaniedbany, brudny, z trudem nawiązujący rozmowę, snujący się po Krakowie. Żebrał. Lat trzydzieści jeden, zamieszkały nigdzie, ponoć często sypia pod gołym niebem. Niedorozwój umysłowy, cztery klasy szkoły podstawowej, wypadek niecały rok temu, uszkodzony kręgosłup i zdolność samodzielnego dowleczenia się z ławki na wózek przy pomocy drewnianych kul. Można było poprzestać na daniu jałmużny — można było szukać gruntowniejszych sposobów zaradzenia biedzie: więc doraźnie pięćdziesiąt złotych na nocleg, ale w hotelu nie chcieli przyjąć brudnego kaleki, choć papiery miał w porządku. Nocował na milicji. I pomoc na dalszą metę zakrojona: zbadanie sprawy. Co? Dlaczego?

Rozmawiałem w Wydziale Opieki Społecznej PRN w P. Mówi pani z Wydziału: Wszystkie kłopoty stąd, że on uległ temu wypadkowi. 24 czerwca 1969 roku wracał z pracy, chciało mu się pić, wszedł na przydrożną wiśnię, zleciał i uszkodził sobie kręgosłup, dwunasty krąg. Stąd bezwład nóg. Ojciec go w domu trzymać nie chce, bo mu się wydaje, że trzymać go nie musi. Zdzisława S. znam od czasu, jak przyszłam do Opieki Społecznej pięć lat temu. Wtedy starałam się o skierowanie go do pracy. Czy ojciec jest zamożnym gospodarzem? Gospodarzem raczej nie, ma 0,98 ha gruntu, ale pracuje dodatkowo w kotłowni miejskiej i zarabia około dwóch tysięcy złotych. Jeszcze wyrabia koszyczki, które sprzedaje na jarmarku. Na tym też dużo zarabia. Proszę zwrócić uwagę na tę rubrykę: osoby zobowiązane do alimentacji. Matka, Wiktoria S., lat 56 na gospodarstwie rolnym 0,98 ha, Stefan S., ojciec, lat 54, pra-

cuje, zarabia około 2 tys. złotych, Lidia S., siostra, lat 27, pracuje, zarabia 700—900 zł, Krzysztof S., brat, pracuje w kółku rolniczym, zarabia 2 tys. zł. Więc wszyscy pracują, tylko Zdzisław nie ma utrzymania.

Sprawa alimentacji się przeciąga, a powinna być załatwiona w pierwszej kolejności.

W tej chwili ma inwalidzki wózek ręczny. Prosi o wózek motorowy, taki na benzynę — „Picolo”. W podaniu napisał, że musi dojeżdżać do pracy do Krakowa. Jak zarabia? Nie wiem. Czy zajmuje się żebraniem? Chyba tak. Wciąż nie może się zdecydować, czy chce pracować, czy nie. Jemu zasmakował już chyba chleb żebracki. To mu łatwo przychodzi. Cóż, są tacy ludzie...

Zdzisław S. jest żonaty. Z żoną nie mieszka, to zresztą stara sprawa. Jeszcze nie był tak ciężko poszkodowany, tyle, że trochę upośledzony na umyśle, nie bardzo. Miał wtedy kłopoty z ojcem, nie mogli dojść do porozumienia. Nasz opiekun społeczny kilkakrotnie tam chodził, ale do porozumienia nie można było doprowadzić. Jakiś czas mieszkał z żoną w Kieleckiem, ona pracowała w spółdzielni produkcyjnej, on też coś tam robił i jakoś było. Twierdzi, że ojciec zaczął przerabiać jego żonę, żeby z nim nie żyła i sam z nią żył. Ojciec znów twierdzi, że on żył z własną matką. To wszystko wprost nie do pomyślenia. Kiedy rozstał się z żoną (rozvodu nie mają), on przyszedł tu, do nas, i zatrudniliśmy go w spółdzielni inwalidów w Krakowie. Stamtąd po sześciu miesiącach zwolnił się. Znowu był problem zatrudnienia. Znaleźliśmy mu pracę tutaj, w „Ochronie Mienia”. Pracował jako stróż niecały rok i uległ wypadkowi. Był osiem miesięcy w szpitalu, później został skierowany do sanatorium w Łądku-Zdroju. Jak wyjeżdżał do sanatorium, kupiliśmy mu wszystko, czego potrzebował, wydaliśmy ponad cztery tysiące złotych: piżamy, papucie, osobiste rzeczy, garnitur, kurtkę, dosłownie wszystko. Po dwóch tygodniach wrócił z sanatorium, a miał być trzy miesiące. Wtedy przyszła do nas jego matka i powiedziała, że syn wrócił i prosi o zapomogę. Ja pytam, dlaczego wrócił tak prędko, a ona: — ...syn mówi, że mu tam jeść nie dawali. Ja na to: w sanatorium? Jeść nie dawali? To nie do pomyślenia. Na tym to już mnie pani nie okłamie. To nic nie powiedziała i wyszła. Po trzech dniach on przyszedł do nas i wtedy postarałam się o adwokata

z urzędu, żeby miał alimenty od ojca. No i staramy się z PZU o odszkodowanie. Prawdopodobnie to odszkodowanie dostanie. Około czterdziestu tysięcy... Ja już myślałam, żeby on zamieszkał gdzieś w Krakowie z matką i wziął pracę chałupniczą. Ale z tą matką jakoś trudno dojść do porozumienia. A on z kimś musi być, ktoś koło niego musi wszystko zrobić... Wie pan, ja jestem doświadczona w tych sprawach, bo od lat pracuję w Opiece Społecznej, ale jak przychodzi co do czego, to i jedna strona, i druga ma rację. Nie wiadomo, kto jest gorszy, kto lepszy w tym wypadku. Przecież on mógłby w domu te koszyki robić, ojcu pomagać. A ojciec znów mówi, że on nic w domu nie chce pomóc, tylko się włóczy.

Dokumenty: podanie o wózek „Picolo” — z tymi dojazdami na zarobek do Krakowa w motywacji. Wywiad społeczny: inwalida III grupy, zwolniony z pracy w lutym 1970, ponieważ uległ wypadkowi i przebywał w szpitalu przez okres pół roku. Protokół: „...uległem wypadkowi... ojciec stale pracuje... robi takie koszyki, które sprzedaje na jarmarkach sezonowo, zarabia 15 — 20 tys. zł. Wiadomo mi, że ojciec ma na książeczkę ok. 100 tysięcy. Na moje i matki utrzymanie nie daje, jesteśmy bez środków do życia...” i nagryzmołony podpis: Zdzisław S.

Wioska P. leży blisko Krakowa. Tyle że trzeba z szosy zjechać na nieprawdopodobnie wyboistą boczną drogę. Ze trzy, cztery kilometry. Chyba w czasie deszczowym nie do przebrnięcia. I od tej drogi jeszcze jedna dróżka — pięćset metrów na uboczu domek i te 0,98 ha zaraz przy domu. Domek z cegły i żużlobetonu.

W polu za płotem schylona kobieta. Czeka, aż podejde. Ja w obejściu, ona za płotem na polu.

Tak, jest matką, ale ona nic nie wie. To mąż raczej. Mąż idzie. Wysoki opalony, szpakowaty. Więc ja: że może coś da się zrobić — pomóc. Oni oboje — zwłaszcza on — że nie wiedzą gdzie jest, że tak się martwią, że jak zachorował w dzieciństwie, to lekarze powiedzieli, że będzie miał umysł piętnastoletniego dziecka. Potem wyrwał krzew tytoniu — siostra zwróciła mu uwagę, a on w siostrę kamieniem i w oko. Wtedy uciekł. Tu czuje się, że historię tę wiele razy powtarzali.

Milczę, słucham. A gospodarz do żony: — Tak było? A ona — tak, tak, to był krzak tytoniu. On dalej: — My

bolejemy, mógłby tu siedzieć, nie wiemy gdzie jest, gdyby siedział w domu, nie byłoby wypadku....

Ona: — Jak był ostatnio, miał taką brudną koszulę. To mówię: dam ci czystą. A on, że nie, że jeszcze czysta... Napisze kartkę, to mu zaniosę. (Wiem, że pokryjomu przed ojcem przychodzi lub spotyka się z matką.)

On: — To wszystko przez tę pracę. Oni jemu muszą zapłacić. A może mu to przypadnie? Może to ja, ojciec, powinienem się starać? On stara się o wózek. Po co mu wózek? W domu by siedział, nic nie musi robić (i paskudna myśl w mojej głowie: cóż, synek wart teraz czterdzieści tysięcy).

Do koszyków — e, panie, to taka zabawa — talent trzeba mieć. A on nie ma.

Więc ja (w nieświadomości jeszcze błogiej): może do jakiego internatu, zawodu by się nauczył?

On: — Tak, to by też było dobre.

Ja: — Pan by płacił mu to, co na niego przypada.

On: — Panie, co ja tej ziemi mam... Ciężko jest.

I znowu, że w domu by siedział...

Więc ja: — Że jakieś nieporozumienie z synem, jakieś żale syna do ojca i ojca do syna.

Na co on odpowiada długą opowieścią o skradzionych z portfela kilku stówkach (nie wszystkich co były w portfelu, ale kilku).

Zawsze jakoś tak wychodzi, że Zdzisław coś zmalował i uciekał...

Mówię: — Wie pan, że syn pana jest żebrakiem?

On zdziwiony, a żona się lekko oburza i do męża: — A coś ty myślał, co będzie robił, jak nic nie ma. — I milczenie.

Nic tu nie wskóram, widzę, więc z powrotem na wyboistą drogę, do szosy i do Krakowa.

W powiecie mówi się: Kraków zdecyduje, Kraków załatwi, do Krakowa mam skierować pismo... W powiecie powiedziano mi gdzie i co. Odpowiedni wydział WRN w Krakowie. W sekretariacie głową wskazano mi drzwi: — Informacja? to do kierownika G.

Zapukałem.

— Niech pan nie puka, tylko wchodzi.

Przy zsuniętych biurkach kilku ludzi debatuje nad papierami. Zebranie? Kierownik natychmiast podchodzi do mnie, po krótkim przedstawieniu sprawy Zdzisława S. rozumie całą złożoność problemu. Mówi: — To jest wyjątkowy przypadek, ale właśnie wyjątkowymi musimy się zajmować szczególnie uważnie.

Jakie są możliwości rozwiązania sprawy Zdzisława S.?

1) Doszkolenie — w ramach szkolenia zawodowego inwalidów, konieczne siedem klas...

2) Powrót jego do domu — z rozeznania przeprowadzonego przez PRN Opiekę Społeczną wiadomo, że ojciec nie chce go przyjąć, że on nie chce wrócić. Czy gotowość deklarowana w czasie mojej bytności ma związek z przewidywanym odszkodowaniem?...

3) Zakład specjalny opieki społecznej (taki jak w Krakowie Zakład Helców) — bez możliwości pracy poza zakładem — w zakładzie zatrudnienie przy pracach gospodarczych itp. z możliwością wychodzenia do miasta, jedynym rygorem jest obowiązek obecności na posiłkach. Ale Zdzisław:

a) Mógłby jeszcze nauczyć się zawodu.

b) Przy skłonnościach do żebrania ten zakład zdaje się nieodpowiedni.

4) Zakład dla upośledzonych psychicznie. Na pewno jego stan nie kwalifikuje go do takiego zakładu.

5) Idealne rozwiązanie: internat dla inwalidów — z możliwością nauczania się zawodu i jakąś formą opieki wychowawczej.

Internat taki był w Krakowie. Jednak od szeregu lat nie przyjmuje się tam nikogo. Dawni pensjonariusze pozakładali rodziny i nie mając możliwości znalezienia pracy gdzie indziej, stopniowo zapelnili internat jako stali mieszkańcy.

Więc co ze Zdzisławem S.? Nie wiem. Kierownik G. dał mi swój telefon. Mam się dowiedzieć.

Ten rozdział drugi historii Zdzisława S. będzie dopiero napisany.

Dostaję wiele listów z wymyślaniami, które sobie bardzo cenię i staram się brać do serca. Jedno napawa mnie smutkiem i zadumą: dlaczego tak niewielu chce podpisywać swoje mądre i słuszne listy? Człowiek czasem chciałby zapytać o coś, czasem bardzo zwyczajnie wyjaśnić coś lub się usprawiedliwić, a tu szukaj wiatru w polu. Listy te zwykle zawierają formułkę: „pewnie list ten będzie wyrzucony do kosza...” Drodzy Korespondenci Anonimowi, a co mam z Waszymi listami robić?

Dziś otrzymałem list, którego jednak nie wyrzuciłem do kosza i nie widząc innego sposobu, odpisuję Autorowi „na łamach”, no bo gdzie?

Mniejsza, że list napisany jest na potłuszczoneym świstku; zabolala mnie jego treść. Chodzi o artykuł „Sprawy Zdzisława S. rozdział pierwszy” („TP” nr 22/1970). Autor listu adresowanego zresztą z dużą precyzją do mnie do domu pisze: „Komu i czemu ma służyć opisywanie tego rodzaju bagna. Czy na tym polega praca «kapłana — społecznika»? To, że Red. Turowicz to zamieszcza, to żaden dowód, że powinno się podobne brudy prać publicznie i że tym «praczem» jest duchowny. Czy takie rozmowy prowadzi Ksiądz i z akademikami?

Wiem, rzuci Ksiądz ten list do kosza klnąc mnie «starą dewotkę». To najłatwiejsze. A jednak grubo Ksiądz się myli. Jestem autorem artykułów, które Ksiądz z pewnością czytuje. Z doświadczenia i przeświadczenia powiem Księdzu, że żeby pisywać w prasie, i to katolickiej, trzeba mieć nie tylko szacunek do prawdy, ale i wyczucie czytelnika, szacunek dla czytelnika i jego kultury. Czytelnik”.

Szanowny Anonimie. Bardzo szkoda że tak dokładnie wiedząc, gdzie mieszkam, nie wpadł Pan do mnie, czy przynajmniej nie zadzwonił, ale jeśli woli Pan taką formę „dialogu z za płotu”, to trudno, niech i tak będzie. Otóż, na podstawie Pana listu (pomimo że z pewnością czytuję Pańskie artykuły) rzeczywiście mam wrażenie, że jest Pan „starą dewotką”. Dlaczego mam takie wrażenie? Dlatego, proszę Pana, że ze sprawy Zdzisława S. wyczytał Pan tylko

tyłe. I jeszcze dlatego, że właśnie i tylko to Pana tak bardzo zgorszyło. Bo rzeczywiście to, co opisałem, jest wysoce gorszące, tylko akurat nie w tym miejscu, gdzie Pan się zgorszył. To, co dla Pana jest gorszące (dołączył Pan wycinek z pięciokrotnie zakreślonym zdaniem o konflikcie Zdzisława z ojcem), to nie tyle „bagny”, jak ładnie Pan określa, lecz po prostu wielka tragedia.

Muszę się przyznać Panu, że poważnie zastanawiałem się, czy o tym napisać. Wątpliwości moje były jednak znowu zupełnie innej natury niż Pana zgorszenie. Bałem się, czy to nie będzie jakaś forma naruszenia prawa tych ludzi do dobrego imienia (mimo zmian w nieistotnych okolicznościach i zastąpienia nazwisk i nazw miejscowości literami). Jeżeli napisałem o tych smutnych sprawach w ten sposób, że przedstawiłem zarzuty obu skłóconych stron, to dlatego, by pokazać, że nikt tu prawdy nie dojdzie i że przedmiot sporu czyni beznadziejnymi próby pogodzenia.

I tu dochodzę do wyjaśnienia, dlaczego uważam opisaną historię za gorszącą. Dlatego, widzi Pan, że mimo naprawdę całej dobrej woli ludzi i instytucji zamieszanych w nią, dla Zdzisława nie ma miejsca nigdzie. Niech Pan zrozumie: dla tego człowieka z bezwładnymi nogami, z rozumem piętnastolatka po prostu nie ma miejsca. Bo albo zamknie się go w zakładzie dla umyślowo chorych, chociaż umyślowo chory nie jest, albo w domu kalek, gdzie przepisy nie pozwalają pensjonariuszom pracować zawodowo. Wolno im natomiast swobodnie wychodzić, a doskonale wiemy wszyscy, ilu z nich żebrze, a Zdzisław podobno w tym chlebie już zdążył zasmakować... Jest jeszcze możliwość powrotu do domu, gdzie ojciec, nagle zmieniwszy zdanie, chce go przyjąć (odszkodowanie?). Ale jaki będzie los kaleki w domu, po tym wszystkim, co było między nim a ojcem?

Oczywiście, Pana to nie gorszy ani nie przeraża. Pana gorszy jedynie, że konflikt dotyczył takich brzydkich rzeczy. A czy pogłowił się Pan, jakie wyjście z sytuacji znaleźć? Nic o tym w Pana liście nie ma.

Wie Pan, bardzo żałuję, że nie potrafię opisać Panu głębokiego zatroskania, jakie okazał kierownik odnośnego wydziału Wojewódzkiej Rady Narodowej. Tamtego czło-

wieka nie obchodziło, czy zarzuty ojca są słuszne, czy też syn ma rację. Dla niego jedno było jasne: Zdzisław nie może do domu wracać, trzeba pomóc człowiekowi.

Jest Pan łaskaw pytać z troską, czy takie rozmowy prowadzę z akademikami. Tak, proszę Pana, takie właśnie i jeszcze bardziej „gorszące”. A czy Pan wie, o co często mają pretensje młodzi, którzy są przez nas formowani? Kiedy już wejdą w życie, mówią lub piszą: uczyliście nas świata wyidealizowanego, nie nauczyliście nas, jak mamy reagować na taki, jaki jest. Chętnie powiem Panu jeszcze, co z tych gorszących rozmów wynika: Zdzisława S. „odkryła” studentka. Obok wózka kaleki przeszło tysiąc chrześcijan, kilkudziesięciu dało mu po kilka groszy, a jedna ona zobaczyła człowieka, którego trzeba ratować. To ona pierwsza pojechała do miejscowości, gdzie mieści się zainteresowany sprawą Wydział Opieki Społecznej, ona, poznawszy beznadziejność sytuacji Zdzisława, bynajmniej nie zgorszona, zaczęła mobilizować wszystkie możliwe środki, by znalazło się wyjście z sytuacji.

Jest mi doprawdy przykro, ale uważam, że krzyczenie o gorszących sprawach (w tym znaczeniu gorszących, jak to wyżej określiłem) jest obowiązkiem nie tyle „kapłana — społecznika” (jeśli koniecznie chce Pan używać tej okropnej nazwy), co po prostu każdego człowieka. A tak się składa, że będąc księdzem, bardzo chcę pozostać człowiekiem.

W tym szpitalu leżą sami połamańcy. W ciągu dnia po korytarzach kuśtykają o kulach postacie z monstrualnymi gipsami, a łóżka obstawione są maszynami wyciągowymi i szynami Browna. Często misterny system woreczków z piaskiem i koców spiętrza się na łóżku, jako podpórka pod puchnącą nogę.

Połamaniec połamańcowi nierówny. Są połamańcy skomplikowani, są tacy, którzy się nie zrastają, połamańcy podwójni i potrójni, a także zwykli, z prostym złamaniem, które wystarczy włożyć w gips i czekać, aż się zrośnie.

Noc ma jakiś fatalny wpływ na złamane kości. Sprawdzono. To, co za dnia było do wytrzymania, w nocy zaczyna boleć, nie mieści się w gipsie, dręczy, nie daje zasnąć. Właściwie nawet trudno dzwonić po siostrę. Wiadomo, trzeba doczekać dnia. A kiedy już nie można wytrzymać, zapala się nocną lampkę i usiłuje się kłocowatą kończynę ułożyć lepiej. I wtedy zwykle zjawia się siostra, bezszelestna i zatroskana, ostrożnie pomaga w układaniu nogi, przynosi lekarstwo przeciwbólowe, podaje picie, mówi coś miłego...

Często słyszy się złe rzeczy o obsłudze w szpitalach, więc połamaniec jest zdziwiony: — Siostrzo, siostrza przecież wie, że to jest najzwyklejsze złamanie, że za dziesięć dni przestanie boleć, że teraz boleć musi. Takich złamań macie wciąż masę. Dlaczego więc specjalnie przychodzi siostra, przejmuje się, pyta, czy boli? Czy siostry nie twardnieją? Czy nie mówią sobie w duchu: stary histeryku, pieścisz się ze sobą? Wiem, są takie bóle, że trudno się nie przejąć. Ale nie każdy. Przecież obiektywnie...

Siostra odpowiada bardzo poważnie (może przemyślała to między jednym wściekłym terkotem dzwonka a drugim w ciągu długich nocnych dyżurów?):

— Proszę pana, pan jest księdzem. Czy jeśli spotka się ksiądz z ludzkim bólem, to zastanawia się ksiądz, czy obiektywnie jest to duży ból czy mały? Czy nie wystarcza, że człowiek jest cały zbolały, że dla niego jest to ból ciężki, nie do wytrzymania?

Siostra odchodzi, bo znów pod jakimś gipsem świdruje

„największy ból wszechświata”. Za tydzień przestanie boleć, ale dziś nie istnieje nic poza nim.

Nie, nie jesteśmy „angelologami” — wiemy, że tak jest niewszędzie... Od opisywanego szpitala do przychodni droga trwa kilka zaledwie minut.

— Następny proszę.

Wchodzi jakiś człowiek. Przyjechał ze wsi. Ręka okrecona bandażem, wystają tylko obrzmiałe, czerwone paluchy. Człowiek jest przerażony, obolały i zgubiony w nowym nieznanym świecie. Zatrzymuje się przy drzwiach.

I zaraz krzyk:

— Bliżej! Siadać!

W sali stoi fotel dla badanego i stołeczek do oparcia chorej nogi. Mówił mi ktoś, że zawsze ci ze wsi, witani krzykiem, siadają na stołeczku, na samym brzeżku. I znów krzyk: nie tu! Przerażony, zgubiony człowiek znów się zrywa, rozgląda... W ciągu minuty krzyczano już na niego trzy razy.

Na łóżku pod ścianą leży młody gospodarz z podkrawkowskiej wsi, którego sąsiad zdzielił kilka razy kołkiem z płotu w głowę i rękę. Chory otrzymuje dwa razy dziennie wielki dożylny zastrzyk glukozy. Ponieważ boi się go panicznie, ceremonia ma w sobie coś z zadawania tortur.

— Taka praca przy chorych to nie dla mnie — stwierdza ktoś ze świadków tego „widowiska”. — Jak widzę krew, robi mi się słabo. Tak mi żal...

Kogo żal? A może siebie samego żal? Może to odruch (któż z nas go nie zna?) oszczędzenia sobie udziału w tamtym?

Mówi się, że w cierpieniu nie można pomóc... i prawda. W cierpieniu człowiek jest sam. Obolałej nogi, ręki, wreczka żółciowego nie zmienisz. Więc tylko lekarz z całym medycznym arsenałem?...

Kiedy do wyłomotanego kołkiem z płotu człowieka przyszła żona z synkiem, posiedziała przy nim, poprawiła poduszki i z zatroskanym wzrokiem zapewniła go, że wszystko będzie dobrze, chory zjadł pierwszy od czterech dni posiłek, poweselał, przestał jęczeć.

Kiedy siostra odchodzi zostawiając połamańca z poczuciem, że jest tu blisko, że wystarczy błysk lampki, by się natychmiast znów pojawiła, że wie, iż go bardzo boli

i że tym się przejmuje — córy zasypia, jest mu jakoś lżej.

Któregoś z chorych odwiedziła studentka ASP. Jest na malarstwie i mówi, że kiedy skończy Akademię, pójdzie do szkoły pielęgniarstwa. Pielęgniarka jest bliżej człowieka i więcej może zrobić dla niego niż lekarz — tak mówi. Potem mówi o malarstwie i stwierdza, że malarzem może być człowiek, który jest albo wariatem, albo bardzo mocnym człowiekiem.

Patrzę na siostry, które dzień i noc kręcą się wśród stęających polamańców, zawsze troskliwe, dobre, puszczające mimo uszu przykre słowa i myślę, że taką siostrą to też może być albo wariat, albo „straszna żyła”.

Popełniła dwa błędy. Pierwszy to ten, że wchodząc do kancelarii trzymała w ręku dowód osobisty i jakieś wymięte dokumenty. Gwałtowną chęcią, by z góry bronić prawdomówności tego, co za chwilę powie, wzbudzała podejrzenie. Drugim błędem było wypicie przed przyjściem alkoholu (pachniało na pięć metrów). Może mieć czterdzieści lat. Zachrypniętym, uprzejmym, lecz stanowczym głosem z cieniem lekkiej pretensji domaga się dwudziestu złotych. — Przecież muszę człowieka pochować i ubrać go w coś. Kupić muszę mu buty, skarpetki, koszulę... — Nie, nie krewny. Sąsiad. Nikogo bliskiego nie miał. Już czwarty dzień leży. Trumna niepotrzebna, wrzucę go do skrzyni. Ale krawat też muszę kupić. Był chrześcijaninem....

Z przybrudzonego świadectwa zgonu wynika co prawda niezbitie, że śmierć nastąpiła wczoraj, ale czy wypada o takie drobiazgi kłócić się z miłosierną sąsiadką... i to w kancelarii parafialnej?

— Nie, on nie był z tej parafii. Mieszkał na drugim końcu miasta. Do parafii jednak nie pójde, byłam, proboszcza nie ma. Ksiądz da piętnaście złotych, jeszcze ktoś da i jeszcze ktoś... kupię mu koszulę, skarpetki i wszystko co potrzeba. Ubezpieczalnia? śmieje się ksiądz, dali pięćdziesiąt złotych i odesłali.

Ksiądz z kancelarii właściwej parafii odbiera telefon natychmiast. — Tak, niech przyjdzie. Pomożemy wszystko załatwić, zajmiemy się. Niech przyjdzie.

Jednak pani z dokumentami stanowczo odmawia. — Niech ksiądz da — mówi pojednawczym głosem — trzy złote i pójde dalej.

Więc trzeba wytłumaczyć znów, że tu nie chodzi ani o dwadzieścia, ani o piętnaście, ani o te trzy złote, ale że to nie jest żadne załatwienie sprawy. I alternatywna propozycja:

— Albo pani pójdzie do swojej parafii, przed chwilą rozmawiałem telefonicznie z księdzem proboszczem; albo pani poczeka chwilę i zaraz pojedziemy razem, i pomożę wszystko załatwić.

Stańło na możliwości drugiej. Dalszy ciąg był łatwy do przewidzenia. Wystarczyło odejść na chwilę, by pani z dokumentami znikła jak kamfora. W kieszeni jednak zostały odnotowane: adres i nazwisko.

I okazało się, że zmarły (jednak wczoraj) był znanym w dzielnicy alkoholikiem, którego denaturat doprowadził do ostatecznej ruiny. Sam cichy i spokojny, żył ostatnie lata z przypadkowo spotkaną kobietą i ta urządziła w jego mieszkaniu — właściwie bardziej piwnicy niż mieszkaniu — melinę. Odbywające się tam orgie napawały mieszkańców ulicy przerażeniem. Wzywana milicja zastawała jednak tylko niedołężnego, zapłakanego gospodarza. Goście wśród wrzasków rozbiegali się po uśpionych ulicach. Zmarły rzeczywiście nie miał nikogo. Sąsiedzi uzalili się nad jego losem. Sąsiadka z piętra dała dla zmarłego białą koszulę (po mężu), ktoś dał buty, ktoś inny krawat i skarpetki. W dawnym mieszkaniu będzie się teraz trzymało kartofle albo — o co zabiega pani zbierająca na przyodziewek dla zmarłego — pozostanie w dalszym ciągu melina.

*

Podchodzą nieśmiało. Podają jakieś wytłuszczone papiery. Mówią, że „znaleźli się w głupiej sytuacji”, że wyszli z więzienia, proszą, żeby zapisywać ich adresy. Czasem przez omyłkę po dwóch tygodniach trafiają do tego samego mieszkania, prosząc o pieniądze na ten sam pogrzeb. Nieśmiali i natarczywi, zadowolający się każdą sumą, pokazujący szramy, kikuty, dokumenty...

Do stojących przed nowymi blokami kubłów na śmieci podchodzi schludnie ubrany, starszy człowiek z teczką. Zagląda do kubłów i jeśli na wierzchu leżą pliki gazet, starannie pakuje je do teczki. Zagadnięty, chętnie informuje — nie, po śmietnikach nie grzebie, tylko zbiera, jeśli coś leży na wierzchu. Ma też znajomych, którzy odkładają dla niego stare gazety, które on potem sprzedaje. Powtarza wyliczenia, które jak widać, umie już na pamięć, a z których wynika, że te gazety to zawsze parę groszy.

Słowo „miłosierdzie” budzi niechęć. Kojarzy się z dwuzłotówką dawaną „dziadkowi” („macie tu dziadku dwa

złote"). Na „dziadków” reaguje się albo monetą, albo gwałtownym sprzeciwem: „oszuści”.

Za owo „oszuści” człowiek się chowa, ale i za miłosierdnocchrześcijańskie „dwa złote” też. Wykupuje się człowiek za dwa złote. Od kłopotu się wykupuje.

Ma najwyżej dziesięć lat. Skulony siedzi na murku, a przed nim jedna z najruchliwszych ulic miasta. Nie obchodzi go absolutnie to, że tylu ludzi przechodzi tuż około niego, że tyle samochodów, że ciepłe jesienne słońce i niebieskie niebo nad domami. Może czasem wyjątkowo ładny samochód jest zdolny na chwilę przyciągnąć jego uwagę. Tak, to wyraźnie można stwierdzić, nie interesuje go nic z wyjątkiem jednego: wśród zatrzymujących się tuż obok na przystanku tramwajów jeden numer działa na chłopca elektryzująco. Wtedy nawet zwrócenie uwagi na śliczny dwuosobowy czerwony samochodzik z zagraniczną rejestracją do niego nie dociera.

Rozmawiamy. On bez przerwy patrzy w stronę, z której ma nadjechać „jego” tramwaj. Siedzę obok na murku i przyglądam mu się. Ma na sobie czarny szkolny fartuszek z białym, nie pierwszej czystości, kołnierzykiem i szare spodnie z żaglowego płótna. Ja trzymam na kolanach wypchaną ważnymi papierami teczkę, bo właśnie idę na ważne zebranie (bardzo ważne, jak większość zebrań). Przechodząc zauważyłem skuloną na murku postać. Siedział podparłszy twarz dłońmi i płakał. Potem roztarł brudną łapą łzy po policzkach i teraz rozmawiamy; bardzo rzeczowo. Nazywa się Maciek.

Czemu płacze? — no bo mama nie przyjeżdża.

Tak, jest z domu dziecka, tu zaraz, obok. Mama mieszka na drugim końcu miasta. Jedzie się tam tramwajem i potem wysiada na placu i potem jeszcze kawałek trzeba dojść piechotą. Bardzo łatwo trafić.

Rodzice? Mama nie pracuje. Tato teraz ma iść do kryminału (dosłownie tak było to powiedziane), ale jeszcze jest w domu. Siostry też w domu dziecka.

— Mama to zawsze przyjeżdża wieczorem w niedzielę, a ja mówiłem żeby przyjechała w sobotę i mnie zabrała na niedzielę, żeby mnie ukapała, żeby był w domu. I nie ma jej i nie ma...

Próbuję Maćka namówić, żeby zamiast wyczekiwać tu, na tym murku, poszedł pobawić się z kolegami. Zawsze

czas szybciej schodzi. Odpowiada w zruszeniem ramion. Jest tu od niedawna. Nikogo nie zna (czuje się niedopowiedziane: i nie ma najmniejszej ochoty poznawać). Maciek o sobie i swoich opowiada w ten sposób, że każdy fragment opowieści kończy się stwierdzeniem, że mama miała przyjechać i że ciągle jej nie ma. Wtedy przez rozmazane na policzkach szare smugi płyną zaczynają nowe, małe strumyczki.

Gdyby ktoś chciał krótko scharakteryzować Maćka, mógłby powiedzieć, że jest on samym smutkiem i czekaniem.

Ożywił się właściwie tylko raz, kiedy tłumaczył, jak się idzie do ich domu, który to jest blok, która klatka schodowa, które piętro...

— I niech pan powie, żeby zaraz przyjechała, bo ja tu czekam...

Mamy Maćka nie było w domu. Mieszkanie zamknięte. Dzieci, których całe falangi biegały po placu między blokami, powiedziały, że wyszła obładowana siatką i jakimiś pakunkami. O Maćku nic nie wiedziały. Gdzieś wyjechał, tyle. Zostawiłem w drzwiach karteczkę, że Maciek czeka i że jest mu bardzo smutno.

Przez niedzielę nie widziałem Maćka. Kiedy zaś w poniedziałek, znów z ważną teczką pod pachą szedłem do przystanku, zobaczyłem go na starym miejscu.

— Tak, mama była. Przyjechała po południu w niedzielę. Byliśmy z mamą w domu dziecka u sióstr.

— One czują się dobrze. Ale są we dwie.

Zaczynam doradzać po dawnemu: może lepiej pobawić się z kolegami, niż tu wysiadywać? Znów wzruszenie ramion. Wobec tego rozmawiamy o jego dzielnicy i dzieciach, z którymi rozmawiałem. Ustalamy po wyjaśnieniu szczegółów, że rozmawiałem z Marianem i Mirką.

— I teraz znowu czekasz?

— Bo mama powiedziała, że mnie zabierze. I nie ma jej, i nie ma...

I ty się temu tak dziwisz? (opowiada ktoś, kto odwoził dziewczynkę z kolonii do domu dziecka). Wieczorem, kiedy dziecko leżało już w łóżku, w sypialni pełnej takich samych łóżek zaczęła się banalna rozmowa o tym „co kto chciałby najbardziej”.

— A ja tym najbardziej chciała — mówiła jakimś monotonnym głosem siedząca na łóżku dziewczynka, kiwając się rytmicznie w takt tego, co mówiła — a ja bym najbardziej chciała zobaczyć mojego tatusia. Żeby nikt mi nie powiedział, że to jest mój tatuś, ale żebym ją wiedziała i mogła patrzeć, jak on wygląda, jak chodzi, jak się uśmiecha. — Potem jedna przez drugą, zaczęły mówić, co która by chciała: o domach, mamusiach, braciach, siostrach... Bardzo dokładnie każda wiedziała, czego najbardziej pragnie...

— To są zagłębia smutku — konkluduje opowiadająca. — Chyba nawet smutek szpitali nie może równać się z tym.

Tak, wiem. Było już o tym. Czytałem. O dzieciach, które całą niedzielę spędzają przy bramię zakładu na daremnym wyczekiwaniu rodziców, a rodzicom ani w głowie je odwiedzić. O wymarzonych wyjazdach do domu, z którego wraca się przepelnionym smutkiem i rozczarowaniem, a opowiada się kolegom w zakładzie cuda, jacy ci moi w domu wspaniali... Piszę się o tym poważnie, naukowo i po prostu, sprawozdawczo, tak że przy czytaniu ścisła człowieka za gardło. Duże nakłady szybko topnieją, więc chyba sporo ludzi to czyta. Ale się zapomina. Przechodziłem setki razy koło tego domu z teczką pod pachą, spiesząc się do tych swoich bardzo ważnych spraw. Koło skulonego na murku przy wielkemiejskiej ruchliwej ulicy Maćka przechodzą coraz nowi ludzie. Piszę: p r z e c h o d z a, bo przed chwilą znów tam przechodziłem.

— Czekasz?

— Czekam.

— Myślisz, że przyjdzie?

— Przyjdzie. Powiedziała, że przyjdzie. Gdyby pan teraz tam pojechał, zastanie pan ją w domu.

Dużo ludzi. Wszyscy bardzo zajęci jakimiś ważnymi sprawami. Dużo aut. Przejechało nawet — sam widziałem — auto, w którym siedział biskup. A Maciek siedzi na murku i czeka, że jednak mama przyjedzie go zabrać. Na szczęście jest dużo takich ludzi, dla których sprawy Maćków wyczekujących daremnie są też i ich bardzo ważnymi sprawami. Są różne bardzo ważne sprawy, które

zmuszają ludzi do biegania po ulicach z wypchanymi teczkami, do ważnych zebrań „na temat”, „z okazji” i „w związku z”. Pośród nich jednak są chyba niektóre najważniejsze.

A jeżeli gdzieś przeczytacie notatkę, że liczba domów dziecka wzrosła o tyle to a tyle, nie cieszcie się tak szalenie.

Mówią o swoich sytuacjach ze łzami w oczach. Któryś z nich, kiedy zostaliśmy sami, chciał zacząć mówić, ale tak się rozszlochał, że upłynęło z dziesięć minut i wiele łez, zanim zdołał coś wykrztusić. Chcą rezygnować ze wszystkiego, myślą o samobójstwie, pokazują przygotowane pigułki.

„Jestem rozpaczliwie samotny i zgubiony w tym całym świecie, nikt mnie nie lubi, nie mam przyjaciół...”, „nie zdam egzaminów”, „rzucił mnie chłopak”, „zawiodłem się na dziewczynie”, „będę repetowała rok”, „jestem w ciąży”, „rodzice nie chcą słyszeć o mojej dziewczynie”, „odebrali mi stypendium”, „skreślili z listy studentów po którymś tam kolejno oblanym egzaminie”...

Nie, nie uważam, że to są drobiazgi, nigdy nie mówię: „nie przejmuj się stary, jakoś to będzie”. Trzeba realnie: przyjaciół trzeba się dorobić, trzeba zdobyć pieniądze, trzeba dogadać się z rodzicami, trzeba stworzyć warunki dla dziecka, które ma się urodzić... Tylko, na miłość Boską, nie rezygnować.

— Oddaj te pigułki, wyrzucę je zaraz.

— Mam w domu więcej.

— Weź się człowieku w garść, pomyślimy, co robić.

— Nie mam już na nic siły ani ochoty, tego wszystkiego już za dużo.

I rzeczywiście czasem jest bardzo dużo, w każdym razie za dużo, by słowami przekonać, że na poddanie się jest za wcześnie, że trzeba walczyć do końca, że każda sytuacja jest talentem danym do rozliczenia, że z każdej sytuacji trzeba i można wyprowadzić dobro.

Proszę: zanieś ten list do pani XY... Duży budynek na peryferiach miasta. Korytarze, sale, zapach szpitala. Na korytarzach starzy ludzie człapią, szurają kapciami, kuśtykają. Dużo wózków inwalidzkich. Bezwładne nogi, powykręcane ręce. Przejść trzeba przez korytarz tymczasowo pełniący funkcję sali, przerażający śmiech i bełkot niedorozwiniętych. Ale nie sami starcy tu mieszkają. Pani XY jest młoda, ładna i miła, ma starannie ułożone włosy.

Leży. Kilka chwil na wózek, trochę siedzenia w łóżku, tyle ruchu.

— Kiedy pani wyzdrowieje?

— Nigdy.

— I nie wyjdzie pani z tego domu?

— Nie.

Już nie słowa zachęty, nie słaba, tak zwana logiczna argumentacja. Pomóż Krysi z domu dla przewlekle chorych przygotować się do matury, idź odwiedzić XY... Powoli odkrywa się właściwe proporcje, zaczyna się widzieć dalej, niż sięga własna zgryzota, odkrywa się ludzi, którzy się nie poddali. Tamci z domu na peryferiach miasta może nawet nie wiedzą, że leczą. Już nie mówi się o samobójstwie, znikają śmiertelne pastylki, łyżki wylane nad sobą wspominają się z zażenowaniem.

Kiedyś przytoczyłem w „Rozmowach” list osoby odwiedzającej dom dla przewlekle chorych. List ten zrobił przykrość i uraził niektórych chorych. Jeden z listów wyrażających to wydrukowany był w dziale listów do redakcji. Natychmiast autorka cytowanego w „Rozmowach” listu nadesłała drugi. Prosi w nim o przekazanie przeproszenia. Nie chciała nikogo zranić, chodziło jej o to jedynie, by przypomnieć, że do starości przygotowujemy się od najmłodszych lat. W liście jest wiele ciepłych słów pod adresem pensjonariuszek odwiedzanego przez nią domu. Píše, że gdyby sama znalazła się w podobnych warunkach, prawdopodobnie nie byłaby wcale lepsza od tych, o których wadach pisała.

I drugi list: „Pracuję jako pielęgniarka w takim właśnie domu. Zgadzam się ze spostrzeżeniami tamtej pani. Jest jeszcze druga strona medalu. Dzielę się tym z radością.

Mam pod swoją opieką nauczycielkę. Chora na artretyzm zniekształcający. Cierpi bardzo, ale wielkim wysiłkiem woli zdobywa się na to, żeby mimo choroby i wieku być pożyteczną. Codziennie bezinteresownie daje korepetycje dziecku jednej z naszych salowych i tym sposobem chłopiec ma dobre stopnie. Z różnych materiałów robi zabawki, choć ledwo może utrzymać w palcach igłę. Druga znowu, urzędniczka jednej z warszawskich instytucji, jest od kilku lat rencistką, a od pięciu lat przebywa w naszym domu. Do tej pory koleżanki i koledzy z biura

otaczają swoją współpracownicę serdeczną opieką, pisząc do niej przemyślane zbiorowe listy, przesyłając paczki (i to jakie) i skutecznie starając się dla niej o wczasy zimowe w Spale. Z tego widać, że p. Stanisława G. zasłużyła sobie na tego rodzaju życzliwość. A p. Kazia H. i kilka innych cierpliwie i systematycznie opiekują się chorymi leżącymi, jak kimś najbliższym. We własnym zakresie przygotowują dodatkowe posiłki w postaci smakołyków, zaparzają ziółka, przynoszą co potrzeba z pobliskiego sklepu, czują się w swoim żywiole, gdy mogą innym służyć. Pani Waleria M. bez przerwy lata i ceruje, aż dziw bierze, że jej się to nie sprzykrzy, przecież robi to w pozycji leżącej, bo niedowład nóg i słaby kręgosłup nie pozwalają usiedzieć nawet godziny. A najmłodsze pensjonariuszki, dwudziestosześcioletnia Terenia G. chodząca, ale z trudem, bo ma niedowład lewostronny, stale zajęta robotą przy chorych, karmi, nawet podaje baseny, robi też pięknie swetry na drutach, właściwie tylko jedną ręką. Basia Cz., dwadzieścia dwa lata, ślicznie haftuje, pomaga przy zmianie bielizny. Robi to jeżdżąc na wózku, wesoła i pogodna. Danusia T. też ma dwadzieścia dwa lata, jest po niedowładzie prawostronnym, nie mówi i może posługiwać się tylko lewą ręką, lecz bez przerwy pracuje, podlewa kwiaty, wyciera kurze, robi chorym zakupy na mieście. Chore w starszym wieku zmywają naczynia, obierają ziemniaki, a jeszcze inne, te zupełnie niezdolne do pracy, dużo się modlą, jakby za siebie i za tych, co z Panem Bogiem kontakt zerwali...

Gdyby coś niecoś z tych kilku zdań zechciał Ksiądz wydrukować w „Tygodniku”, pokazałabym ten numer pisma naszym chorym. Niech by się cieszyły, że ktoś na ich temat dobrze napisał. Niech to będzie dla nich jedna z niewielu radości...”

Ten odcinek „Rozmów” napisałem jako podziękowanie. Prosiła Pani, by o Niej nie pisać. Więc tylko to, iż w domu na peryferiach uwierzyłem, że z każdej sytuacji można wyprowadzić dobro, że można się nie poddawać, nawet jeśli jest to sytuacja tak trudna, jak sytuacja Pani. A teraz mam okazję widzieć, ile przez to dobrego robi Pani dla innych. Więc podziękowanie za to wszystko.

Boże Narodzenie, jak na złość, kojarzy się z jedzeniem i piciem. W ogóle z jedzeniem i piciem kojarzy się cała masa rzeczy. Wesela, pogrzeby, zebrania przyjacielskie, dyskusje naukowe i religijne, spotkania dyplomatyczne, koncerty, przedstawienia teatralne. W książce *Wiek, pleć, zdrowie*, którą każdemu radzę przeczytać zanim nie będzie za późno, pani docent Wiśniewska-Roszkowska nie bez sarkazmu pisze o tym, jak daleko nam, ludziom, do roli „króla stworzenia”, nam, w których życiu tak wiele miejsca zajmuje jedzenie i to przede wszystkim w jego formie przyjemnościowej i bodźcowej, jak bardzo jesteśmy znalagowani w kierunku przyjemności podkorowych, jak bardzo ich na każdym kroku pożądamy.

Wśród świątecznych jedzeń musi być ryba. W pewnej krakowskiej rodzinie dzieci w porach zwykle przeznaczonych na mycie karmiły przez ostatnie dni adwentu pływające w wannie karpie. Ryby, zdaniem dzieci, oswoiły się i kiedy przyszła pora na ich zabicie, cała rodzina o zmierzchu w dzień wigilii wyruszyła nad Wisłę. Karpie zostały wypuszczone na wolność. Na kolację był śledź. Cóż, śledź także nieboszczyk, ale dawniejszy, nie oswojony i zakatrujony nie we własnym domu.

A zdobywanie zapasów jedła i picia świątecznego! Nagle wszyscy muszą zgromadzić zapasy, niemal jak niegdyś przed wyprawą wojenną, a wszystko dlatego, żeby zjeść i wypić to w ciągu dwóch dni u siebie lub u znajomych. Warto popatrzeć na kolejkę jak stąd do Zgierza przed pustawym i zacisznym zwykle sklepem PKO. Z Delikatessów pogotowie wywozi uduszonych.

A o zmroku zaczynają się batalie na placach sprzedaży choinek. Też jest na co patrzeć. Milicja na rogatkach poluje na przemyślnie ukryte w ciężarówkach nielegalne choinki zwożone przez co sprytniejszych miłośników tradycji.

Z różnych świątecznych wspomnień — jedno sprzed wielu lat. Byłem wtedy rok, może dwa lata po święceniach. Miałem odprawić Pasterkę w zakładzie specjalnym (domu starców). Szedłem wcześniej, żeby przed Mszą było trochę

czasu na spowiedź. To było nieduże miasteczko. W wielu domach mieszkali moi uczniowie. Widziałem oświetlone okna, choinki, poruszających się w mieszkaniach ludzi. Słychać było kolędy. Ulice były zupełnie puste. I zakład. Starzy, przeraźliwie samotni ludzie, zebrani w gromadę zupełnie przypadkową. Tylko jedną cechą zbliżeni do siebie: potrzebowali opieki, nie mieli opieki w domu. A niełatwa to rzecz dla starego człowieka zaaklimatyzować się w nowym środowisku. Stłoczeni po kilkanaście osób w jednej, do szpitalnej sali podobnej, sypialni, żyli ze świadomością, iż jedyna zmiana, przeprowadzka, jaka ich czeka, to przeprowadzka na tamten świat. Odprawiłem więc Mszę w kaplicy sióstr, a oni śpiewali kolędy fałszując niemiłosiernie, bo w większości nie bardzo już nawet samych siebie słyszą. Znalazłem notatki z kazania, jakie wtedy powiedziałem. Mówiłem, że dziś wszyscy dzielą się z bliskimi opłatkiem i że do nich też przyszedł Ktoś Bliski podzielić się Oplatkiem Swego Ciała. Teraz, kiedy to po latach odczytuję, jest mi wstyd. Czy można tak robić? Stanąc przed człowiekiem wściekle samotnym, uśmiechnąć się słodko i powiedzieć: myślisz, że jesteś samotny? ależ skąd, przyszedł do Ciebie Pan Jezus. Potem włożyć na głowę kapelusz i spokojnie iść do domu z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Naprzeciwko mojego domu, po drugiej stronie ulicy, jest dom dziecka. Dziś widziałem przez okno, że dzieci robią łańcuchy na choinkę. Wiem, że niebawem część z nich wyjedzie na święta. Inne zostaną. Te same, które spotykałem w ciągu wakacji i podczas poprzednich świąt. Po prostu nie mają gdzie wyjechać. Będą obijać się po pustym domu, wyglądać przez okna, czekać na powrót koleżanek.

Już kilka miesięcy leży u mnie na biurku list. Leży i jest wyrzutem sumienia. Młoda kobieta z zakładu specjalnego w Krakowie pisze w sprawie swej koleżanki, młodej dziewczyny, inwalidki. Pisze, że koleżanka nigdy, nigdzie nie wyjeżdża, że bardzo by się jej przydał pobyt w jakimś domu, gdzie są dzieci, gdzie wszyscy się kochają, gdzie jest dobra domowa atmosfera, gdzie czułaby się jak u siebie. Nie potrafiłem do tej pory takiego domu wyszukać. Nie piszę, że takiego domu nie ma, ale nie potrafiłem znaleźć.

Znam dużą grupę studentek i studentów, którzy opie-

kują się chrońnicznie chorymi. Każdemu nowemu, który chce się do nich przyłączyć, mówią: zastanów się dobrze, z tym nie można żartować. To nie tylko sprawa przyniesienia raz w tygodniu kilku wiaderek węgla z piwnicy, zrobienia zakupów, posprzątania, poczytania i załatwienia kilku spraw w urzędach, to co chcesz robić jest podjęciem zobowiązania. Samotny człowiek, do którego idziesz, potraktuje cię poważnie. Widząc twoją dobroć, będzie na ciebie liczył. Zanim się spostrzeżesz, będzie na ciebie liczył. Dla Ciebie to będzie jedna z wielu spraw, margines, dla niego — nie. Wejdiesz jako ktoś ważny w jego życie. Jeden „dobry uczynek” rodzi zobowiązanie. To komplikuje życie. Nie będzie ci wolno nagle uciec.

Na Boże Narodzenie trzeba napisać coś wyjątkowego, coś ekstra. Czy rzeczywiście? Jeśli religia którą żyję, jest religią Bożego Narodzenia, trzeba właśnie najzwyczajniej, z życia. Boże Narodzenie kojarzy się z jedzeniem, kojarzy się z piciem. Tu i tam przetrwał zwyczaj zostawiania wolnego krzesła przy wigilijnym stole. Dla zbłąkanego wędrowca. Boże, jak my kochamy takie symbole. Jak wzruszamy się własną dobrocią, patrząc na to puste krzesło. A zbłąkani wędrowcy nie przychodzą. Zmarzniętych kołędników przyjmujemy w przedpokoju lub w kuchni. Zbłąkani wędrowcy (odstawione na boczne tory wagony) zapełniają domy specjalne, zakłady opieki, domy dziecka. Do drzwi nie zapukają. Można krzesło odstawić, będzie luźniej, wygodniej.

Święta to sprawa skomplikowana. Zdobycie karpia, szynki, napitków i pieniędzy na to wszystko.

Boże Narodzenie było i jest po to, by komplikować życie. Ale czy właśnie tak?

ROZWAŻANIE DROGI KRZYŻOWEJ

I STACJA

Bóg skazany przez człowieka. Miał władzę, by jednym gestem uciszyć wzburzone fale, jednym „Jam jest” powalić przeciwników na ziemię.

Ach, my byśmy wiedzieli, jak postąpić.

A On milczy, odpowiada spokojnie, poddany, cichy.

Bóg skazywany przez ludzi. Przeze mnie, przez nas. Dał mi władzę nad sobą, mogę Go wypędzić, ukrzyżować, wzgardzić Nim, nie spostrzegać Jego miłości. Mogę Go przyjąć: „Jeśli chcesz... chodź za mną”. Bóg wydany na „chcę” lub „nie chcę” człowieka.

II STACJA

Wśród brzemion, jakie mnie przygniatają do ziemi, najcięższe jest brzemie winy. Noszę je ze sobą wszędzie. Nie mogę przed nim uciec. Jeśli na chwilę zapominam, daje o sobie znać; nęka jeszcze dotkliwiej, czyni życie koszmarem.

Biorąc krzyż On wziął wtedy i ten mój straszliwy ciężar. Wziął swój krzyż, wziął i mój. Nasz wspólny krzyż. Teraz wystarczy dotknąć kraju jego szaty. Kiedy nad moją głową kapłan w konfesjonale nakreśli znak krzyża i zapewni: odpuszczają ci się grzechy, powiem Chrystusowi, że nie darmo się trudził.

III STACJA

Kiedy zdecydowałem się iść za Nim, wszystko wydawało się względnie proste i łatwe. Stopniowo było coraz trudniej. Aż wreszcie okazało się, że jest za trudno, że jest ponad siły. Zawaliło się wszystko. I natychmiast nadeszła pokusa: zostać w tym stanie, nie zaczynać od nowa, nie iść dalej. Pokusa nie do przewyciężenia. Znużenie. I wtedy pomogła mi pamięć o Twojej wierności, z jaką niosłeś swój i mój krzyż.

IV STACJA

Straszna jest samotność wśród obojętnego otoczenia. Można jej nie odczuwać, kiedy wszystko jest normalnie, dobrze, pogodnie. Ale kiedy jest ciężko, kiedy przychodzi chwila próby, kiedy klęski walą się na człowieka, samotność wśród ludzi może zabić. Więc wtedy nie zostawiaj mnie samego. Przypomnij mi o Matce swojej i Matce mojej. Dziękuję, żeś w tych chwilach zsyłał ludzi, którzy rozumieli, byli blisko. Naucz mnie być czujnym, mieć otwarte serce i oczy, żeby obok mnie nie umierali bracia moi samotni, zrozpaczeni.

V STACJA

Zmuszony do niesienia krzyża Szymon otrzymał łaskę wiary. Jeśli nie ma innego na mnie sposobu, jeśli jestem ślepy i głuchy, Pan może i na mnie zastawić podobną jak na Szymona, pułapkę. Kłopoty najbliższych, chorobę kogoś drogiego, sytuację, której nie mogę umknąć. Mogę do końca się otrząsać ze wstrętem i mogę nie zauważyć, że był to wyjątkowy dar, że moje drogi przecięły się z Jego drogą w tym jedynym punkcie, że ta krzyżowa i krzyżująca mnie sytuacja była wezwaniem.

VI
STACJA

Piotr, który tak niedawno wymacniwał mieczem i odgrażał się, szedł teraz zbo-
lały, przygnębiony własną zdradą, zajęty
sobą. Był i Jan, i Nikodem którzy zajęli
się, już po wszystkim, zwłokami... Ale tyl-
ko ona jedna miała odwagę. Odważyła się
wbrew ogólnemu nastrojowi wrogości
i strachu. Kiedy zdawało się, że wszyscy
byli przeciwko Niemu, ona jedna, wiedzio-
na prostym odruchem serca, ulitowała się
nad znieważonym Obliczem.

VII
STACJA

Poniżony, upadający co chwila w pył
drogi, spuchnięty, okropny, żalony Chry-
stus Bóg-Człowiek.

Muszę widzieć Go w Kościele, nie tyl-
ko wtedy, kiedy jaśnieje blaskiem i po-
rywa tłumy, lecz w krzyżowej drodze,
w słabości, poniżeniu. Wtedy, kiedy wszyst-
ko zdaje się zapowiadać ostateczną klęskę.

„Mnie prześladowali i was będą...”

„Kto chce iść za mną, niech weźmie
krzyż.”

VIII
STACJA

Powiedział im, by nad Nim nie płakały.
Drzewo jest zielone, lamentsy są zupełnie
nie na miejscu. Nawet w tych okropnych
okolicznościach. Drogę trzeba przejść, pod-
jęte dzieło wykonać. Ale rozpaczać?

Nic się nie kończy, nic się nie zwala
w gruzy. Płaczcie nad sobą, nad waszymi
synami, którzy dokonują dzieła spustosze-
nia. Bo Ten, nad którym lamentujecie, jest
drzewem zielonym, które rozrośnie się
i trwać będzie dłużej niż ci, którzy są
przekonani, że je zmiotli z powierzchni
ziemi. To, co bierzecie za klęskę, jest tyl-
ko etapem wzrastania.

Już niemal u kresu drogi — upadek trzeci.

Co chcesz powiedzieć przez ten upadek? Czego mnie nauczyć? Może ostrzegasz mnie, żebym nie mówił nigdy: „doszedłem”, „wiem”, „osiągnąłem”. Kto stoi niech baczy, by nie upadł. Zwłaszcza jeśli ktoś stoi wysoko, tak wysoko, że myśli, iż nie mu już nie grozi, że może być spokojny o to, co osiągnął. Przez ten upadek chcesz powiedzieć mi o pokorze.

Co przeżywa człowiek przed egzekucją? Za chwilę będzie po wszystkim. Ubranie? gesty? pozy? śmiech patrzących? opinie? Wtedy liczy się już tylko prawda, ta garść prawdy, jaką człowiek zdołał przez lata życia zebrać. Wszystko poza tym opada jak liście ścięte pierwszym przymrozkiem. W bezlitosnym oświeceniu ostatniego momentu staniemy wszyscy przeraźliwie nadzy. Liczyć się będzie wtedy tylko ta garstka prawdy o nas.

Różne są racje działania. Kocham ruch, aktywność, podjęte prace. Chcę być tu i tam. To wypełnia moje życie.

A On wtedy, kiedy już nie mógł nigdzie pójść, bo przybili Mu nogi gwoździami do drzewa, kiedy nic nie mógł zdziałać rękami, bo ręce przybili Mu do drzewa, dokonał najwięcej.

Działanie może być ucieczką od działania najważniejszego, działania, które nazywa się ofiarą, ofiarą złożoną z siebie samego.

XII
STACJA

„Pan Jezus stał się człowiekiem na krzyżu dla naszego zbawienia. Słyszałem słowa te tysiąc razy. Dziś stoję w zadumie nad ich treścią straszliwą, większą, niż jestem w stanie udźwignąć. Dla naszego zbawienia, dla mojego zbawienia. Umarł. Na krzyżu.

XIII
STACJA

Myślę o mojej ostatniej chwili. Myślę o swojej własnej śmierci. Jak to będzie? Czy potrafię dobrze umierać? Boję się — znam siebie na tyle, że bardzo się boję. Pewnie nie potrafię. Więc myśląc o Tej, która pod krzyżem stała do końca, w której ramiona złożono udręczone ciało Syna, powtarzam codziennie: „Módl się za nami grzesznymi, za mną grzesznym, teraz, a szczególnie w godzinę śmierci naszej, śmierci mojej”.

XIV
STACJA

Każda śmierć, z jaką się spotykam, jest próbą mojej nadziei, każdy grób jest nakazem pamięci o tamtym grobie, który po niespełna trzech dniach okazał się pusty. Na wszystkie sprawy, które usiłują wybić mnie z równowagi, chcę patrzeć w świetle tajemnic tamtego grobu. Kiedy załamany czy przerażony jakimiś drobiazgami przypomnę sobie tamten grób, odnajdę spokój: człowieku, tu na ziemi jesteś tylko przechodniem, dom twój jest jak namiot koczującego Araba. Dziś jest, jutro będzie zwinięty. Żadna sprawa nie warta jest całego twojego serca, całego niekoju, całej radości, całego smutku, jeśli nie wiąże się z wędrowaniem do domu Ojca, w którym przez śmierć mamy odnaleźć życie. Człowieku, uśmiechnij się, przed tobą otwarte jest niebo. Amen.